

# CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



1

(49) 2007

---

O zachowanie języka polskiego w kościołach ♦ Czego domagają się Polacy ♦ Nowa szkoła Orłąt Lwowskich ♦ Akademia Weterynarii za okupacji ♦ Kurtyny Siemiradzkiego ♦ Zabytki lwowskiej kultury ♦ Lwowska fotografia w krakowskim muzeum ♦ Wspomnienie Pohulanki ♦ Wiersze ♦ Książki

---

## JEDNAK WROCŁAW

**1.** Do sprawy Instytutu\* wracamy nieustannie, ponieważ dla naszego ostatniego pokolenia autentycznych ekspatriantów z Ziemi Wschodnich nie ma rzeczy ważniejszej niż wprowadzenie na nowo do świadomości Polaków ogromnej części naszej historii – tej części historii państwa i narodu, która w interesie wschodnich agresorów i zaborców XX wieku została dość skutecznie – nie bez politycznego powodu oczywiście – wykorzeniona z pamięci społeczeństwa. Znamienne jest, że to, czego nie zdołała dokonać carska propaganda w ciągu ponad 120 lat zaboru, uskuteczniła nasza rodzima, pozał się Boże, edukacja, oparta na sowieckich wytycznych, przez lat 45.

Niestety nie koniec na tym. Po *przełomie* zadziałały dwa czynniki: niewiedza, wywołana owym niemal półwiekowym zniewoleniem myśli, i w konsekwencji brak zainteresowania społecznego lub opaczne rozumienie. Na to nałożyły się koncepcje „idoli”, które – wychodząc z politycznych, nieprzekonywujących (a wedle naszego rozumienia fałszywych i szkodliwych) założeń – dokonały niebываłych spustoszeń w naszym odbiorze tej części naszej własnej, narodowej historii i naszej tożsamości.

Takie są po krótku dzieje niemal całkowitego odwrócenia się Polaków – i co ciekawe, także większości polskich historyków – od problematyki kresowej. Nic przeto dziwnego, że tu i ówdzie wkrada się fałsz, wykorzystywany propagandowo przez tych, którym to na rękę. Niestety wielu Polaków tego nie czuje.

**2.** Mówimy więc o Kresach, a ściślej: najpierw o najbliższych nam geograficznie, historycznie i emocjonalnie Ziemiach Wschodnich, które stanowiły połowę Polski w latach międzywojennych, ale i o Kresach I Rzeczypospolitej, utraconych z końcem XVIII wieku. Pomimo tego wszystkiego, co powiedzieliśmy wyżej – waga, ogrom i bogactwo problematyki historii i kultury Kresów nie pozwoliły na obojętność ze strony elity polskich historyków. O ile trudne było w warunkach powojennych badanie i głoszenie prawdy w zakresie dziejów polityczno-społecznych, o tyle – w miarę upływu czasu (bez specjalnego rozgłosu) – podejmowano studia w zakresie szeroko pojętej kultury (sztuki, literatury), biografistyki, językoznawstwa, nie mówiąc o coraz liczniejszych edycjach wspomnień – jeśli tylko nie dotyczyły zbrodni sowieckich lub ukraińskich. Szczęśliwie, z biegiem czasu i te ograniczenia upadły.

Jako pioniera prac badawczych trzeba wymienić przede wszystkim prof. R. Aftanazego (we Wrocławiu), autora wielotomowego dzieła o rezydencjach (o dość enigmatycznym – z konieczności – tytule). Ale już w parę lat później, po 1990 roku, szereg historyków podjęło badania i wydawnictwa z całymi zespołami – to przede wszystkim prof. J. Ostrowski w Krakowie (kościół i klasztor na ziemiach pld.-wsch.; podobny zespół działa w Warszawie dla ziem pln.-wsch.), prof. J. Purchla w Krakowie (Kraków i Lwów w XIX i XX wieku), prof. S.S. Niciejca w Opolu, zespół prof. W. Bonusiaka w Rzeszowie (oba wielotematyczne), dwa zespoły w Akademii Pedagogicznej w Krakowie (wielotematyczny oraz w zakresie wydawnictw), zespół prof. H. Madurowicz-Urbańskiej na UJ (historia gospodarcza), zespół w Instytucie Historii Sztuki UJ (historia sztuki), zespół dra W. Drelicharza w Instytucie Historii UJ (inskrypcje w kościołach i na cmentarzach). Analogiczne zespoły pracują w innych miastach, przy innych uczelniach.

Oprócz zespołów, prowadzonych przez profesorów, szereg badaczy prowadzi badania i wydaje indywidualnie. Trzeba więc wymienić liczne opracowania księży, dotyczące Kościoła na Ziemiach Wschodnich – tu na pierwszym miejscu ks. prof. J. Wołczański w Krakowie. Szczególne zagadnienie stanowią fundamentalne prace na temat ludobójstwa ukraińskiego (W.i E. Siemaszkowie w Warszawie, S. Siekierka we Wrocławiu, L. Kulińska w Krakowie). Niemal dorobek mają dr T. Kukiz (Madonny), Z. Hauser (cmentarze i wiele innych tematów), W. Szolginia, Cz. Blicharski, Z. Kurzowa. Do tego dodajmy prace osób, piszących o sprawach kresowych doraźnie, sporadycznie (w tym prace doktorskie).

# Felieton

## FELIETON PEŁEN SMUTKU

*J*eździmy tam, do tego miasta, w którym tak bardzo byliśmy, a teraz nas tam nie ma. Miasto jest. Nie dotknął go żaden kataklizm. Wojna nie zburzyła jego kościołów i domów. Chodzimy po ulicach, które są jak były, chociaż mają inne nazwy, pisane w obcym języku i w nienaszym alfabecie. Ale chcemy to miasto pokazać swoim dzieciom i wnukom. Wchodzimy do mieszkań, które kiedyś były naszymi mieszkaniami. Ci, którzy w nich teraz mieszkają, otwierają przed nami drzwi, pozwalają zaglądać do pokoi i oglądać przez okna widok, który był widokiem z naszych okien. Czy czujemy się obco? Nie. Przecież nic się właściwie nie zmieniło.

Idziemy na cmentarz, na groby naszych ojców i dziadków, palimy świece i kładziemy kwiaty, jak kiedyś. Przypominamy sobie dawne lata, szkołę, do której niegdyś chodziliśmy. Czujemy się szczęśliwi, że jednak to wszystko jest. Nie ma już tylko w tym mieście nas. I ten Lwów, który był naszą kolebką, naszym znanym na pamięć miastem, dla nas staje się miastem obcym. Coś z niego odeszło na zawsze, ale właściwie nie wiadomo co. Dla tych, którzy po nas tu będą przyjeżdżać, jak nas już zabraknie, będzie to miasto z opowiadań przodków. I dlatego patrzymy na nie ze smutkiem.

*Bo to myśmy zostali zmuszeni do odejścia. Miasto zostało.*

Barbara Czałczyńska

### JESTEŚMY W INTERNECIE

W poprzednim numerze – CL 4/06, na s. 1 – podaliśmy nasze numery internetowe, poniżej doprecyzowanie tamtej informacji.

Oficjalny adres poczty elektronicznej jest następujący:

**info@cracovia-leopolis.pl**

Bez zmian pozostaje nasz adres internetowy:

**www.cracovia-leopolis.pl**

# Modlitwa wiernych na 88. rocznicę obrony Lwowa

22 Listopada 2006

Modlitwa autorstwa Pawła Naleźniaka, odmówiona w Bazylice Mariackiej w Krakowie w czasie uroczystej Mszy św. rocznicowej.

## 1.

Słowa premiera Winstona Churchilla: *Niewiele jest zalet, których by Polacy nie posiadali, ale też niewiele jest wad, których zdołaliby się ustrzec.*

Módlmy się za rządzącymi naszym krajem, aby przez mądrą i rozważną politykę zagraniczną przyczynili się do dobra i pomocy naszym Rodakom za wschodnią granicą. Módlmy się, aby pamięć i troska o dziedzictwo historyczne pozostawione na Kresach była tym, co łączy Polaków niezależnie od różnic i sympatii politycznych. Ciebie prosimy, wysłuchaj nas Panie.

## 2.

Słowa Matki Elżbiety Czackiej: *Gdyby nasze linie przerwano, nasze barykady zburzono, twierdzami, których nikt nie zdobędzie, musimy być już tylko my sami.*

Módlmy się za naszych Rodaków, mieszkających na Kresach, aby mogli bez przeszkód kultywować narodową kulturę i tradycję. Módlmy się za obecne władze miasta Lwowa, aby umiały odrzucić wszystko, co wypływa z ducha nacjonalizmu, i zgodziły się na otwarcie Domu Polskiego we Lwowie, a także zwrot zagrabionych świątyń: kościoła i klasztoru ss. Benedyktynek oraz kościoła pw. św. Marii Magdaleny ich prawowitym właścicielom. Ciebie prosimy...

## 3.

Słowa kardynała Stefana Wyszyńskiego: *Zwycięstwa odnoszone wbrew prawom moralnym są zapowiedzią klęski, która przyjdzie.*

Módlmy się o przywrócenie funkcji sakralnych wielu kościołom i kaplicom, barbarzyńsko zdewastowanym na Kresach przez bezbożny komunizm. Módlmy się, aby wśród chrześcijan zamieszkujących tamte ziemie zapanował duch jedności i pokoju, a także, by prawa mniejszości narodowych do liturgii mszy świętej w ich własnym języku były szanowane. Ciebie prosimy...

## 4.

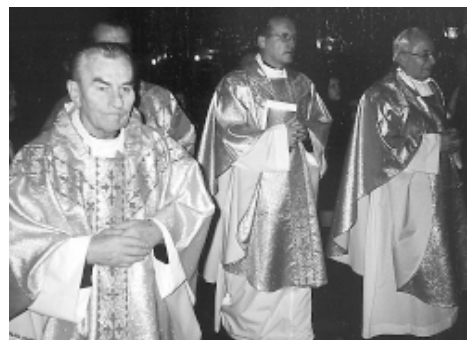
Słowa marszałka Ferdynanda Focha: *W chwili, kiedy wykreślano granice Europy, biedząc się nad pytaniem, jakie są granice Polski, Lwów wielkim głosem odpowiedział: Polska jest tutaj!*

Módlmy się za wszystkich, którzy walczyli w obronie Lwowa i Kresów południowo-wschodnich w latach 1918–1920. Módlmy się o dar życia wiecznego dla śp. Zdzisława Tatara-Trzeźniowskiego, Czesława Mączyńskiego, Tadeusza Rozwadowskiego, Michała Karaszewicza-Tokarzewskiego, Mieczysława Boruty-Spiechowicza, Romana Abrahama, Bolesława Zajączkowskiego, arcybiskupa Józefa Teodorowicza, Rudolfa Indrucha, Jerzego Bitschana i wszystkie Orleń, za żołnierzy francuskich i lotników amerykańskich, legionistów i peowiaków, ofiarne walczących ochotników-cywilów, lekarzy i pielęgniarki. Ciebie prosimy...

## 5.

Słowa poety Władysława Bełzy: *Ojców naszych ziemio święta, ziemio wielkich cnót i czynów, tyś na wskroś jest przesiąknięta krwią ofiarną swoich synów.*

Módlmy się za dusze naszych żołnierzy, którzy w tragicznym wrześniu 1939 roku bronili ziem kresowych przed niemiecko-bolszewickim najazdem. Polecajmy Bogu obrońców Lwowa, idące z odsieczą miastu oddziały armii „Małopolska”, ofiary niemieckich nalo-



Msza św. rocznicowa w Bazylice Mariackiej 22 XI '07. Od lewej: ks. infułat S. Małyśiak, ks. prof. J. Wołczański, ks. J. Pyrek

tów, sowieckich deportacji, zamęczonych w więzieniach Lwowa, Złoczowa, Łucka, niewinnie pomordowanych przez nacjonalistów ukraińskich, żołnierzy Armii Krajowej poległych w akcji „Burza” i represjonowanych po wojnie. Prośmy, aby dzięki ich zasługom ojczyzna nasza cieszyła się trwałym pokojem i błogosławieństwem, szacunkiem i powagą wśród innych narodów. Ciebie prosimy...

6.

Słowa poety Jana Kochanowskiego: *A jeśli komu droga otwarta do nieba – Tym co służy ojczyźnie – Wątpić nie potrzeba.*

Módlmy się o rychłe wyniesienie na ołtarze Sług Bożych o. Serafina Kaszuby i ks. Władysława Bukowińskiego oraz wszystkich kapłanów – męczenników kresowych. Prośmy za dusze śp. biskupów Jana Cieńskiego, Jana Olszańskiego, Rafała Kiernickiego, księży Henryka Mosinga, Wenantego Katarzyńca i wielu innych – aby za swe zasługi w obronie wiary i polskości otrzymali wieczną nagrodę w niebie. Ciebie prosimy...

7.

Słowa biskupa Michała Kozala: *Od przegranej orężnej bardziej boli upadek ducha u ludzi. Wątpiący staje się mimo wszystko sojusznikiem wroga.*

Dziękując Bogu za odnowienie i poświęcenie Cmentarza Obrońców Lwowa, módlmy się w intencji osób, które na czele ze śp. Józefem Bobrowskim przyczyniły się do realizacji tego wielkiego dzieła. Polecając Bogu wszystkich zmarłych członków Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, prośmy, aby błogosławieństwo Boże wspierało wszystkich, którzy przyczyniają się do ratowania zabytków polskiej historii i kultury na Kresach. Ciebie prosimy...

8.

Słowa papieża Jana Pawła II: *Musicie od siebie wymagać, choćby inni od was nie wymagali.*

Módlmy się za nas samych, aby nigdy nie zabrakło wśród nas ludzi mocnych wiarą, nadzieją i miłością, ofiarnie i szczerze kochających swą Ojczyznę. Prośmy za młodzież, aby na wzór Orłąt nie bała się podejmować trudu pracy nad sobą, stroniąc od wszystkiego, co rodzi się z pokusy łatwego życia, pychy, lenistwa i egoizmu. Ciebie prosimy...

*Patrz relacja z obchodów 88. rocznicy Obrony Lwowa na s. 57*

## W SPRAWIE JĘZYKA POLSKIEGO W KOŚCIELE

### List Grupy Wiernych Parafii św. Antoniego we Lwowie

Ojciec Proboszcz  
Parafii św. Antoniego we Lwowie  
Aleksander Litwiniuk  
Lwów, ul. Łyczakowska 49a

Do wiadomości:  
Jego Eminencja książdz Kardynał  
Marian Jaworski  
Lwów, ul. Winniczenki 1

Ojciec Prowincjał zakonu Franciszkanów  
Kraków, ul. Franciszkańska

Czcigodni Ojcowie,

Dla Polaków Lwowa sprawą niezwyklej wagi jest zachowanie tradycji narodowych i możliwości wyznawania wiary w języku naszych przodków. Dzięki determinacji i twardej postawie naszych rodziców wiara przetrwała, nie zamknięto wszystkich świątyń, a nawet zachowano ich substancję materialną. Parafianie Sanktuarium św. Antoniego oraz Polacy Lwowa są zaniepokojeni sytuacją spowodowaną wprowadzeniem liturgii w języku ukraińskim zamiast istniejącej już o godzinie 18.00 mszy świętej po polsku.

W okresie ZSRR msze św. odprawiano 2 razy w tygodniu i odbywało się to w języku polskim. Następnie udało się wywalczyć codzienne nabożeństwa, również w języku polskim. Obecnie czynione są próby zabrania nam tego, co było utrzymywane z wielkim trudem i poświęceniem przez wszystkie powojenne lata – możliwość wyznawania wiary i uprawiania kultu w swoim ojczystym języku polskim. Z uzyskaniem niepodległości pojawiły się rzymskokatolickie wspólnoty parafialne: rosyjska i ukraińska, które mają nabożeństwa w kościele św. Antoniego. Ze względu na powszechność Kościoła katolickiego ze zrozumieniem przyjęliśmy ten fakt. Każda mniejszość narodowa na Ukrainie, również polska, ma zagwarantowane przez Konstytucję prawo do posługiwania się językiem ojczystym publicznie, w tym w miejscach uprawiania kultu religijnego. Teraz nasze prawo konstytucyjne staje się coraz bardziej ograniczane pomimo tego, że żyjemy w Niepodległej Ukrainie.

Szczególnie drastyczne były niestosowne wypowiedzi po wygłoszonych naukach rekolekcyjnych. Piękne treści nauk zostały zniwelowane przez niezrozumiałą postawę językową duszpasterzy. Publicznie jesteśmy oskarżani o wrogą postawę wobec naszych współparafian. My, Polacy, traktujemy ich jak współbracia w wierze, aczkolwiek pragniemy, jak każdy naród, zachować czystość języka liturgicznego dla każdej narodowości. Najbardziej dotknął nas fakt postawienia „pytania językowego” przed dziećmi w wieku przedszkolnym i młodszym szkolnym, pomijając opinię obecnych rodziców na spotkaniu rekolekcyjnym w dniu 09.12.06 r. o godz. 12.00. Dzieci przyszły na rekolekcje w języku polskim, a zmuszone były do wysłuchania ich w języku ukraińskim. Rekolekcje adwentowe były zakończone oskarżeniem Polaków o chęć usunięcia wiernych innych narodowości z naszej parafii. Takie publiczne oskarżanie mija się z prawdą, jest bezpodstawne i szkodliwe dla nas wszystkich przez eksponowanie nieistniejącego problemu w miejscu świętym. Zamiast zgody i pokoju w sercach parafian różnych narodowości zasiano zamęt w dniu 10.12.06 r. o godz. 18.00.

Nasza postawa jest tolerancyjna wobec potrzeb wprowadzenia odrębnych godzin nabożeństw w innych językach. Wyrażamy głęboką potrzebę wyznawania wiary w języku polskim, który jest zrozumiały wszystkim wiernym. Posługujemy się nim na co dzień. Jest to również wspinała możliwość utrwalenia polszczyzny dla tych, którzy ją zapominają, bądź tych, którzy chcą się polskiego nauczyć. Ukraiński bowiem jest nam wszystkim dobrze znany jako język porozumiewania się we Lwowie i język urzędowy. Językiem modlitwy jest jednak dla każdego język ojczysty.

Bardzo nam zależy na utrzymaniu dotychczasowych godzin odprawiania mszy świętych w języku polskim niezależnie od wprowadzanych dodatkowo mszy w innych językach. Prosimy o utrzymanie status quo i odprawianie nabożeństw po polsku w dotychczas ustalonych godzinach.

Z szanowaniem  
Parafianie św. Antoniego i wierni Lwowa

Lwów, dnia 10.12.2006 r.  
ul. Rylejewa 9/6

W załączniku lista podpisów na 7 stronach

(Nasza Redakcja otrzymała odbitki 7 stron z 225 podpisami)

Adolf Wisłowski

## KRÓTKA HISTORIA NISZCZENIA KRZYŻY I FIGUR W CZASACH KOMUNIZMU

### *Co widziałem i słyszałem od innych ludzi*

W naszym ogrodzie przy ulicy Trakt Glińska 161 był duży, drewniany krzyż postawiony przez naszego dziadka Karola Kosteckiego. Został on postawiony na pamiątkę ślubu mojej mamy Marii Kosteckiej z Kazimierzem Wisłowskim w 1929 r. Krzyż został zniszczony w latach 60. pewnej nocy przez komsomolców-tractorzystów. Ten krzyż już przegnił i ja go przywiązałem do blisko stojących czereśni, żeby nie upadł. Traktorzyści zaczęli trosem (?) o krzyż i próbowali go zwalić. Ale przywiązany krzyż od razu się nie poddał. Łamali go kilkakrotnie, tak że rano straszno było patrzeć – połamane kawałki krzyża, połamane, poobdzierane z kory drzewa. A z boku leżała figura Pana Jezusa. Znam nazwiska tych traktorzystów, ale nie podam ich, bo rodziny jeszcze żyją. Kilka albo kilkanaście miesięcy później ci sami traktorzyści jechali do Podborzec. Dobrze wypili, wjechali na brzeg wąwozu i traktor przewracając się ich przigniotti. Kiedy był ich pogrzeb we wsi Podborce, choć to duża wieś, za ich trumnami nikt nie poszedł. Ludzie stali na podwórzach i mówili, że to ci, co krzyże zwalali. I tak jechały te czerwone trumny, partyjnych zasłużonych. Na tym samym miejscu postawiłem w swoim sadzie nowy krzyż.

Na drodze z Lesienic do Winnik na kamiennym fundamencie stała figura Matki Boskiej. Kiedy traktorzysta orał pole, to omijał figurę, nie ruszał jej. Przyjechał kierownik kołchozu i kazał zwalić figurę. Traktorzysta odmówił. Wtedy on sam siadł do traktora i rozwalił figurę. Matkę Boską ktoś zabrał, a kamienie fundamentu leżały na skraju drogi, bo rowu w tym miejscu nie było. Kilka miesięcy potem ten sam kierownik kołchozu jechał tamtędy; prędko jechał i najechał na kamienie. Pobił auto i siebie. Ja wtedy leżałem w szpitalu w Winnikach, gdzie przy-

wieźli tego rannego kołchoźnika. Krzyczał, że to mu zrobiła Matka Boska za to, że on ją zwał. Nie wiem, co dalej się z nim działo, bo go przewieźli do szpitala dla partyjnych działaczy we Lwowie.

Naprzeciw fabryki tytoniu w Winnikach, na rogu, stała duża figura Matki Boskiej, kilkumetrowej wysokości. Komunistyczny dyrektor fabryki kazał tę figurę zwalić. Najpierw robotnicy tylko nogi porozbijali i tak stała jakiś czas, a potem zburzyli ją w całości. Leżałem wtedy w szpitalu w Winnikach, bo to był mój rejonowy szpital i leczyłem się z astmy bronchitowej. Leżałem tam kilka miesięcy i pewnego dnia przywieźli tego dyrektora fabryki tytoniu. Nazywał się Lebiec, a kierownik szpitala, Sordan, był jego dobrym znajomym (dlatego nie pojechał do szpitala dla partyjnych). Amputowali mu nogi, a on mówił, że pewnie to dlatego, że kazał zburzyć figurę Matki Boskiej.

We wsi Kaminopol (teraz Jampol) między Podborcami i Prusami stał krzyż misyjny. Nauczycielka-komsomołka chciała ten krzyż publicznie porąbać. Siekiera poślizgnęła się na jej nogi i tak się skończyło niszczenie krzyża. Ale nie tylko krzyże i figury niszczone. Jednej nocy przy drodze zwalili dwa aniołki obok figury Matki Boskiej. Samej figury nie udało się zniszczyć, bo figura, kilkumetrowej wysokości, była dobrze przymocowana. Próbowali rozmaitymi sposobami, ale figury nie udało się zburzyć. Za to zwalili poręcze schodów. Te kamienne bloki ważyły po kilkaset kilogramów i były dobrze zamocowane, na żelaznych sztyftach. Figury św. Antoniego nie mogli zniszczyć, bo duża, wobec tego zniszczyli żelazne podpory podtrzymujące baldachim nad figurą św. Antoniego (patrz fot.). Zburzono krzyż misyjny, który stał przed kościołem św. Antoniego. Krzyż był przegniły, więc niedużo siły to kosztowało komsomolców. Koło dzwonnicy robili sobie pijackie orgie, tak że niebezpiecznie było chodzić koło kościoła św. Antoniego. Rano trzeba było sprzątać szkła, puszkę po konserwach i śmieci, żeby uniknąć kary za brak czystości. Stróż kościelny musiał już w dzień w kościele czuwać, żeby go wieczorem nie napadli i kościoła nie obrabowali.

Niszczenie krzyży i figur skończyło się na kościele św. Elżbiety przy ul. Gródeckiej we Lwowie. Grupa komsomolców-alpinistów

zabiła się spadając z dachu, a krzyż trochę się skrzywił. Jak opowiadali pobliscy mieszkańcy, taki skrzywiony krzyż pozostał przez długi czas.

Niektóre ze zburzonych krzyży leżą do dziś. Np. na szpitalu Caritasu przy ulicy Łyczakowskiej zwalony krzyż leży na dachu.

Koło rzymskokatolickiej katedry lwowskiej stała kamienna rzeźba Pana Jezusa w grobie. Była pozostałością po cmentarzu, który tam się kiedyś znajdował. Władze komunistyczne kazały księdzu Jastrzebskiemu zabrać rzeźbę. Ksiądz bronił się mówiąc, że nie on ją stawiał i dlatego nie ma do niej prawa. Władze zrobiły to same, usuwając rzeźbę. Po gorbaczowskiej „odwilży” dyr. Woźnicki z Lwowskiej Galerii Obrazów zaproponował zwrot rzeźby Pana Jezusa za 350 dolarów. Proboszcz katedry ksiądz Andrzej Baczyński zgodził się i w ten sposób rzeźba wróciła na swoje dawne miejsce, do grobu z rzeźbionego kamienia koło katedry.

Były i takie ciekawe przypadki: na bramie klasztoru Benedyktynek, w bok od Placu Strzeleckiego, znajdowało się malowidło przedstawiające św. Michała Archanioła (jest tam też kościół pod jego wezwaniem). I ten obraz kazano zniszczyć, ale robotnik, który to robił, przykrył tylko malowidło blachą, którą zamalował. Teraz, gdy zdjęto blachę, ukazało się stare, nawet nie bardzo zniszczone malowidło. Tak zwykli ludzie robili co mogli, aby ratować co się dało wierząc, że tak zawsze nie będzie. Chwała im za to.

Niszczono nie tylko krzyże i figury, ale i zmarłych bezczeszczono. Tak się stało z ciałem arcybiskupa Bolesława Twardowskiego, pochowanym w kościele Matki Boskiej Ostrobramskiej na górnym Łyczakowie. Kościół powstał staraniem arcybiskupa. Komuniści zamienili świątynię w skład książek, ograbili trumnę, a ciało arcybiskupa w prześcieradle zawieziono nocą do katedry lwowskiej.

Zniszczono również krzyż misyjny, który stał naprzeciw kościoła Matki Boskiej Ostrobramskiej w Parku Głowackiego. Do dziś nie ma tam nic. Sam widziałem, jak figurę Matki Boskiej, która stała w centrum schodów kościoła, przewieziono do kościoła Bernardynów. Władze ukraińskie nie chciały stawiać z powrotem polskiej Matki Boskiej. Postawili ukraińską, na Placu Mariackim.



Łukasz Tomasz Sroka

# CZEMŻE SIĘ POCHWALIĆ ZDOŁASZ, MIASTO JEDYNE...

czyli historycy z Akademii  
Pedagogicznej w Krakowie  
badają Lwów<sup>1</sup>

Czemże się pochwalić zdołasz, miasto jedyne... – w ten przewrotny sposób pytał przed laty Stanisław Wasylewski w swojej pracy pt. *Lwów*, wydanej w serii „Cuda Polski”<sup>2</sup>. Próby odpowiedzi na to pytanie podejmują się kolejne pokolenia historyków, w tym także krakowskich, wśród nich ważne miejsce zajmują pracownicy naukowi Akademii Pedagogicznej. Opisują zagadnienia, które są im najbliższe; w ten sposób odkrywamy życie kulturalne i naukowe Lwowa, tamtejszego duchowieństwa, ziemiaństwa, Żydów, etc. Dzięki temu doskonale wiemy, czym Lwów może się pochwalić, a istotnie jest czym.

Wśród najlepiej opracowanych tematów znajdują się życie oraz aktywność społeczna i gospodarcza ziemian we Lwowie. Jest to zasługą przede wszystkim profesora Kazimierza Karolczaka i jego prac, m.in.: *Dziadusiacy. Dzieje rodu. Linia poturzycko-zarzecka* (Kraków 2001) oraz *Ziemiannin w mieście. Lwowskie siedziby arystokracji galicyjskiej*<sup>3</sup>. Historykowi literatury Piotrowi Borkowi zawdzięczamy prace związane z historią i literaturą, np. *Ukraina w staropolskich dziurach i pamiętnikach. Bohaterowie, fortece, tradycja* (Kraków 2001) i *Samuel Kazimierz Kuszewicz – lwowianin z wyboru*<sup>4</sup>. On także opracował *Dyjaryjusz wziętego Lwowa przez króla szwedzkiego Karola XII die 6 mensis Septembris anno 1704*, autorstwa Jana Tomasza Józefowicza (Kraków 2003). Efektem wieloletnich skrupulatnych badań archiwalnych są prace Henryki Kramarz – zaliczają się do nich: *Samorząd Lwowa w czasie pierwszej wojny światowej i jego rola w życiu miasta* (Kraków 1994) oraz *Ks. Jan Badeni (1858–1899) w życiu i na łamach prasy*<sup>5</sup>.

Od 1992 roku co dwa lata odbywają się konferencje naukowe z cyklu: *Lwów. Miasto – społeczeństwo – kultura*; w roku 2006 we Lwowie miała miejsce ósma konferencja. Jednym z twórców i stałych organizatorów

konferencji jest prof. Kazimierz Karolczak. Pokłosem tych międzynarodowych spotkań badaczy i miłośników Lwowa są publikacje książkowe. Już w 2004 roku, w trakcie podsumowania siódmej konferencji, profesor Feliks Kiryk powiedział, iż: *Nie jest możliwe napisanie obecnie solidnej historii Lwowa i Galicji, która uwzględniłaby stanowiska strony polskiej i ukraińskiej, bez sięgnięcia*

*do publikacji będących dorobkiem tych konferencji*. Do naukowców związanych z Akademią Pedagogiczną w Krakowie, którzy do tychczas wygłosili swoje referaty i opublikowali teksty na łamach tomów *Lwów. Miasto-społeczeństwo-kultura*, należą<sup>6</sup>: Piotr Borek, Józef Brynkus, Jacek Chrobaczyński, Józef Hampel, Kazimierz Karolczak, Feliks Kiryk, Henryka Kramarz, Czesław Michalski, Czesław Nowarski, Bożena Popiołek, Łukasz Tomasz Sroka, Michał Śliwa i Piotr Trojański.

Akademia Pedagogiczna jest również współorganizatorem konferencji z cyklu: *Książki, czasopisma i biblioteki Krakowa i Lwowa XIX i XX wieku*.

Sukcesy wydawnicze naszych naukowców oparte są na rozległych, wieloletnich badaniach archiwalnych w licznych archiwach i bibliotekach, rozsianych od Kórnika, przez Wrocław, Kraków aż po Lwów. W Grodzie Lwa prowadzą (bądź prowadzili) swoje badania m.in.: Piotr Borek, Józef Hampel, Feliks Kiryk, Kazimierz Karolczak, Henryka Kramarz i Łukasz Tomasz Sroka. Podczas swoich pobytów nie tylko wykonywali kwerendy archiwalne, ale także występowali z referatami (np. w 1991 roku wygłosili swoje referaty: Henryka Kramarz *Życie codzienne Lwowa w czasie pierwszej wojny światowej*, Józef Hampel *Procesy radykalizacji wsi małopolskiej w latach II Rzeczypospolitej* i Henryk Kotarski *Prace nad atlasem historyczno-wojskowym ziem ruskich Rzeczypospolitej XVI–XVIII wieku*). W ramach wymiany naukowej pomiędzy Akademią Pedagogiczną w Krakowie a Uniwersytetem Lwowskim referaty




wygłosili również Kazimierz Karolczak, Feliks Kiryk i Henryk Żaliński. Oprócz tego zorganizowane są różne, bardziej lub mniej formalne, panele dyskusyjne z udziałem miejscowych uczonych: starszych i doświadczonych oraz młodych, dopiero co wkraczających na forum nauki. Tym inicjatywom zawdzięczamy nie tylko wspomniany już wcześniej cykl konferencji, ale także przełamywanie barier i liczne przyjaźnie. To z kolei przełożyło się na nawiązanie oficjalnej współpracy Akademii Pedagogicznej w Krakowie im. Komisji Edukacji Narodowej z Uniwersytetem Lwowskim im. Iwana Franki. Profesor Kazimierz Karolczak stał się opiekunem młodych historyków ukraińskich odbywających staże naukowe w Krakowie.

Jest jeszcze jeden człowiek, którego nie sposób pominąć w niniejszym artykule. Za jego sprawą mogliśmy poznać lwowskie obyczaje intelektualne, kulturalne i towarzyskie – to profesor Marian Tyrowicz (1901–1989). Od urodzenia związany ze Lwowem, w 1925 r. ukończył tamtejszy Uniwersytet Jana Kazimierza. W 1955 roku podjął pracę w ówczesnej Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie. Pozostawił po sobie szereg materiałów źródłowych i publikacji na temat Lwowa, m.in. *Wspomnienia o życiu kulturalnym i obyczajowym Lwowa 1918–1939*<sup>7</sup>. Bibliografię prac prof. Mariana Tyrowicza można znaleźć w wydawnictwach: *Z dziejów polskich ruchów społecznych w XIX wieku. Studia-Skice-Odczyty* (Warszawa 1965), *Z dziejów Polski XIX i XX wieku* (Kraków 1978) oraz *Studia z dziejów Małopolski w XIX i XX wieku* (Kraków 1992)<sup>8</sup>. Lwowski akcent wystąpił również w życiu profesora Adama Przybosia (1906–1990), który przez

pewien czas pełnił funkcję nauczyciela prywatnego w domu hr. Michała Baworowskiego we Lwowie. Od 1950 r. związał się z WSP w Krakowie<sup>9</sup>.

Lwów urzekła kolejne pokolenia historyków krakowskich. Trudno się temu dziwić, wszak w tym mieście wszystko jest piękne. Najpiękniejsza naturalnie jest historia, ale odpowiadając na pytanie Stanisława Wasylewskiego można dodać, że Lwów może się również pochwalić piękną architekturą, uroczymi kawiarniami, pyszną kawą i niepowtarzalnym barszczem. Niniejsze fakty zgodne są z tym, co przed I wojną światową pisał o mieście prof. Strzygowski: *Wedle powszechnego mniemania Lwów jest miastem nudnym, rozciągniętym na płaszczyźnie, podług szablonu krzyżujących się systematycznie ulic, ot coś jak gdyby Mannheim. Urzędnicy, wojsko, emeryci, a wszystko to ugamirowane ponadto polskimi żydami; cóż w tem ciekawego?*<sup>10</sup>. *Jestem prawie przekonany, że sami Lwowianie sądzą podobnie o swym mieście. A przecież mieszkają oni w prawdziwym raj! Gdyby Lwów miał rzekę, należałby do najpiękniejszych miast na świecie... Jest jednak miastem nie tylko pięknym, lecz – w porównaniu z Krakowem – posiada własną, odrębną fizjonomię, a to dzięki czynnikom, które od razu zwracają uwagę przyszła, że dotarł do granic zachodnioeuropejskiej kultury.*

Lwów naturalnie nigdy nie był i nie jest nudny, co poświadczają chociażby powtarzane do dnia dzisiejszego lwowskie piosenki i skecze pochodzące z repertuaru tamtejszych kabaretów. Mimo to nie ma nic lepszego, jak samemu się o tym wszystkim przekonać.



Widok panoramiczny Lwowa z Góry Piaskowej (lata międzywojenne, wg O. Czerner, *Lwów na dawnej rycinie i planie*)

## PRZYPISY

- <sup>1</sup> Artykuł dedykuję Profesorowi Kazimierzowi Karolczakowi, który zainspirował mnie do podjęcia badań naukowych poświęconych historii Lwowa.
- <sup>2</sup> Reprint wydano we Wrocławiu w 1990 r.
- <sup>3</sup> Praca opublikowana w: „Annales Academiae Paedagogicae Cracoviensis 21. Studia Historica III”, *Księga Jubileuszowa Profesora Feliksa Kiryka*, pod red. A. Jureczki, F. Leśniaka, Z. Nogi, Kraków 2004, s. 395–404.
- <sup>4</sup> Praca opublikowana w: *Lwów. Miasto-społeczeństwo-kultura*, t. V: *Ludzie Lwowa*, Studia z dziejów Lwowa pod red. K. Karolczaka, Kraków 2005, s. 11–36.
- <sup>5</sup> Praca opublikowana w: *Ibidem*, s. 159–171.
- <sup>6</sup> Najnowszy tom, zawierający referaty wygłoszone podczas VIII Konferencji, jest aktualnie przygotowywany do druku we Lwowie.
- <sup>7</sup> Praca wydana we Wrocławiu w 1991 r., z przedmową Juliana Maślanki. Zob. *Leksykon profesorów Akademii Pedagogicznej im. Komisji Edukacji Narodowej 1946–2006*, pod red. J. Hampła, F. Kiryka, I. Pietrzkiwicz, Kraków 2006, s. 584–585.
- <sup>8</sup> Na podst. J. Hampel, *Bibliografia prac prof. Mariana Tyrowicza za lata 1977–1989*, [w:] „Rocznik Naukowo-Dydaktyczny” Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Krakowie, Prace Historyczne XIII: *Studia z dziejów Małopolski w XIX i XX wieku*, pod red. L. Mroczyki, Kraków 1992, s. 275.
- <sup>9</sup> Zob. *Leksykon...*, op. cit., s. 462–463.
- <sup>10</sup> Cyt. za. S. Wasylewski, *Lwów*, Wrocław 1990, s. 10.

ŁUKASZ TOMASZ SROKA, ur. 1979 w Skawinie. Absolwent studiów historycznych w Akademii Pedagogicznej w Krakowie, tamże doktorat. Uczeń prof. K. Karolczaka. Nauczyciel akademicki w Katedrze Historii XIX w. w Instytucie Historii AP. Prowadzi badania na temat Rady m. Lwowa w okresie autonomii galicyjskiej.

# NASZE MIASTA W XVII WIEKU

*Przedstawiony niżej artykuł ukazał się w „Gazecie Lwowskiej” w 1943 roku, a otrzymaliśmy go od Pana dra Tadeusza Krzyżewskiego. Nosił tam tytuł „Miasta galicyjskie przed 300 laty”. Teraz byłoby to już ponad 360 lat, a nazwy „Małopolska Wschodnia” – zamiast „Galicja”, „Distrikt Galizien” – w latach okupacyjnych stosować się nie dało.*

Pan Ulryk von Werdum, pochodzący z fryzyskiego szlacheckiego rodu, wychowanek uniwersytetu w Heidelbergu, w latach 1670–1672 podróżuje po ziemiach leżących między Bałtykiem i Dnieprem. W pamiętnikach swoich sporo miejsca poświęca terenowi obecnego dystryktu Galizien. W opisie miast, które przejeżdżał, widział wszędzie ruinę, ślady spustoszeń po najazdach wschodniej nawały. Jest w tym pewna analogia do współczesności, do tego, co w inny sposób ten sam kraj ucierpiał za czasów bolszewickiej inwazji. Ciekawie będzie przyjrzeć się kilku cenniejszym miastom dystryktu Galizien w ich obrazie z drugiej połowy XVII wieku. W tym celu wyjmujemy kilka miejsc z Werdumowskiego diariusza podróży:

**Brzeżany.** Miasto to należy do chor. kornego Sieniawskiego. Jest to jego zwykła rezydencja. Leży pomiędzy pagórkami nad wielkim jeziorem. Wały z ziemi i fosa otaczają je. W Brzeżanach są trzy polskie kościoły: fara, wielka i dobrze zbudowana, kościół św.

## Zadanie dla lwowian i nie tylko

W Krakowie powstała niezwykle interesująca inicjatywa, odnosząca się oczywiście do tego miasta, jednak warta przejęcia także przez środowisko lwowskich i w ogóle wschodniomałopolskich expatriantów. O co chodzi?

Otóż rozpisano tu konkurs, którego celem jest wyłonienie rodzin najdłużej mieszkających

w swoim mieście. Żyjący potomkowie powinni wskazać najdawniejsze wzmianki lub dokumenty o swoich przodkach, żyjących tu z pokolenia na pokolenie. Zalecono im zwrócić uwagi na archiwa macierzystych parafii (metryki chrztów, ślubów, pogrzebów i sporządzenie genealogii aż do współczesnej generacji. Nb. zdziwiło nas, że wśród nadesłanych już prac, dokumentujących zamieszkanie w Krakowie, niektórym udało się dotrzeć do połowy XIX wieku, jest także praca zahaczająca o 2. połowę XVIII wieku... Byliśmy przekonani, że krakowianie wykażą obecność swoich rodzin co najmniej od XVI–XVII wieku.

Mikołaja na najwyższym wzgórzu w mieście i kościół zamkowy, wszystkie trzy z kamienia. Rusini, czyli Grecy, mają cztery kościoły, dwa z kamienia i dwa z drzewa. Warowna sytuacja i waleczność mieszkańców broniły miasta nawet za czasów oblężenia Podhajec. Tatarów pobito, ile razy się tu pokazali.

**Halicz.** Jest to starostwo. Starostą jest teraz Andrzej Potocki, wojewoda i generał kijowski, który tu zamek niedawno kazał obwarować kształtem trójkątnym. Leży on zresztą i z natury na korzystnym wywyższeniu.

**Podhajce.** Jest to śliczne miasto na równinie nad jeziorem położone. Duże i dość dobrze zbudowane z kilku ruskimi i jednym polskim kościołem, jako i jednym dla Ormian, których tutaj więcej mieszka niż Żydów. Zamek otacza kamienny mur z wieżami dość znacznej objętości. Miasto to należy do pana Konięcpolskiego, kuzyna króla Michała. W ostatnich latach nabrano ono wielkiej sławy, kiedy w roku 1665 tatarski chan osobiście z więcej niż 100 000 ludzi wielkiego hetmana polnego Jana Sobieskiego wraz z siedmiu lub ośmiu tysiącami ludzi w mieście tym oblegał; ale nie mógł mu nic zrobić, lecz musiał mu ofiarować pokój i po zawarciu jego odejść.

**Stanisławów.** Miasto to dopiero przed dziesięć laty z gruntu na nowo zbudował wojewoda kijowski Andrzej Potocki i nazwał je podług imienia swego syna, teraz dwunastoletniego panicza, któremu na imię Stanisław. Fortyfikacja składa się z sześciu regularnych baszt z ziemi z palisadami z dołu, zrobionymi z całych dębów. Wojewoda

zamierzał jeszcze kazać wyłożyć fosy i zaopatrzyć je w zewnętrzne fortyfikacje. Główna linia bastionów ma 150 stóp długości. Pan Francois Corassini z Awinionu, podpułkownik w pieśzej gwardii wojewody, zbudował te fortyfikacje. W mieście znajduje się polski kościół, ale tylko z drzewa, w którym tak długo odprawia się nabożeństwo, dopóki nie będzie zupełnie wykończony piękny kościół z kamieni. Już dość zaawansowany. Ormianie i Rusini, czyli Grecy, mają także po jednym kościele. Wojewoda założył tu także wysoką szkołę z pięciu profesorami. Zamek, w którym on sam teraz mieszka, jest także tylko z drzewa, lecz już zwieziono belki, cegły i płyty kamienne dla drugiego zamku o ciężkiej budowie, który ma stanąć w południowo-wschodnim kącie miasta. Miasto ma trzy bramy z kamienia zbudowane: na jednej z nich widnieje półksiężyc.

**Tarnopol.** Jest to miasto dziedziczne pana Konięcpolskiego, starosty dolińskiego. Leży na stoku spadzistego pagórka. Z trzech stron otacza je wielkie jezioro i szerokie moczary. Czwarta strona jest obwarowana, ma dość szeroką fosę z wykładanym wałem i dwiema grubymi wieżami na rogach, jak



A przecież my, lwowianie z dziada-pradziada, choć w większości nie żyjemy w rodzinnym mieście, także potrafimy wykazać się w wielu wypadkach parowiekową ciągłością, choć gorzej z dokumentami, rzadko też mamy dostęp do archiwów parafialnych. Mamy za to rodzinną pamięć oraz literaturę, i to nieraz daleko wstecz poza połowę XVIII wieku. Weźmy np. rodzinę Longchamps, która przybyła z Francji na przełomie XVII/XVIII w., spolszczyła się szybko i gruntownie, walczyła w naszych powstaniach i aż do ekspatriacji mieszkała we Lwowie, a teraz żyje w kilku miastach RP. Podobnie rodziny Stron-

skich, Mozerów, Jaworskich czy hr. Bielskich. I sporo innych.

Apelujemy przeto do Czytelników, ich rodzin i znajomych, by podjęli trud udokumentowania swej wielopokoleniowej lwowskości i nadesłanie do naszej redakcji. Podobnie ze Stanisławowa, Tarnopola, Kołomyi, Sambora czy Żółkwi, i tak dalej. Można spisać rodzinne przekazy, wskazać odpowiednią literaturę lub skserować posiadane dokumenty. Materiały te wzbogacą przy okazji Archiwum Wschodnich Małopolan.

O rodzinach tych będziemy pisać. Przecież nie jestem gorsi od krakowian!

Jerzy Duda

# TWIERDZE KRESOWE RZECZYPOSPOLITEJ

W marcu '06 w Muzeum Diecezjalnym w Opolu miał miejsce przedpremierowy pokaz czterech – spośród dziesięciu – odcinków dokumentalnego serialu *Perły architektury kresowej* według scenariusza Jerzego Janickiego, z komentarzem historycznym prof. Stanisława Sławomira Niciej\*, autora pomnikowych dzieł o lwowskich nekropoliach. Wyprawa dwóch znakomitych znawców tematyki kresowej wiodła przez święte miasta Polaków, do których wciąż pielgrzymują w poszukiwaniu narodowych tropów, te miasta to (w układzie alfabetycznym): Brzeżany, Buczacz, Chocim, Jazłowiec, Kamieniec Podolski, Okopy Świętej Trójcy, Olesko, Podhorce, Trembowla, Zbaraż, Żółkiew. Każda z tych miejscowości to jednocześnie tytuł kolejnego odcinka serialu emitowanego aktualnie przez pierwszy program Telewizji Polskiej. Operator Henryk Janas zapisywał okiem kamery filmowej obrazy monumentalnych budowli, świadectwo wielkości Polski

i Polaków na tych ziemiach, a prof. Nicieja z benedyktyńską cierpliwością i wnikliwością odnotowywał najdrobniejsze nawet ślady polskiej obecności na Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej, rozmawiał z Polakami tam zamieszkałymi, odnajdywał

zapomniane groby i to, o czym nie udało się powiedzieć w filmie, zapisał w świeżo wydanej książce *Twierdze kresowe Rzeczypospolitej. Historia, legendy, biografie\*\**.

Promocja książki miała miejsce 15 listopada 2006 roku również w opolskim Muzeum Diecezjalnym. O tym, jak bardzo była oczekiwana, świadczyła wypełniona do ostatnich granic wielka aula. Wprowadzając zebranych w rytm profesorskiego dzieła dr Adam Wierciński powiedział: *...Chodzi o przekaz wartości umożliwiających dialog między pokoleniami, dialog przez lata utrudniany; przemilczano tyle obszarów, wyjąłowiono historię. W ulotnej pamięci było więcej prawdy o niedawnej przeszłości niż w wielu uczonych księgach... Co ocalić od zapomnienia ze świata, który nieubłaganie odchodzi w przeszłość, jeszcze żywy, pełen barw, smaków i zapachów we wspomnieniach najstarszych, już baśniowy i daleki dla wnuków, jeszcze możliwy do odtworzenia przez historyków... A autor książki mówiąc o niej dodał: ... Można ją traktować jako rozbudowany komentarz do emitowanego serialu dokumental-*

▶ i jedną w środku, która jest zarazem bramą. Zamek wznosi się na północnym zachodzie od miasta, w samym środku jeziora, ma wielkie ciężkie zabudowanie z kamienia włoskim sposobem, którego mury i wieże na zachodzie i południu bronią także zamku tam, gdzie się jezioro ciągnie naokoło. Polacy mają tu wielki kamienny kościół w mieście, Rusini trzy. Na wschodzie miasta po prawej ręce od wschodu leży także duże przedmieście, w którym znajduje się kościół polski.

**Żółkiew.** Jest to średnie miasto, mające wraz z zamkiem dość gruby i wysoki mur na okół. Przedmieścia otaczają drewniane poprzeczne częstokoty. Miejscowość tę odziedziczył wielki hetman Sobieski po matce z rodu Żółkiewskich. Założyła ona tu klasztor Dominikanów z ładnym kościołem. Parafialny kościół polski leży w pobliżu zamku, jest zbudowany z kamienia dość dobrze.

**Złoczów.** Złoczów ma długie przedmieście z drewnianych domków pomiędzy pagórkami i naprzeciw leżącym jeziorem w stronie północno-wschodniej. Miasto z drewnianych domów złożone, jest wcale zgrabnie zbudowane około czworobocznego rynku i przeważnie zamieszkałe przez Żydów, których mnóstwo na całym Podolu i Rusi. Na wschód od miasta leży zamek na wysokim pagórku dobrze obwarowany wałem z ziemi i bastionami z płyt kamiennych wraz z wyłożoną fosą. Miasto i zamek należą do wielkiego hetmana i marszałka koronnego Jana Sobieskiego.

Wybraliśmy co większe czerwonoruskie miasta leżące na szlaku podróży Werduma, który jednakowoż też zwracał w swej drodze uwagę na pomniejsze miejscowości; zapiski o tym stanowią cenny materiał do poznania tej historycznie ważnej ziemi, wielowiekowej ustawicznej widowni zmagających się Wschodu z Zachodem.

► *nego. I stąd jej zamierzona niejednorodność, gdyż nie zamierzałem pisać tylko o ruinach niegdyś sławnych i pięknych zamków, ale również o ludziach, którzy z tymi miejscami i okolicami byli związani swymi biografiami i czynami. Historię bowiem tworzą ludzie...*

W porównaniu do serialu książka została wzbogacona o rozdział poświęcony Krzemieńcowi. O tym, że książka ma charakter popularnonaukowy, świadczy piękny styl, czyta się ją przysłowiowym „jednym tchem” i nie sposób przerwać lektury przed jej zakończeniem. To zasługa talentu literackiego autora. Ale jednocześnie zawarte w niej treści zostały oparte na bogatej kwerendzie źródłowej – świadczy o tym ponad 300 przypisów, a w tekście mowa o prawie 1300 osobach w różny sposób z Kresami Wschodnimi związanych. Słowem, ważne informacje historyczne zostały przetworzone w fascynującą opowieść. Przykładem może być postać Mikołaja Bazylego Potockiego (1706–1782), tego, który w Buczaczu wznosił barokowy kościół Matki Boskiej Szkaplerznej, gdzie nad wejściem do świątyni pyszni się złotymi literami wybita inskrypcja: *DOM. Chcąc Potockich Pilawa mieć trzy krzyże całe, Dom Krzyżowy na Boską ufundował chwałę. A.D. 1763.* Jest to aluzja do pochodzącego z 1385 r. herbu Potockich – Pilawa, przedstawiającego na kartuszu krzyż z dwoma pełnymi i jednym połówkowym ramieniem. Był Mikołaj Bazyl Potocki jednym z najbogatszych polskich arystokratów, prawdziwym królewiatkiem, ale tam, gdzie się pojawiał, były gwałt, przemoc, krew i zgorzienie. Oddajmy zresztą głos prof. S.S. Niciei: *... Po tym, jak się unurzał w rozpucie, miał ogromną potrzebę ukorzenia się przed Bogiem i w ramach pokuty budował kościoły, między innymi w Horodence, Tyśmienicy, Podkamieniu, Buczaczu. Gdy nie dostawał rozgrzeszenia, zmieniał wiarę, przechodził na obrządek ormiański, unicki... Jedną z największych jego inwestycji był zespół cerkiewno-klasztorny w Poczajowie. Na tę potężną świątynię, która do dziś jest perłą architektury na Wołyniu, przekazał ponad dwa miliony złotych polskich...*

Na promocji książki w sposób szczególny uhonorowano księdza infułata Ludwika Rutynę, dziekana buczacko-czortkowskiego, legendarnego kapłana, który wspaniałą buczacki kościół podźwignął z ruin. Książd

infułata jest jednym z bohaterów rozdziału poświęconego Buczaczowi.

Fascynujących opowieści jest w książce moc, niektóre dotyczą czasów najnowszych – taką są tragiczne dzieje Marszałka Polski Edwarda Rydza-Śmigłego, rodem z Brzeżan. Po mistrzowsku wiąże autor czasy legendarne z dniem dzisiejszym. Przykładem może być rozdział *Trembowla*, które to miasto w historii Polski nierozzerwalnie związane jest z nazwiskiem Zofii Chrzanowskiej, niezłomnej obrończyni grodu przed najazdem tureckim. Stała się ona natchnieniem malarzy, poetów, pisarzy. Swoje dzieła poświęcili jej wybitni twórcy, m.in. malarze – Franciszek Smuglewicz, Andrzej Oleszczyński, Aleksander Lesser. Ważną rolę w tworzeniu legendy o bohaterskiej obrończyni grodu odegrali również pisarze, m.in. Adam Dunin-Borkowski, Leon Siemieński, Michał Asanka-Japołt, Stanisław Witkiewicz, Adolf Nowaczyński. Barwną, ogromnie dla Trembowli zasłużoną postacią był miejscowy proboszcz ksiądz Walenty Puchała, który jako prezes Towarzystwa Szkoły Ludowej zakładał bursy, ochronki, szpitale, a w 1930 roku został burmistrzem miasta, w pięć lat później zaś przy ogólnym aplauzie został senatorem Rzeczypospolitej z województwa tarnopolskiego. Wyzwał akt wytywność ludzką, miał niespożytą energię, doprowadził do prawdziwego rozkwitu swoją miejscowość. Z miastem tym związana jest również postać wybitnego generała, dowódcy wielkich formacji wojskowych Armii Polskiej na Zachodzie w okresie II wojny światowej, wyzwoliciela Bolonii – Klemensa Rudnickiego, jedyne go polskiego – spośród przebywających po 1939 roku w więzieniach sowieckich – który dostąpił wątpliwego „zaszczytu” rozmowy z szefem NKWD Ławrientijem Berią.

O tej książce można rozprawiać i rozmawiać bez końca, zdaniem autora nadaje



Jeden z sarkofagów z kaplicy Sieniawskich kościoła zamkowego w Brzeżanach, obecnie w Krakowie na Wawelu.

się ona do czytania na różne sposoby, bo: ... *W dzisiejszych czasach trudno przeczytać coś od deski do deski. Dlatego znalazłem współczesny klucz, można moją książkę czytać wrywkowymi śródtytułami...* Oczywiście, że można, ale ci, dla których Kresy Wschodnie Rzeczypospolitej są sprawą najświętszą, przeczytają ją od pierwszej do ostatniej strony, przez noc, nie ustając w lekturze. A potem po tę książkę sięgną jeszcze wiele, wiele razy. Bo w procesie nostalgicznego pożegnania z Kresami Wschodnimi Rzeczypospolitej dzieło to służyć będzie zarówno tym, którzy obraz Kresów noszą w sercu, ale też i tym pokoleniom Polaków, dla których Podole i Wołyń będą już tylko wartością historyczną.

\* Prof. dr hab. Stanisław Sławomir Nicieja jest rektorem Uniwersytetu Opolskiego.

\*\* Patrz dział *Nowe książki* w tym numerze.

JERZY DUDA, ur. 1936 w Brodach. Absolwent AGH w Krakowie, inżynier metalurg. Pracował w hutach na Górnym Śląsku oraz w szkolnictwie zawodowym; 1985–91 wicekurator oświaty i wychowania w Opolu; obecnie na emeryturze. Autor wielu prac z historii oświaty, m.in. 6-tomowego *Słownika biograficznego nauczycieli Śląska Opolskiego*.

## APEL

Instytut Pamięci Narodowej we Wrocławiu – Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu prowadzi śledztwo dotyczące dopuszczenia się przez nacjonalistów ukraińskich w latach 1939–45 na terenie dawnych województw: lwowskiego, tarnopolskiego i stanisławowskiego zbrodni ludobójstwa na obywatelach polskich w celu wyniszczenia w części polskiej grupy narodowej.

W związku z powyższym apelujemy o telefoniczny względnie listowny kontakt z wrocławską Komisją byłych mieszkańców wskazanych województw, pokrzywdzonych opisanymi na wstępie zbrodniami lub mających istotne informacje w tym zakresie, których do tej pory nie przesłuchano.

**Oddziałowa Komisja ŚZpNP we Wrocławiu mieści się przy ul. Sołtysowickiej 23, tel. (071) 326-76-31, 326-76-32.**

Piotr Marek Stański

# KURTYNY SIEMIRADZKIEGO KRAKOWSKA I LWOWSKA

Początkowo o malowanej kurtynie dla wznoszonego właśnie nowego teatru w Krakowie rozstrzygnąć miał rozpisany w lutym 1892 konkurs, w którym mogli wziąć udział wyłącznie artyści narodowości polskiej. Duże nadzieje wiązali z nim Józef Mehoffer i Stanisław Wyspiański, przebywający naówczas w Paryżu i stamtąd nadsyłający swoje projekty. Pierwszy nawiązał do realnego usytuowania teatru w topografii miasta, z kulisami wychodzącymi na Planty i otwierającą się perspektywę ulicy Lubicz. Na scenie zaś umieścić jej ówczesnych luminarzy w osobach m.in. Antoniny Hoffmannowej, Heleny Modrzejewskiej i Wincentego Rapackiego. Drugi dawał upust swym fascynacjom legendarnym, prasłowiańskim zaraniem dziejów Polski, odwołując się przy tym do zakładanych zbieżności tych wyobrażeń z mitologią grecką. Ta ostatnia pojawiła się wprost w pracy Janiny Boguckiej, wraz z Tomaszem Lisiewiczem, uhonorowanej ex aequo dwiema równorzędnymi nagrodami. Nie miało to jednak większego znaczenia, albowiem jak to nieraz w Krakowie bywało, zignorowano werdykt sądu konkursowego i o wykonanie kurtyny zwrócono się ostatecznie do zamieszkałego w Rzymie Henryka Siemiradzkiego. Skądinąd z dzisiejszej perspektywy było to rozwiązanie nad wyraz szczęśliwe, gdyż akademickie płótno tego ostatniego o wiele bardziej przystaje do historyzującej architektury Zawiejskiego niż modernistyczne wizje Mehoffera i Wyspiańskiego, które by się z nią kłóciły w równym stopniu jak powstała zgoła pół wieku później malarska dekoracja Chagalla plafonu paryskiej opery Garniera.

Kurtyna Siemiradzkiego zawisła w pół roku po inauguracji nowego budynku, w kwietniu 1894. Dla komisji teatralnej Rady Miejskiej opuszczono ją 13 tegoż miesiąca, a 5 dni później dla publiczności przed spek-



taklem *Chwasta* Józefa Blizińskiego. Stanowiącej jej treść wyobrażenia alegoryczne ukazane zostały na wyrazistym tle architektonicznym, złożonym z półkolistej eksedry w środku i okalającej ją po bokach kolumnady, co tworzy rodzaj gloriety. Motywem dominującym, umieszczonym w centrum kompozycji, jest skrzydlaty Geniusz, kojarzący postacie uosabiające Prawdę i Piękno, z przytuloną doń Miłością. Poniżej nich siedzą: Komedia oraz Trefniś, bawiący się sznurem z nanizanymi nań maskami i figurkami. Po lewej stronie, na tle ołowianego nieba rozdieranego przez błyskawice, toczy się zawzięty bój pomiędzy personifikacjami Dobra i Zła, czemu przygląda się z góry nieporuszony Sfinks, symbolizujący nieugięte Przeznaczenie. Schodząc w dół natrafiany na widmo, ucieleśniające wyrzuty sumienia, oraz patrolującą zemście Furie, zwabione przez pograżoną w lubieżnym uścisku parę, nad którą załamuje ręce stojąca obok Tragedia. Na skraju przysiadł zaś Eros, płaczący nad urną z sercem ukochanej osoby. Po prawej stronie, na pierwszym planie widać jak Psyche, czyli pierwiastek duchowy, wyzwala się z okowów rozkoszy cielesnych i z pomocą postaci wyobrażających uwznioślającą moc Muzyki i Śpiewu podąża wzwyż, podczas gdy w głębi, na tle pogodnego nieba, trwa radosny korowód reprezentantów Młodości wokół Terpsycho-ry, opiekunki tańca.

**W**e Lwowie od razu postanowiono, że ozdobna kurtyna będzie dziełem Siemiradzkiego – jak się miało okazać – prawdopodobnie ostatnim. Bordiurę, czyli dekoracyjny ornament wokół przedstawienia figuralnego, wykonał według szkiców artysty wioski malarz Retrossi. Gotowe płótno wystawiano po drodze do Lwowa (poczynając od rzymskiej galerii „Aquarium”), tak że na miejsce – podobnie jak w Krakowie – dotarło już po otwarciu nowego gmachu. Zainstalowano je tam w styczniu 1901 roku. Do pierwszego publicznego pokazu doszło w niedzielę 13 tegoż miesiąca podczas popołudniowego przedstawienia, pomiędzy *Verbum mobile* a komedią Sienkiewicza *Zagłoba swatem*, co doskonale się składało, albowiem obaj wielcy Henrykowie zajmowali w swoich dziedzinach sztuki mniej więcej podobne pozycje. Obraz powitany został



brawami, ale zdania na jego temat były podzielone, zaś porównania z krakowską siostrzycą same się cisnęły. W odróżnieniu od tamtej, lwowska prawie całkowicie pozbawiona jest architektonicznego sztafażu, a w charakterze tła dla kompozycji figuralnej występuje pejzaż. Z lewej strony jest to krajobraz arkadyjski, pomiędzy drzewami stoi alegoria Opery w otoczeniu grającej na aulesie (podwójnym flecie) Muzyki oraz przystrojonej w wawrzyn Poezji. Niżej przysiadły na stopniu: potracająca struny liry personifikacja Operetki oraz Tańca, wystukująca rytm na tamburynie. Z prawej strony natomiast rozciąga się dziki pejzaż z rozszalałymi żywiołami Natury, niczym namiętności w tragedii. Na tym tle widać grupę osób z ramionami wyciągniętymi w geście błagania o litość oraz popełniany właśnie mord. Zdarzenia te stanowią pożywkę dla scenicznych fabuł, na co zdaje się wskazywać dłoń kobiety uważanej za wyobrażenie Historii, a trzymającej księgę z łacińskim tekstem *Tak było, tak jest, czy tak będzie zawsze?* Tego rodzaju afekty rozbudzają usytuowane po bokach figury: Erosa ogniskującego w sobie pożądanie, skrzydlatej Sławy z wieńcem laurowym i surmą, wreszcie próżnej Fortuny z rogami obfitości, której żudny charakter podkreśla umieszczenie jej na mydlanej bańce. U stóp wspomnianej Historii

Lwów



stoi ustawiona bokiem Tragedia, a leży Komedia. Jedyne w środku wznosi się architektoniczny edykuł w formie ołtarza Apollina, przedstawionego w medalionie jak powozi kwadrygą, dzierżąc w dłoni pochodnię twórczego natchnienia, wyobrażonego poniżej w osobie siedzącej nad ogniem ofiarnym kobiety, mającej po prawej ręce Mądrość z wagą i hełmem na głowie, a po lewej uskrzydloną Wyobraźnię. W związku z tą ostatnią grupą istnieje czysto mitologiczna interpretacja całości, przydająca jej ponadto tytuł „Parnasu”, a więc szczytu w Beocji, będącego legendarną siedzibą boga piękna oraz Muz, czyli opiekunek sztuk. W tym ujęciu główna postać to jego delficka kapłanka i wróżbitka – Pytia, której towarzyszą: Geniusz i Temida. Po lewej znajdują się: Erato (poezja miłosna), Euterpe (poezja liryczna), Polihymnia (śpiew, a szerzej muzyka), Kaliope (poezja epicka) i Terpsychora w otoczeniu amorków. Z lewej z kolei to: Melpomena (tragedia, czy szerzej: teatr w ogóle), Klio (historia) i Talia (komedia).

W Krakowie kurtynę Siemiradzkiego opuszcza się podczas wszystkich przedstawień w trakcie tzw. dużej przerwy, we Lwowie natomiast jej ekspozycję ogranicza się obecnie do uroczystych okazji, poprzedzając w ten sposób premiery oraz występy gościnne.

**LWOWIAK ADAŚKU** jest dumny, że pochodzi z miasta siedmiu wzgórz i pagórków fiesolskich, z miasta muzyki i inteligencji, i najpiękniejszych kobiet.

Piosenkarz – czasowo zameldowany w Przemyślu – powiadamia, że wydał dwa zbiorki piosenek na płytach (lub kasetach), zatytułowanych: **Moje serce zostało we Lwowie i Los Lwowiaka** (z własną muzyką) do których wybrał wiersze lwowskich poetów, takich jak: F. Konarski (Ref-Ren), H. Zbierzchowski, W. Szolginia, A. Chciuk, T. Kryśka-Karski, E. Stoński, F. Jabłoński i inni, którzy w swych utworach pełnych tęsknoty wracają dokochanego miasta. Są też tacy, którzy znają to miasto już tylko z opowiadań – D. Borowiec, S. Kaspruwicz...

W sprawie nabycia płyt lub kaset należy zadzwonić na numer telefoniczny: (016) 670-62-80 (Przemyśl).

Joanna Mikosz

## Z dziejów lwowskiej prasy dwudziestolecia

Dodatki kulturalne do dzienników

Dodatki (inaczej suplementy<sup>1</sup>) – stałe oraz okazjonalne – do prasy codziennej mają długą tradycję wydawniczą. Ich historia sięga XIX wieku, choć na początku było to zjawisko sporadyczne. Niegdyś – jak pisał krakowski prasoznawca, prof. Walery Pisarek – *„dodatki traktowane były głównie jako rodzaj swoistej premii dla prenumeratorów. Miały one formę oddzielnej wkładki w postaci pojedynczych arkuszy drukarskich”*<sup>2</sup>. Ponadto w tamtym czasie oprócz wyżej wspomnianych pojawiały się także suplementy o charakterze nauko-literackim (np. *Piśmiennictwo Krajowe* – dodatek „Gazety Codziennej”), rozrywkowym (np. *Rozmaitości* – dodatek do „Gazety Lwowskiej”), edukacyjnym (np. *Szkółka dla Dzieci*) lub o modzie i urodzie (np. *Dodatek Mód* do pisma „Niewiasta”).

Prawdziwy przełom w dziejach dodatków do gazet miał miejsce po I wojnie światowej. Wówczas nastąpiła po raz pierwszy w historii Polski eksplozja prasy. Owa masowość nie dotyczyła jednak tylko wydania głównego pisma, ale i jego dodatków tematycznych. Ich liczba, np. w przypadku „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, była tak duża, że jak określił Andrzej Paczkowski: *„tworzyły one z macierzystym wydaniem – wydanie o charakterze rodzinnym”*<sup>3</sup>.

Ówczesne redakcje – zdając sobie sprawę, że działalność prasowa była niezwykle dochodowym przedsięwzięciem – prześcigały się w koncepcjach na najbardziej atrakcyjną formułę gazety. Przyciągały one (zwłaszcza w przypadku pism konserwów prasowych) swoich odbiorców walorami graficznymi i różnorodnością tematyczną tekstów. Dziennikarze bacznie przyglądali się też poczynaniom swojej konkurencji, próbując kopiować jej pomysły, a nawet je przelicytować. Jednym ze sposobów podnoszenia poziomu pisma w celu dostosowania jego za-

wartości do potrzeb masowego czytelnika było wyposażanie go w dodatki. Redakcje – walcząc o pozycję monopolisty na rynku prasowym – zaskakiwały swoich czytelników nowatorstwem poruszanej przez siebie problematyki – od zdrowia, urody, parapsychologii, po zagadnienia związane z kulturą i literaturą. Niektóre z dodatków wyróżniały się znaczną objętością, a ich przygotowaniem zajmowały się nawet osobne zespoły dziennikarzy.

Wiele z dodatków międzywojnia – np. *Kurier Literacko-Naukowy* (dodatek do „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” lub suplementy „Dziennika Wileńskiego”) redagowano na bardzo wysokim poziomie. Dzięki temu zdobywały one ogromną popularność i cieszyły się uznaniem nawet w kręgach, które odnosiły się z pewnym dystansem, a nawet lekceważeniem do dzienników sensacyjnych. Co ważne, miały one bardzo poważny wpływ na kształtowanie się świadomości literackiej i kulturalnej. Związane to było z faktem, że darmowy dodatek miał większy zasięg oddziaływania i możliwość dotarcia do czytelnika od tygodników i miesięczników, które rzadziej były kupowane niż prasa codzienna. Wiele dodatków kulturalnych w tamtym czasie odgrywało rolę poważnych, liczących się i szanowanych tygodników literackich, z którymi chętnie podejmowano współpracę. Taką rolę odgrywały też suplementy dzienników lwowskich. Wśród nich możemy wyróżnić dodatki „Gazety Lwowskiej” i „Kuriera Lwowskiego”. Należy jednak dodać, że nie jest możliwe całościowe prześledzenie rozwoju suplementów międzywojnia (w tym oczywiście lwowskich), gdyż większość z nich nie zachowała się do dziś w polskich bibliotekach. Ponadto istniejąca bibliografia Jerzego Jarowieckiego i Barbary Góry pt. *Prasa lwowska w dwudziestoleciu międzywojennym* nie zawiera informacji na temat daty ich wydawania. Dlatego też ramy czasowe ukazywania się dodatków zostały określone na podstawie przeprowadzonej kwerendy bibliotecznej.

### GAZETA LWOWSKA

Była dziennikiem o długich tradycjach wydawniczych. Pismo wychodziło od 1811 do 1939 roku. Od 1918 roku jej redaktorem naczelnym był Stanisław Rossowski, a od

1923 roku Jerzy Konarski. Sześć lat później funkcję tę piastował Marceli Szarota. W 1932 roku redakcję objęli Wojciech Baranowski oraz Marceli Szarota, w 1933 roku Julian Bernadiuk, a w 1935 roku – Aleksander Waleński.

Pismu towarzyszył – jak donoszą opracowania – comiesięczny dodatek pt. *Przewodnik Naukowy i Literacki*, wydawany od 1918 roku. Jego redaktorem został Władysław Łoziński, a od 1919 roku Stanisław Rossowski. Nie można jednak podać daty zamykającej ukazywanie się tego suplementu ani informacji na temat jego zawartości, bowiem do dziś nie zachował się żaden numer tego dodatku.

### KURIER LWOWSKI

Był drugim dziennikiem ukazującym się we Lwowie, do którego dołączano suplement kulturalny. Dziennik wychodził w latach 1883–1935. Jego redaktorem naczelnym od 1918 roku był Henryk Rewakowicz, w 1922 roku – Jan Dębski i Włodzimierz Jampolski, a od 1927 funkcję tę piastował J. Geschwind. Od 1925 roku pismo nosiło podtytuł: *Organ Demokratycznej Inteligencji*, a od 1927 roku: *Dziennik polityczno-społeczny*.



Gazeta ta w XIX wieku miała charakter demokratyczny, po 1918 roku zaczęła zwalczać ideologię endecką i potępiała faszyzm, stając się głównie pismem inteligencji.

*Kurier Lwowski* od 1931 roku (najstarszy zachowany numer pochodzi z 2 stycznia tego roku, choć donosi on, że jest to czwarty rok ukazywania się tego dodatku) do 1935 roku (ostatni dostępny numer – 7 kwietnia tego roku) miał bezpłatny, ośmiostronicowy, o wymiarach 36 x 32 cm, tygodniowy dodatek *Kurier Literacko-Naukowy*. W suplemencie tym nie zamieszczono jednak informacji, kto pełnił w nim funkcję redaktora odpowiedzialnego.

Bibliografia Jerzego Jarowieckiego i Barbary Góry z 1994 roku pt. *Prasa lwowska w dwudziestoleciu międzywojennym* podaje, że suplement ten ukazywał się od 1932 roku, ale zachowany numer z 1931 roku wskazuje, że zaczął on być wydawany rok wcześniej.

Ponadto wykaz ten wzbogaca informacja zawarta w pracy Oskara Czarnika, że w ciągu 1921 i pierwszej połowy 1922 roku ukazywał się również tygodniowy suplement, pt. *Tydzień Literacki*: (...) *na ogół nie publikowano w nim powieści i nowel. Był on do pewnego stopnia odrębnym czasopismem społeczno-kulturalnym, z którym współpracowali znani pisarze, krytycy i uczeni*<sup>4</sup>. W dodatku tym występowały tylko niektóre gatunki dziennikarskie. Należały do nich: informacja, artykuł popularnonaukowy, reportaż oraz recenzja<sup>5</sup>.

Przykładem pierwszego z wymienionych gatunków prasowych jest rubryka *Rozma-*

*itości*, w której publikowano głównie informacje naukowe i kulturalne, np.: *W Grecji starożytnej płacono za manuskrypt dzieła literackiego co najmniej jedną srebrną drachmę, a więc sumę na owe czasy dużą. Oczywiście, cena była uzależniona od autora i rozmiarów dzieła. Należy jednak pamiętać, że o papirus było trudno. W tych warunkach literaturę mogli popierać jedynie bogaci mecenas*<sup>6</sup>. Krótkie porady dotyczące mody i urody drukowano zaś w rubryce *Poradnik gospośi*<sup>7</sup>, a wiadomości radiowe w wydzielonej części dodatku pod hasłem *Ciekawostki radiowe*<sup>8</sup>.

Czołowe miejsce w *Kurierze Literacko-Naukowym* zajmowały artykuły popularnonaukowe. Poruszały one głównie problematykę naukową, literacką, historyczną i religioznawczą. Wśród przykładów możemy wskazać: *Wysoko – alpejska stacja nadawcza w Szwajcarii*<sup>9</sup>, *Bulle i breve papieskie, ich cechy charakterystyczne, rodzaje i formy*<sup>10</sup> lub *Litewskie dainos i raudos*<sup>11</sup>. Godny uwagi jest artykuł pt. „*Pieśń o Nibelungach*” i „*Faust*” Goethego jako wykładnik struktury duchowej Niemiec, w którym autor zauważa, że: *W dzisiejszej fazie rozwojowej Niemiec odpowiada raczej ponura, dzika żądza zemsty i nienawiści płonąca „Pieśń o Nibelungach” niż wszechludzka, altruistyczna myśl „Fausta” (...). Tragiczna groza wieje z kart poematu, świat miał się zawalić (...). Nawet za cenę życia własnego. Bo ludzie z krainy Nibelungów nie boją się śmierci... Bo tragedią jest właściwie narodowa epopeja Niemiec. Tragedią nienawi-*

## Za daleko

W ubiegłym roku nasze środowisko wschodniomałopolskie (i chyba nie tylko) zostało zaszokowane wiadomością o niechlubnej działalności Wojciecha Dzieduszyckiego. Tzw. „Pan Tunio”, osiadły po II wojnie we Wrocławiu, był dobrze znany Polakom – w pierwszym rzędzie ekspatriantom – jako lubiany piosenkarz, twórca kabaretów, a przede wszystkim piewca lwowskiej poezji i miejskiego folkloru. Wieloletnia sympatia ze strony rzeszy miłośników dziś legła w gruzach. Czytelnicy dobrze wiedzą, o czym tu mówimy, pisano

o tym i mówiono szeroko w paru ubiegłych miesiącach.

Wojciech Dzieduszycki jest – jak wiemy – potomkiem znanego rodu arystokratycznego ze Wschodniej Małopolski, przysługiwał mu kiedyś tytuł hrabiego (dość nadużywany przez gorliwców). W tej sferze – a zwłaszcza z ziem południowo-wschodnich – rzadko spotykało się postęпки, rzucające cień na godność Polaka i szlachcica, w szczególności w odniesieniu do k o m u n y.

Zwróćmy uwagę, że „Pan Tunio” dość wcześnie oderwał się od swojej sfery, jeszcze w młodości, w lwowskich czasach (tak mu się, widać, podobało). W PRL – okazuje się – poszedł jednak za daleko.

ści i zemsty. Ale także apoteoza energii, wytrwałości i konsekwencji. Groźnym jest naród, który takie dzieło stworzył<sup>12</sup>.

Szczególną pozycję odgrywał także w dodatku reportaż, np. *Rajd autem przez Amerykę*<sup>13</sup>. Dwudziestolecie międzywojenne to bowiem czas narodzin tego gatunku dziennikarskiego, a żyjący ówczesnie badacze literaccy i krytycy nie omijali go, wspominali o nim, zastanawiali się, co to jest za zjawisko. (...) Zastanawiano się, czy reportaż nie jest pamiętnikiem, wspomnieniem, a nawet esejem<sup>14</sup>. Gatunek ten, jak słusznie zauważył Kazimierz Wolny-Zmorzyński, pobudzał wszystkie zmysły odbiorcy: dzięki starannemu doborowi słów i środków stylistycznych działał na jego wyobraźnię, a reporter potrafił nazwać nawet takie stany emocjonalne, jakie czytelnik sam nie zawsze umie określić, zdając się wyłącznie na obserwację lub słuch<sup>15</sup>. Twórcy tego gatunku dziennikarskiego traktowali go jako zapis rzeczywistości na podstawie wcześniej ustalonych faktów, które zebrane zostały po poczynionej obserwacji i lekturze rozmaitych dokumentów.

Ponadto w jednym z numerów suplementu „Kuriera Lwowskiego” odnajdujemy też recenzję książki Roberta d’Harcourta pt. *Goethe i sztuka życia*<sup>16</sup>. Gatunek ten pełnił również istotną funkcję. Jego zadaniem było sprawozdawcze omawianie oraz krytyczna analiza lub ocena różnych przedsięwzięć kulturalnych, naukowych i literackich. Warto również podkreślić, że sporadycznie w dodatku zamieszczano też fragmenty powieści, np. Zofii Kossak-Szczuckiej – *Legnickie pole*<sup>17</sup> i pieśni, m.in.: *Siostry*<sup>18</sup>, *Słoneczko*<sup>19</sup> i *Owieczka*<sup>20</sup>. Rzadko pojawiały się zaś utwory poetyckie. Redakcja drukowała je np. z okazji świąt Bożego Narodzenia<sup>21</sup>.

\* \* \*

Niewątpliwie *Kurier Literacko-Naukowy* – dodatek do „Kuriera Lwowskiego” – jest przykładem suplementu, który oprócz dostarczania rozmaitych informacji pełnił także zadania ogólnospołeczne. Po pierwsze budził poczucie tożsamości narodowej poprzez drukowanie publikacji związanych z życiem kraju i jego mieszkańców. Po drugie upowszechniał rozmaite wartości kulturowe. Dzięki zajmującym artykułom zaspokajał bowiem zainteresowania i potrzeby in-

telektualne swoich czytelników. Przekazywał wiedzę z rozmaitych dziedzin nauki, takich jak: historia, etnografia, psychologia, socjologia i religioznawstwo. Poprzez zamieszczanie utworów literackich redakcja dostarczała też nabywcom gazety i jej dodatku odpowiedniej literatury, a tym samym kształtowała gusta swoich czytelników.

*Kurier Literacko-Naukowy* nawet z obecnej perspektywy wydaje się więc poważnym przedsięwzięciem wydawniczym, którego skala jest niewątpliwie imponująca.

#### PRZYPISY

- 1 W. Pisarek, *Słownik terminologii medialnej*, Kraków 2006, s. 205.
- 2 Tamże, s. 33.
- 3 A. Paczkowski, *Prasa polska w latach 1918–1939*, Warszawa 1980, s. 308.
- 4 O. Czarnik, *Proza artystyczna a prasa codzienna (1918–1926)*, Wrocław 1982, s. 48.
- 5 Kolejność podawania gatunków dziennikarskich nie jest przypadkowa. Zostały one uporządkowane według systemu zaprezentowanego przez Marię Wojtak w książce pt. *Gatunki prasowe*, Lublin 2004.
- 6 *Kurier Literacko-Naukowy* – dodatek do „Kuriera Lwowskiego”, 02.01.1931, s. 3.
- 7 Tamże, 07.04.1935, s. 8.
- 8 Tamże, 07.04.1935, s. 6.
- 9 Tamże, 08.02.1931, s. 1.
- 10 Tamże, 02.01.1931, s. 2.
- 11 Tamże, 07.04.1935, s. 6.
- 12 Tamże, 07.04.1935, s. 5.
- 13 *Kurier Literacko-Naukowy* – dodatek do „Kuriera Lwowskiego”, 02.01.1931 r., s. 8.
- 14 K. Wolny-Zmorzyński, *Melchior Wańkowicz – mistrz polskiego reportażu – na tle współczesnych autorów dwudziestolecia międzywojennego*, [w:] *Reportaż w dwudziestoleciu międzywojennym*, Lublin 2004, s. 20.
- 15 K. Wolny-Zmorzyński, *Reportaż*, [w:] *Dziennikarstwo i świat mediów*, Kraków 2000, s. 182.
- 16 *Kurier Literacko-Naukowy* – dodatek do „Kuriera Lwowskiego”, 07.04.1935, s. 2.
- 17 Tamże, 02.01.1931, s. 5.
- 18 Tamże, 07.04.1935, s. 6.
- 19 Tamże, s. 6.
- 20 Tamże, s. 6.
- 21 Tamże, 02.01.1931, s. 6.

JOANNA MIKOSZ jest nauczycielem akademickim na Uniwersytecie Łódzkim oraz autorką artykułów na temat prasy i dodatków tematycznych do dzienników współczesnych i 20-lecia międzywojennego.

# Autografy

Walentyna Węgrzyn-Klisowska

## Stanisława Niewiadomskiego

w zbiorach biblioteki  
Zakładu Narodowego  
im. Ossolińskich  
we Wrocławiu

**Postać i twórczość Stanisława Niewiadomskiego (1857–1936), dziś prawie zapomniana, ginie w rekonstrukcji dziejów muzyki polskiej z przełomu XIX i XX wieku. W latach swojej najbardziej aktywnej działalności we Lwowie Niewiadomski jako muzyk, teoretyk, krytyk i kompozytor był bardzo znany. Miał liczne kontakty z wieloma znanymi muzykami, między innymi z Ignacem Janem Paderewskim. Do jego cennych osiągnięć należy popularyzacja muzyki wśród szerokiego kręgu melomanów: recenzje, prelekcje, odczyty. Ale szczególnym osiągnięciem jest tłumaczenie znanego dzieła Edwarda Hanslicka *Vom musikalische Schönen*, które mimo archaicznego języka do dziś pozostaje jedyną polską wersją tej znanej pracy.**

Nazwisko Stanisława Niewiadomskiego pojawiało się w literaturze teoretycznej głównie w cieniu twórczości Stanisława Moniuszki, jako kontynuatora stylu narodowego. Jego utwory fortepianowe i pieśni z towarzyszeniem fortepianu, powstałe w latach 1887–1918 po powrocie do Lwowa po studiach wiedeńskich, cieszyły się wielką popularnością. Świadczy o tym spora liczba wydań dokonanych przede wszystkim we Lwowie w oficynie K.S. Jakubowskiego, G. Seyfalirta, G. Gubrynowicza i innych. Okładki z tytułami pieśni Niewiadomskiego miały podwójne tytuły w języku polskim i niemieckim i piękne secesyjne winiety, które same w sobie są zabytkami. Podobnie jak twórczość innych polskich kompozytorów działających w tym czasie na ziemiach polskich, Władysława Żeleńskiego i Zygmunta Noskowskiego, również twórczość Niewiadomskiego została zaniedbana i zapomniana.

Nie powstała dotąd monografia kompozytora, nie ma też pełnego wykazu jego wszystkich dzieł. Nie wiadomo, co zachowało się z bogatej spuścizny kompozytora. Obecnie można jednak wiele odnaleźć. Utwory Niewiadomskiego znajdują się, oprócz już zidentyfikowanych w zbiorach Österreichische Nationalbibliothek w Wiedniu, w Staatsbibliothek w Berlinie, w warszawskiej Bibliotece Narodowej, a także w Zakładzie Narodowym Biblioteki im. Ossolińskich we Wrocławiu. Tu znajdują się nie tylko autografy i kopie jego pieśni, ale także prawie wszystkie jego recenzje o przedstawieniach operowych we Lwowie, drukowane w „Słowie Polskim”. W zbiorach rękopiśmiennych Ossolineum są też kopie listów kierowanych do znanych postaci muzycznych.

Jak wiadomo, Biblioteka Zakładu im. Ossolińskich od wybuchu II wojny światowej otrzymywała od ludności polskiej najcenniejsze zabytki na przechowanie, w tym także źródła muzyczne. Skomplikowane i dramatyczne losy tej biblioteki były też przyczyną rozproszenia zbioru. Na przykład korespondencja Niewiadomskiego z Paderewskim znajduje się do dziś w Centralnym Archiwum Państwowym w Kijowie, a tylko pojedyncze listy we wrocławskim Ossolineum. Po zakończeniu II wojny światowej zaczęły do Ossolineum znów napływać na mocy testamentów i darowizn dary ze zbiorów prywatnych. W tej grupie znalazły się też nieznanne dotąd autografy pieśni kompozytora. W Dziale Rękopisów ZN im. Ossolińskich pod sygnaturą 13840/III zachował się zbiór pieśni, datowany w 1972 roku, ujęty w cztery osobne grupy.

I grupa nosi tytuł *Z wysokich parnasów. Naiwne piosenki z przeszłości. Śpiew z fortepianem*. Charakterystyczne określenie *śpiew* podkreśla prostotę tych pieśni. II grupa nosi tytuł: *Starodawne piosenki polskie*, III grupa ma charakterystyczny tytuł: *Piosenki sielskie*, a IV najbardziej różnorodna: *Pieśni różne*.

Manuskrypt Niewiadomskiego można też podzielić na dwie inne grupy: pierwsza,

zapisana w niebieskiej oprawie, ołówkiem (brudnopis); druga: zapisana w różowej oprawie – rodzaj czystopisu. Wszystko razem znajduje się w osobnej teczce i większym formacie. Z tyłu jest widoczna winieta wydawnicza lwowskiego wydawnictwa JEBC z głową lwa i umieszczonymi w rogach wizerunkami Mozarta, Beethovena, Schuberta i Haydna.

Część tych pieśni była już drukowana we Lwowie, w tzw. *Zbiorze 16 Pieśni miłosnych i Żartobliwych*. Zbiór ten jako materiał porównawczy nie miałby dla nas takiego znaczenia, gdyby nie oznaczenia, jakie umieścił kompozytor w zachowanych autografach. Zarówno w brudnopisie, jak i w czystopisie kompozytor wpisał: *op. 45*.

[...]

W zachowanych autografach widać różne ślady pracy kompozytora na nutach. Niektóre zapisy są przekreślone, wersje znanych piosenek są transponowane do innych tonacji. Przy tych transpozycjach czerwoną kredką są pisane pojedyncze litery (być może dla wykonawców). Niekiedy pojedyncze pieśni mają dwie różne wersje, na przykład *Laura i Filon*. Wśród oznaczeń czerwonych najczęściej pojawiają się litery K. CH. L., czasem są one skreślone, a wpisane inne. Wydaje się, że są to ślady przygotowywania pieśni do różnych wydań kolejnych zbiorów *op. 45 i 46*, które nigdy nie ukazały się drukiem. Wykorzystał tu kompozytor część starych pieśni i dodał nowe.

W czasie gdy Niewiadomski pracował nad tymi pieśniami (1900–1918), miał niezwykle wysoką pozycję jako wykładowca w Galicyjskim Towarzystwie Muzycznym, gdzie wykładał między innymi zasady muzyki, historię muzyki i śpiew chóralski. Z ramienia Wydziału Krajowego sprawował też nadzór artystyczny nad działalnością teatru hr. Skarbka. Na uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie prowadził też specjalne kursy akademickie przeznaczone tylko dla kobiet. W latach 1918/19, gdy na stałe przeniósł się do Lwowa, objął też kierownictwo Teatru Miejskiego. Można więc powiedzieć, że był w stałym kontakcie ze śpiewakami.

Zachowane w bibliotece im. Ossolińskich we Wrocławiu pieśni są pisane w bardzo prostym stylu, wydaje się, że mają to samo przesłanie co niegdyś pieśni Moniuszki. Są proste, łatwe do wykonania i bardzo pol-

skie, żeby nie rzec „swojskie” w charakterze. Niewiadomski nie ukrywał swojego konserwatywnego stanowiska, podkreślał pierwszoplanowe znaczenie melodyki, wyrazistość słów i prostotę muzycznej wypowiedzi. Muzykalność i lekka fraza mają jednak rys indywidualny. Bardzo ciekawe światło na twórczość Niewiadomskiego rzucają wspomnienia Zofii Ottawy-Rogalskiej, która tak wspominała Niewiadomskiego: ... *Najpiękniejsze i najbardziej wartościowe pod względem form muzycznych są układy pieśni ludowych i żołnierskich Stanisława Niewiadomskiego. Interesował się on jeszcze przed wojną twórczością ludową, a w czasie wojny znalazł ciekawy materiał. Przy tej okazji spotkał mnie wielki zaszczyt. W okresie, kiedy uczyłam się śpiewu, wypisywałam sobie dużo piosenek ze starych śpiewników Kolberga i Glogera. Niewiadomski skorzystał z mojego zbioru i prawie wszystkie moje ulubione piosenki wydał w swoim układzie, z czego byłam bardzo dumna...*

Pierwszą odtwórczynią tzw. „ludówek” była znana śpiewaczka Stanisława Argasińska-Chojnowska (CH w notatkach kompozytora). W czasie wojny chętnie śpiewała jego pieśni inna wielka gwiazda lwowskiego Teatru Miejskiego, Janina Korolewicz-Wajdowa.

Kończąc ten mały przyczynek do biografii polskiego kompozytora, mamy nadzieję, że powstanie w literaturze polskiej jego monografia, zostaną wydane jego wszystkie dzieła muzyczne. Byłoby niezmiernie interesujące opublikowanie jego pism, co mogłoby rzucić ciekawe światło na obraz życia muzycznego we Lwowie, i wreszcie odrestaurowany zostanie jego pomnik na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie.

#### LITERATURA

1. Encyklopedia Muzyczna PWM, część biograficzna, t. N–Pa. Kraków 2002
2. Encyklopedia Biograficzna PWM, t. N–Pa,
3. Zofia Ottawa-Rogalska, *Lwy spod ratusza słuchają muzyki. Wspomnienia o Helenie Ottawowej*. Wrocław 1987, Ossolineum



Nagrobek na Cmentarzu Łyczakowskim

Alfred Senze

# Z tamtych lat, z tamtych dni (1)

*Wspomnienia z Akademii Medycyny Weterynaryjnej w okresie okupacji sowieckiej we Lwowie.*

*Przedstawione niżej wspomnienia, obok bezpośrednich relacji z wydarzeń na lwowskiej Akademii Medycyny Weterynaryjnej w czasie II wojny światowej, dają doskonały obraz o gólnej sytuacji miasta i jego ludności, zaistniałych w czasie obu pierwszych okupacji Lwowa – sowieckiej i niemieckiej.*

**Pojawiające się od czasu do czasu notatki na temat studiów weterynaryjnych w czasie okupacji sowieckiej i niemieckiej, tworzą cenne uzupełnienie w historii nauk weterynaryjnych. W okresie tym Wydział Weterynaryjny Uniwersytetu w Warszawie został przez władze hitlerowskie zamknięty, natomiast Akademia Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie kreowała swoją działalność z pełnym programem nauczania, jak za czasów polskich. Było to następstwem zajęcia naszych Ziemi Wschodnich ze Lwowem na czele i włączenia ich sfałszowanymi wyborami do wschodniej Ukrainy.**

Zmobilizowany z końcem sierpnia, celem przeprowadzenia poboru koni dla potrzeb naszej armii w Wiślicy (pow. Pińczów) i po zlikwidowaniu tego punktu na cmentarzu wiślickim przez *sztukasy*, przybyłem w pierwszych dniach września z całą falą cywili i wojska do Lwowa. W okresie tej wędrówki poznałem cały ogrom nieszczęść, jakich doświadczał nasz naród, traktowany z nieznanym dotąd okrucieństwem, spowodowanym bezwzględными działaniami wojennymi. Okrucieństwo to pogłębiał fakt braku oczekiwanej pomocy ze strony Anglii i Francji. Wojska niemieckie zatrzymały mnie na linii kolejowej Lwów–Stanisławów. Przebywałem tam do dnia wkroczenia wojsk sowieckich do Polski (17 IX 1939 r.). W krótkim okresie oczekiwania na uderzenie armii niemieckiej zaskakiwała nas wręcz śmiertelna cisza po ich stronie. Wyjaśniło się to po wkroczeniu wojsk sowieckich i dojściu do naszej świadomości faktu zawartego w sierpniu 1939 r. układu Ribbentrop–Mołotow.

Do Lwowa sowieckie oddziały wkroczyły 22 IX. Warunki, w jakich odbywało się to

wkraczanie oraz rozbrajanie naszych żołnierzy (m.in. pozbawianiem dystynkcji oficerskich), pozostawiły na całe życie niezapomniane, smutne wrażenie. Tylko naiwni mogli sądzić, że zostaną potraktowani jako jeńcy wojenni. Wielu z nich, a między innymi mój kolega ze studiów Szpak oraz doc. Michalski z Katedry Chirurgii AM-Wet., tworzyli kadrę pomordowanych przez zbirów NKWD Starobielska i innych miejsc Rosji. Inni im nie wierzyli. Ja i doc. Moraw przebraliśmy się szybko na boisku stadionu 19 pp na Wzgórzu Cytadeli w odzież dostarczoną przez mieszkańców pobliskich domów. Dzięki temu dostaliśmy się do naszych rodzin. Kilka dni później idę na teren Akademii na ul. Kochanowskiego. W ciągu tych kilku dni zaskakują wręcz zmieniające się zachowania żołnierzy. Mieszkam w tzw. „Parlamencie”, tzn. w domach kolejowych przy ul. Gródeckiej (Gródek). Jest to uboga dzielnica Lwowa o czterech dużych blokach, znajdujących się na przeciwko towarowego dworca kolejowego, tzw. Dworca Czerniowieckiego.

Pierwsi żołnierze, jakich oglądamy na Gródku, to kawaleria – mężczyźni i kobiety bardzo ubogo ubrani z karabinami najczęściej na sznurku. Z obuwiem było różnie. Kobiety z reguły siedzą na koniach na oklep. Jeszcze tego samego wieczoru po ich wkroczeniu zrabowane zostają, a potem spalone, wagony towarowe na Dworcu Czerniowieckim. W nich mieścił się przeważnie cały dorobek uciekinierów z centralnej Polski. Wynoszono i wywożono wtedy sterty dóbr, wyładowanych walizek i pakunków. Tych, którzy usiłowali się tam dostać okazując kwity bagażowe, na miejscu rozstrzelano. Oglądamy to wszystko z odległości 40–50 m, tj. szerokości ulicy.



Rozbestwione żołdactwo po dostaniu się do alkoholu i jego spicju zaczyna wymianę ognia między sobą. Z dużych, pozbawionych szyb bram osiedla oglądamy to makabryczne widowisko aż do białego rana. Dopiero zbrojna interwencja żandarmerii sowieckiej przerywa tę barwną, przeplatana gryzącym dymem zabawę.

Podobnie działo się w pobliskich sklepach na Gródku i innych dzielnicach Lwowa – na Zamarstynowie, Łyczakowie i Kleparowie. Z takiej niepowtarzalnej okazji korzystały także męty społeczne, ze zwolnionymi z więzień na czele. Mąka, cukier, kawa, ryż, owoce, czekolady i wędliny są wynoszone workami. Często zaś, przy rozdaniu worków, zalegają długo przed sklepami. Wiedząc zaś o wydanym surowym nakazie przez wojskowe władze sowieckie, łącznie z rozstrzelaniem na miejscu przy schwytaniu żołnierza na gorącym uczynku, nie zastanawiają się, co jest im najbardziej potrzebne. Przybyli zresztą z *raju*, gdzie w tym czasie chleb był prawdziwym luksusem, a około 4 miliony ludzi zginęło z głodu nie chcąc poddać się kolektywizacji. W tych warunkach żywność była dla nich nieprawdopodobną okazją. Byli głodni i chcieli się najeść do syta. Dzięki temu uniknęły tego pogromu sklepy odzieżowe, z obuwiem, futrami i jubilerskie, w których przeczorni właściciele z wybuchem wojny odpowiednio zabezpieczyli towary. Ta oglądana sceneria rabunku nie była mi jednak obcą. Bolszewickie wyczyny oglądałem po raz pierwszy w 1920 r. Lwów znajdował się wtedy w zasięgu frontu działań wojennych, pomiędzy armią Piłsudskiego a armią sowiecką. Linia frontu przebiegała wtedy w okolicy Mszany-Gródka Jagiellońskiego.

Zbliżyły się święta Bożego Narodzenia. Siedemnastu kolejarzy z naszego „Parlamentu” chciało zrobić przyjemność swoim dzieciom i dostarczyć im choinki. Udali się więc do podlwowskiej zalesionej okolicy Brzuchowic. W dzień wigilijny przywieziono na sankach ich zwłoki wraz z choinkami. Byli półnagzy i niemłosiernie okaleczeni, bez uszu, nosa, palców u nóg lub rąk, z pustymi oczodołami, wybitymi zębami, a niektórzy nawet bez języków. Oglądałem te zamrożone i posiniaczone ciała jako dziewięcioletni chłopak wraz z rodzinami i moimi rówieśnikami, uczestnikami codziennych zabaw.

Niektórzy z nich wśród lamentu i płaczu prześcigali się w rozpoznawaniu zwłok swoich ojców, natrafiając na duże trudności. Szloch dzieci i wspólna mogiła na Cmentarzu Gródeckim w drugi dzień Świąt Bożego Narodzenia zakończyły ten bohaterски wyczyn kolejarzy z „Parlamentu”. A przecież to był dopiero początek tej wielkiej radziecko-polskiej przyjaźni, tak konsekwentnie rozwijanej później przez ludobójcę Stalina.

Takie i podobne myśli w trakcie drogi z „Parlamentu” na ul. Kochanowskiego skracały zawsze czas marszu. W pierwszych dniach po wkroczeniu wojsk sowieckich nie jeździły jeszcze tramwaje. Spora natomiast odległość z „Parlamentu” na uczelnię, wynosząca około 4 km, stwarzała dobre warunki do obserwacji i rozmyślań. A każdego dnia zmieniało się tu jak w kalejdoskopie. Zamiast rozhukanych żołdaków i towarzyszących im wszędzie roześmianych i usługujących Żydów z czerwonymi opaskami na skrzyżowaniu większych ulic pojawili się pierwsi agitatorzy. W ceratowych brązowymy kurtkach skupiali wokół siebie mieszkańców Lwowa. W tym swoim powojennym marszu na ul. Kochanowskiego zetknąłem się z nimi na rogu ul. Leona Sapiehy vis a vis kościoła św. Elżbiety, potem vis a vis Politechniki i na rogu przy Poczcie Głównej. Każdy z nich miał przy sobie egzemplarz Konstytucji ZSRR i na pytania gawiedzi, dostojnie ją otwierając, podawał odpowiedzi w oparciu o cytaty zebrane w treści największych kłamstw, przeznaczonych jako duchowa karma dla naiwniaków. A ludzie jak ludzie, nawet ja sam czasem ulegałem chwilowemu złudzeniu. Ich rozmiary ustalił dopiero późniejszy okres. Nie mogłem także w tych pierwszych dniach przyzwyczać się do takich obrazów jak noszenie na plecach worka z ziemniakami lub wanienki do kąpieli dzieci na głowach wysokich oficerów sowieckich. Ale i to zrozumiałem, kiedy na pierwszym przedstawieniu w naszej operze zobaczyłem niektóre damy w nocnych koszulach. Docieram wreszcie do Akademii. Na chodnikach i skwerach dużo ludzi, przeważnie wojskowych, trochę młodzieży. Niektórzy w polskich wojskowych mundurach. Dziwić się temu nie można, jest przecież po wojnie i egzaminach wstępnych i przed nowym rozpoczynającym się rokiem akademickim. ▶

Na portierce p. Dyszczakowski z czerwona opaską przy wejściu demonstruje już swoją ukraińską przynależność. Podobnie przy wejściu do sali wykładowej Anatomii dwóch woźnych, Dyrda i Majkut, z czerwonymi opaskami na ramieniu. Widocznie już dali się nabrać na slogan *państwo robotniczo-chłopskie*. Być może myśleli o jakimś przyszłym poważnym awansie życiowym we władzach uczelni. Później, kiedy przypominaliśmy im o tych chwilach, występowała przy pochylonych twarzach czerwień wstydu. Opaski zdjęli zresztą szybko i pozostali w całym okresie obu okupacji bardzo dobrymi Polakami, chętnymi do największych poświęceń.

Zbliżam się do grupy ludzi, zebranych dookoła zwłok trzech dobrze wzdętych koni. Są to przeważnie dobrze nam znani woźni z Interny oraz prof. Szczudłowski. Doznaję szoku. Jest on w kaszkiecie na głowie i koszuli z wykładanym kołnierzykiem. Jeszcze kilka miesięcy temu widywałem go często w cylindrze, względnie chabiku na głowie. W kawiarni „Szkockiej” siedział zawsze w ciemnym garniturze. Widocznie stracił te swoje akcesoria w wojennej zawierusze. Teraz, trzymając konia za nogę, zwrócił się do mnie o pomoc w dźwignięciu zwłok i wciągnięciu ich na wóz prosektoryjny. Ten jego zamiar przerwał nagle dochodzący z tyłu

tubalny, podniesiony głos: *Panie rektorze, co pan robi? To jest robota dla naszych woźnych*. Machinalnie odwracamy głowy, spotykając się z postacią i zdumionym wzrokiem naszego arbitrium elegantiarum, prof. Zygmuntem Markowskim. Był w śnieżno-białej koszuli z muszką przy kołnierzu, w modnym ciemnym chabiku i jasnym bezowym ubraniu. Opierał się na swojej tradycyjnej laseczce, zakończony srebrną główką. Tak rozpoczął się mój kontakt z uczelnią po wojnie.

Już w niedługim czasie po tym incydencie prof. Szczudłowski zaproponował mi asystenturę przy swoim zespole katedr. Ponawia więc propozycję, wyraźną po złożeniu przysięgi z okazji odbioru dyplomu kilka miesięcy temu. Wtedy odmówiłem. Gaża młodszego asystenta wynosiła 120 zł miesięcznie plus skromny dodatek z tytułu opłat klinicznych. W terenie miałem już podpisany kontrakt na etat sejmikowego lekarza weterynarii – 200 zł oraz dwa razy w tygodniu opieka nad targiem w Działoszycach, płatne kierownictwo nad rzeźnią i rytualnym ubojem krów plus przegląd transportu cieląt do Katowic oraz prywatna praktyka. W pierwszych miesiącach zarabiałem już 1200–1400 zł miesięcznie, a dobra krowa kosztowała 400 zł. Suma więc nie do pogardzenia dla 25-letniego młodzieńca. Teraz propozycję tę

## Medal ma dwie strony

Tak mocno i bez reszty zajęliśmy się *Powiętnictwem Pruskim* i Eriką Steinbach, że nie zauważamy niczego poza tym. A czasem warto zwrócić głowę również w drugą stronę. W stronę *wypróbowanych przyjaciół*. Oto w krakowskim „Dzienniku Polskim” nr 213 z 12 IX '06 przeczytaliśmy taką krótką notatkę:

*Ukraińcy wysiedleni w latach wojennych i powojennych z terytorium Polski mogą otrzymać status deportowanych, a decyzje o ich wysiedleniu mogą zostać uznane za niezgodne z prawem. Przewiduje to opublikowany wczoraj w Kijowie projekt specjalnej ustawy.*

Miejmy nadzieję, że i nasze władze przygotowują dokument, który zajmie się wysiedleniem Polaków z Ziemi Wschodnich. Będzie to jednak wymagało głębokiego przeanalizowania i opisanie sytuacji, jaka istniała w latach 1943–46. W grę wchodziły bowiem nie tylko jednoznaczne dokumenty, które nakazywały opuszczenie tamtego obszaru, lecz, może przede wszystkim, wytworzenie przez sowietów i nacjonalistów ukraińskich takich sytuacji – jak strach przed deportacjami na *niehumanitarną ziemię* i ludobójstwo ukraińskie – które popychały ocalałych Polaków do ucieczki. Dotyczyło to w pierwszym rządzie terenów wiejskich, ale również miast.

Zarządowi Głównemu TMLiKPW sugerujemy zwrócenie uwagi władz państwowych na ten temat. Problem ów usiłowaliśmy poruszyć na posiedzeniu w Krakowie w dniu 16 września '06.

▶ przyjąłem bardzo chętnie, myśląc przede wszystkim o doktoracie.

W okresie tym prof. Szczudłowski prowadził Katedrę i Klinikę Ortopedii i Położnictwa oraz wykłady z propedeutyki chorób chirurgicznych. Katedrę Chirurgii oraz Okulistykę prowadził prof. Gajewski z doc. Michalskim, późniejszą ofiarą Katynia. W katedrach kierowanych przez prof. Szczudłowskiego obowiązywała kapitalna zasada. Mawiał zawsze, że asystentura nie jest żadną posadą, a w związku z tym każdy z nas przechodził dwumiesięczną rotację i dzięki temu specjalizował się w dwóch kierunkach. Asystenci zmuszeni zatem byli do stałego dokształcania się w tych kierunkach. Zwolniony od tej zasady był tylko doc. Moraw, specjalizujący się w ortopedii. Po śmierci prof. Gajewskiego prof. Szczudłowski przejął dodatkowo Katedrę Chirurgii wraz z Okulistyką.

W związku z krótkotrwałą wojną polsko-niemiecką powstały pewne luki personalne. Do kraju nie wrócili profesorowie Aleksandrowicz (histologia wraz z embriologią), Olbrycht (ogólna i szczegółowa hodowla z genetyką), doc. Mglej (interna), dr Heil (położnictwo), dr Ginsberg (anatomia), dr Kawa (farmakologia – Kanada), dr Rupp (anatomia patologiczna – RFN). Zaginął dr Bulik prowadzący sztuczne unasienianie przy Katedrze Hodowli Ogólnej. M.in. profesorowie – Kulczycki i Runge, stworzyli podstawę dla otwarcia studiów weterynaryjnych w Anglii, z polskim językiem wykładowym.

Teraz szyld przy głównym wejściu na teren Akademii – *Akademia Medycyny Weterynaryjnej* i podobna tablica głównego gmachu rektoratu, zastąpione zostały w języku rosyjskim *Państwowy Instytut Weterynaryjny* oraz *Dyrekcja Państwowego Instytutu Weterynaryjnego*. Byliśmy więc nadal samodzielną uczelnią, a nie jak pisze prof. Baczyński, jednym z Wydziałów Instytutu Zootechnicznego. Powstał on dopiero w daleko późniejszym czasie, po drugim wkroczeniu wojsk sowieckich do Lwowa oraz wybudowaniu dwóch dodatkowych gmachów z włączeniem klasztoru i kościoła przy ul. Domagaliczów. Kościół ten zamieniony został na teatr młodzieżowy powyższego Instytutu. Dyrektorem Instytutu został kandydat nauk Czinczenko. W pierwszych miesiącach jego urzędowania zniknęły: krzyż i lichterze ze świecami, wykorzystywane przy odbieraniu ślubowania dyplomowego. Zniknęły także insygnia rektorskie z łańcuchem na czele, a dyr. Czinczenko urzędował za-

wsze w czapce na głowie, nie zdejmując jej nigdy, nawet przy wejściu profesorów. Nie zdejmował jej również przy wymianie ukłonnów na ulicy czy terenie Akademii. Urzędował więc twardo w tzw. *stalinówce*. Zamiast książki przyrzeczeń na biurku rektora leżała jego dysertacja kandydacka, obejmująca kilkadziesiąt stron maszynopisu z dziedziny botaniki. Po obronie pracy kandydackiej jej posiadacze otrzymywali stopień docenta. Natomiast stopień doktora nauk weterynaryjnych otrzymywali wytrawni pracownicy naukowci po przedłożeniu i obronie pracy doktorskiej, odpowiadającej naszej habilitacji. Podstawą kariery naukowej była więc praca kandydacka. Ze zrozumiałych względów przy ogólnej ocenie naukowej, zwłaszcza równorzędności obu kandydatów, decydowało zawsze czynne zaangażowanie polityczne. Zajęcia teoretyczne i praktyczne odbywały się w starych pomieszczeniach rozrzuconych pomiędzy ulicami Piekarską i Kochanowskiego, w oparciu o główny gmach, gdzie mieścił się Rektorat oraz Katedry: Anatomii, Histologii z Embriologią, Zoologii z Parazytologią, a także muzeum ortopedyczne.

Wyrazy *rektor* czy *rektorat* z uwagi na ich kapitalistyczne pochodzenie zastąpione zostały słowami *dyrektor* i *dyrekcja*. Do jednych z największych niepowodzeń tego okresu zaliczyć należy zabranie przez wojsko sowieckie dwóch wspaniałych świeżo zakończonych klinik – Ortopedii i Położnictwa. Olbrzymie szklane gmachy, pozwalające na odbywanie zajęć w każdej porze roku, przypominały kliniki w Lipsku o bardziej zmodernizowanych pomieszczeniach. Gdyby wojska sowieckie wkroczyły do Lwowa o 2 miesiące później, zajęcia wcześniej tych pomieszczeń przez wspomniane katedry ocalałyby przed niepowołanym nowym gospodarzem. Pomieszczenia te, graniczące z koszarami 40 pp, zostały natychmiast włączone jako obiekt wojskowy. Z podanych zaś relacji przez żołnierzy sowieckich, te *dzieci* prof. Szczudłowskiego zostały szybko zaadoptowane dla wojskowych potrzeb (kuchnie, stanowiska dla zwierząt, magazyny itp.). Towarzysząca temu dewastacja zmieniła ich funkcjonalność do tego stopnia, że do dzisiejszego dnia nikt się o nie więcej nie upominał. Zresztą w warunkach toczącej się totalitarnej wojny stare pomieszczenia zu-



pełnie wystarczały na odbywanie zajęć teoretycznych i praktycznych. Na materiał kliniczny nie można było narzekać. Zapewniały go trzymane w dużych ilościach krowy, konie, kozy i świnie w bezpośrednim sąsiedztwie uczelni na Łyczakowie czy Pohulance. Również psów i kotów było pod dostatkiem.

W pierwszej okupacji sowieckiej zajęcia na wszystkich latach studiów rozpoczęły się w pierwszych dniach października i prowadzone były w języku polskim. Ich program pokrywał się zupełnie z polskim przedwojennym, obejmując w każdym roku studiów dwa semestry.

Po zakończeniu I roku studiów, obowiązywały egzaminy z fizyki (prof. Nikliborc), chemii ogólnej (prof. Niemczycki), zoologii (prof. Poluszyński), botaniki (prof. Janowski) oraz kolokwia z encyklopedii rolnictwa, nauki o mleku oraz propedeutyki nauk weterynaryjnych. Po drugim roku studiów do egzaminów obowiązkowych należały egzaminy z anatomii opisowej (prof. Bant), histologii i embriologii (prof. Aleksandrowicz), fizjologii (prof. Kłisiecki) oraz chemii fizjologicznej (doc. Grzycki). Nowo wprowadzonymi przedmiotami były: historia WKPb (wszechzwiązkowej partii bolszewików), której wykładowcą był lektor z Katedry Marksizmu i Leninizmu, Paszczenko z Boczarowem na zmianę, oraz język ukraiński. Był to najtrudniejszy rok studiów, zamknięty ścisłym rygiem złożenia tych egzaminów w odpowiednim czasie.

Po zakończeniu drugiego roku studiów następowała duża różnica w przedstawionych wymaganiach za czasów polskich i sowieckich. W okresie studiów polskich obowiązywał jedynie rygor złożenia egzaminów z mikrobiologii (prof. Mikulaszek) oraz patologii ogólnej (prof. Moraczewski). Egzaminy z parazytologii (prof. Poluszyński), hodowli

ogólnej i szczegółowej (prof. Olbrycht, potem Herman), anatomii topograficznej (prof. Bant), propedeutyki chorób chirurgicznych (prof. Szczudłowski) można było składać na dalszych latach studiów. Studenci tacy przedłużali niekiedy studia o wiele lat, stąd też ich nazwa „żelazni” studenci. Natomiast w okresie okupacji sowieckiej wszystkie egzaminy z III, IV i V semestru, tzw. egzaminy dyplomowe, ujęte były także surowymi rygorami terminów ich składania i warunkiem przejścia na kolejny rok studiów. Należały tu: anatomia patologiczna i weterynaria sądowa (prof. Zakrzewski wraz z doc. Żulińskim), interna z diagnostyką (prof. Markowski wraz z doc. Hamerskim), zakaźna (prof. Markowski z doc. Parnasem), chirurgia z okulistyką (prof. Gajewski), położnictwo i ortopedia (prof. Szczudłowski z doc. Morawem), nauka o mięsie (prof. Trawiński), farmacja weterynaryjna wraz z farmakologią (prof. Skowroński), administracja weterynaryjna, z której wykłady i egzamin przeprowadzał wojewódzki lekarz weterynarii. Zajęcia nadobowiązkowe prowadził inż. Weber z chorób pszczoł oraz dr Myczkowski z anatomii ptaków.

Różnica w egzekwowaniu egzaminów obowiązujących regulaminem studiów w czasie studiów polskich i sowieckich przyjęta została z zadowoleniem przez naszą Radę Wydziału. Dzięki takiemu programowi zniknęli bowiem tzw. „żelazni studenci”, studiujący nawet 10 i więcej lat. Studentami w okresie pierwszej okupacji sowieckiej byli tylko tacy, którzy złożyli egzamin wstępny w czerwcu 1939 r., w tym pewna liczba kobiet. Większość stanowili Polacy, mniejszość Ukraińcy. Nie było żadnego studenta pochodzącego z Zbrucza. Wszyscy oni chętnie garnęli się na studia, chcąc przetrwać zawieruchę wojenną.

W przeciwieństwie do czasów polskich studia były teraz bezpłatne, a studenci otrzymywali stypendia oraz pomieszczenia w domach akademickich. Żelazna kurtyna Zbrucza miała swój ściśle określony cel, odnoszący się nie tylko do studentów, ale i pozostałych mieszkańców ZSRR. Chodziło o to, aby nie zetknęli się oni z istniejącym dobrobytem w Polsce. Według opowiadań żołnierzy, byli oni w koszarach karmieni fałszywą propagandą o nędzy istniejącej w kapitalistycznej Polsce. To, co zobaczyli, było dla nich prawdziwym szokiem. Nie przyjeżdżali także do naszej uczelni w tym czasie pracownicy naukowcy i administracyjni. W rektoracie urzędował tylko dyr. Czinczenko i nasi

starzy pracownicy: Borusiewicz, Królikowski i jeden woźny „tatuńciu”. W katedrach nastąpiły tylko nieliczne zmiany w składzie nauczającym. Z Polaków dochodzą: Augustyn i jego żona, Dobrowolska, Ewy, Szmyd, Eliasiewicz, Lorenz, Senze i Wandokanty; z Ukraińców: Kłymkii, Uhryn, Pyłypeć i Terlecki; z Żydów: Fuchs, Gelb i Parnes; z Rusinów: Sawczuk i Zajac. Do laborantów i techników dołączają: Kraczkowski, Mryc i Rzczkowski. Z pierwszego ogólnego zebrania pracowników Instytutu Weterynaryjnego poświęconego wpisywaniu się do związku zawodowego (profspilka) dowiadujemy się, kto jest jakiej narodowości. Każdy kandydat musiał bowiem podać swoją narodowość oraz krótki życiorys. Bez należenia do związku zawodowego nikt nie mógł być pracownikiem żadnego zakładu pracy. Bez takiego zaświadczenia były także duże trudności w otrzymaniu nowego dowodu osobistego, tzw. paszportu.

Niezależnie od kadry asystenckiej, w której nie istniał podział na asystentów młodszych i starszych (jak za czasów polskich), byli także etatowi ordynatorzy oraz tzw. aspiranci naukowi. Przy pełnieniu łącznej funkcji asystenta i ordynatora gaża była podwójna i wynosiła około 700 rb miesięcznie. Oprócz normalnych zajęć dydaktycznych obowiązkiem ich było obsługiwanie pacjentów oraz pełnienie dyżurów nocnych (2–3 x w tygodniu). Oddzielną grupę tworzyli aspiranci naukowi. W zasadzie zwolnieni byli z wszystkich zajęć dydaktycznych. Ich zadanie polegało jedynie na pogłębianiu wiedzy danej specjalizacji, przeprowadzaniu badań naukowych, napisaniu i obronie pracy kandydackiej, nauce języka obcego oraz znajomości zagadnień politycznych (marksizmu i leninizmu) na pamięć.

Z aspiranturą rozstają się stosunkowo szybko i w niecodziennych warunkach. Na jednym z przedłużających się wykładów z marksizmu i leninizmu w dużej nieopalonej jeszcze sali wykładowej Anatomii Patologicznej zacząłem szurać zmarniętymi nogami. Wykładowca popatrzył na mnie spod oka, kończąc po chwili wykład. Następnego dnia rankiem czekał na mnie na portierce i poprosił na rozmowę w swoim gabinecie. Miała ona zaskakujący przebieg. Paszczenko zapytał mnie, czy wiem, kto to był Pawłow. Kiedy twierdząco odpowiedzia-

łem, wtedy zagaił: *Istotnie Pawłow należał do najwybitniejszych fizjologów na świecie i był kontrrewolucjonistą do ostatnich godzin swojego życia. Na łożu śmierci poprosił o krzyż i księdza. To był Pawłow, a wy Senze, dopiero zaczynacie wachać naukę, a już jesteście kontrrewolucjonistą i szuracie nogami na znak niezadowolienia z nieśmiertelnej nauki Marksa i Lenina. Tak daleko nie zajedziecie.* Wyjaśniłem, że jest w błędzie, bo właśnie na zgniłym Zachodzie dobry wykład kwitują słuchacze szuraniem nogami, uderzaniem dłońmi o pulpity, a nawet oklaskami. Zaskoczony moją odpowiedzią, znalazł się w kłopotliwej sytuacji, z której wyprowadziłem go pożegnaniem i wyjściem z gabinetu. O treści rozmowy powiadomiłem natychmiast prof. Szczudłowskiego. Był przekonany, że powinienem zrezygnować z aspirantury i przejść na asystenta-ordynatora. Tak też zrobiłem. Dzięki temu miałem podwójną gażę i kontakt z terenem. Mogłem więc korzystać na co dzień z honorarium aprowizacyjnego, zapewniającego dobre ziemniaki, ser, jaja, śmietanę, a nawet świeżo pieczony chleb z pieca. Doskonale zaś wyposażona biblioteka uczelni, mieszcząca się przy ul. Sopińskiego w Domu Akademickim i prowadzona przez p. Nowickiego, pozwalała na studiowanie najnowszej literatury światowej dochodzącej do 1939 r. Prawie każdy z nas miał temat pracy doktorskiej. Należało więc okres pobytu na uczelni najwłaściwiej wykorzystać. Odbywały się także co miesiąc posiedzenia naukowe z dyskusjami. Referowano różne prace, a także ciekawsze przypadki kazuistyczne. Był to prawdziwy wypoczynek po zajęciach dydaktycznych, łagodzący nieprzyjemne wieści polityczne dochodzące z miasta i kraju.

Niezależnie od zajęć uczelnianych, w okresie wakacyjnym do obowiązków naszych należała także kontrola studentów, rozmieszczonych w rejonowych lecznicach weterynaryjnych. Ja kontrolowałem ich działalność w Kołomyi, Kutach i Kosowie. Tam też zetknąłem się z miejscowymi Ukraińcami, którzy trudnili się przemycaniem przez granicę Polaków na Węgry. Studenci poza zajęciami dydaktycznymi wykorzystywani byli w koniecznych potrzebach przy zbiorze ziemniaków i wywózce drewna z lasu.

*Ciąg dalszy w następnym numerze*

# Z Ewą Piotrowską, adiunktem Muzeum Historii Fotografii w Krakowie, rozmawia Janusz M. Paluch

fol. Wojciech Staszkiewicz



Na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych krakowskie Muzeum Historii Fotografii oraz Oddział Krakowski Towarzystwa Miłośników Lwowa zorganizowały – jeszcze w Kamienicy Hetmańskiej – pamiętną wystawę poświęconą Kresom Południowo-Wschodnim. Pamiętną, bo byliśmy tuż po przełomie 1989 r., kiedy w końcu można było mówić prawdziwie o historii Polski, w tym o naszych dawnych Kresach. Od tamtego czasu zapewne wiele wystaw kresowych prezentowano w Muzeum w oparciu o posiadane przez państwa zbiory. Czy mogłaby pani przypomnieć kilka najważniejszych?

Tu muszę uściślić i przypomnieć, że Muzeum w tym okresie przygotowało dwie wystawy pokazujące nasze Kresy Wschodnie. Pierwszą była: *Lwów – miasto II Rzeczypospolitej*. Kolejną zaś ekspozycję zaprezentowaliśmy wspólnie z Towarzystwem Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w 1991 roku. Jej tematem były trzy województwa południowo-wschodnie – stanisławowskie, tarnopolskie i lwowskie.

Staramy się kontynuować tę tradycję, ponieważ w naszych zbiorach posiadamy ogromną ilość fotografii dotyczących ziem wschodnich. Te następne były wystawami monograficznymi, historyczno-monograficznymi, jak również ekspozycjami prezentującymi fotografię artystyczną. Wystawy o wymowie historycznej to na przykład *Artysta czy rzemieślnik? Galicyjskie zakłady fotograficzne przełomu wieków XIX i XX* czy wystawa historyczno-monograficzna *Stanisław Rawicz Kosiński. Budowniczy galicyjskich kolei*, ukazująca sylwetkę tego wybitnego inżyniera i jego całą rodzinę. Ekspozycja ta przybliżyła zapomnianą dziś postać inżyniera Rawicza Kosińskiego, który był twórcą i budowniczym szeregu linii kolejowych na terenie Galicji Wschodniej. Urodził się w Borku Szlacheckim pod Krakowem w 1847 r. W 1872 r. otrzymał dyplom inżyniera po ukończeniu Wydziału Komunikacji Politechniki w Pradze. Praktykę zdobywał przy budowie linii saskońsko-turyńskiej. Następnie po 1881 roku szybko awansował, kierował pracami przy tak ważnych liniach kolejowych jak Żywiec–Nowy Sącz, Stryj–Beskid, Stanisławów–Woronienka. W latach 1906–1917 pracował w Wiedniu w Ministerstwie Kolei Żelaznych. Najwspanialszym jego dziełem jest górską trasą wiodącą ze Stanisławowa do Woronienki, liczącą 96 km długości. Na tym szlaku w okolicach Jaremcza powstał most kamienny na Prucie, który stał się wzorem dla wielu późniejszych konstrukcji alpejskich. Był największy w ówczesnej Europie, miał rozpiętość łuku 65 m.

Dzięki rodzinie Kosińskich do naszego muzeum trafiła znaczna liczba fotografii, ilustrujących życie zawodowe inż. Rawicza Kosińskiego oraz osiągnięcia techniki przełomu XIX/XX w. W naszych zbiorach posiadamy dwa piękne, olbrzymie tableaux. Jedno skomponowane zostało z jedenastu fotografii. W centrum umieszczono zdjęcie słynnego mostu kolejowego w Jaremczu, a wokół niego fotografie okolic i Hucutów w ich strojach regionalnych, którzy prawdopodobnie mogli być zatrudnieni przy budowie. Drugie tableau zawiera 36 pamiątkowych fotografii: 33 portrety budowniczych linii kolejowych, inżynierów, współpracowników Rawicza Kosińskiego, a także zdjęcia z uwiecznionymi widokami mostów w Jamnej i Jaremczu. To niezapomniana pamięt-

ka z budowy linii kolejowej Stanisławów–Woronienka. Wykonał ją znany lwowski fotograf Józef Eder w latach 1891–95. Należy wspomnieć, że ówczesne tableaux to nie tylko owoc sztuki fotografików-rzemieślników, ale kooperacji między fotografem i malarzem-grafikiem, a to dlatego, że często passe-partout tych tableaux były malowane ręcznie. Niektórzy fotografowie mieli zresztą ukończone studia artystyczne.

**Ale były też wystawy historyczne, na których Kresy stanowiły tylko fragment prezentacji.**

Muszę wspomnieć o dwóch wystawach prezentujących tematykę Kresów na szerszym tle. Mam tu na myśli wystawy: *Kłamstwo katyńskie* i *Polska–Rosja trudne sąsiedztwo*. Wiemy, jaki wpływ na losy wschodnich terenów Polski miała Rosja, a to skutkowało dużymi fragmentami tych wystaw związanych z naszymi wschodnimi województwami. Wyliczmy: 17 września 1939, sowiecka zdrada obrońców Lwowa 22 września 1939, aresztowania, zsyłki, przesiedlenia, w końcu narzucenie nowej granicy. W rezultacie poza krajem pozostały znaczne tereny Polski, a wielu kresowiaków zostało wygnanych ze swej ojcowizny. Na tych wystawach pokazaliśmy jeden z najtragiczniejszych fragmentów historii Kresów.

**Dzisiaj mówimy o fotografii jako o rzemiośle, ale przecież musimy pamiętać, że w owych czasach był to jednak przejaw pewnego luksusu. Przecież nie każdy mógł sobie pozwolić na fotografię, choć i ona stawała się szybko popularna. A o sprzęcie fotograficznym tylko nieliczni mogli pomarzyć!**

O tak. To doskonale można było zaobserwować na wystawie fotografii poświęconej zakładom fotograficznym Galicji z przełomu XIX i XX w. (obiekty ze Lwowa, Kołomyi, Drohobycza, Stanisławowa, Złoczowa, Tarnopola, a także Czerniowiec). Trudno dzisiaj wyobrazić sobie, jak takie atelier wyglądało! Aparat fotograficzny był bardzo duży, ustawiony na statywie. Były to aparaty tzw. skrzynkowe na klisze szklane. Ekskluzywne atelier to zakład obejmujący nieraz kilka pomieszczeń (część dużej kamienicy), ponieważ składał się z salonu przyjęć, pokoju – właściwego atelier i buduaru damskiego (przebieralni). Obszerne pomieszczenie, w którym portretowano klientów, wyposażano w eleganckie rekwizyty. Na podło-

dze leżała skóra z dzikiego zwierza albo dywan turecki o wyrafinowanych wzorach, jakieś biurka, stoliczki, fotele, krzesła, kolumnienki; mogły być też instrumenty muzyczne. Jeden z najważniejszych elementów stanowiły tła malowane farbami olejnymi, które jawiły się same z siebie jako niemal odrębne dzieła sztuki i ukazywały wybujałą zieleń ogrodu albo jakiś majestatyczny antyczny fragment architektury lub bogate wnętrze salonu czy gabinetu. Z tamtych czasów pochodzą też dziwne przedmioty, przypominające nieco narzędzia tortur, np. drewniane czy metalowe podpórki, których zadaniem było unieruchomienie w odpowiedniej pozycji np. głowy fotografowanego człowieka, co dawało pewność, że podczas naświetlania kliszy model nie będzie się ruszał... W fotografii olbrzymie znaczenie ma światło. Każde atelier w tamtych czasach posiadało przeszklony dach, czyli tzw. świetlik. Przestało to mieć znaczenie, kiedy zaczęto posługiwać się sztucznym oświetleniem. Na fotografiach spotykamy czasem reklamę mówiącą o tym, że w danym zakładzie zdjęcia wykonuje się niezależnie od pogody. Prócz głównych pomieszczeń często w suterenie lokowano pracownię, laboratorium, „płuczkarnię”, skład klisz oraz magazyn i pokoik, gdzie przygotowywano papier (odbitkowy lub na passe-partout). Tak wyglądał duży, elegancki, dobrze prosperujący zakład fotograficzny.

W owym czasie, a mówię tu o okresie 2. poł. XIX w. – początek XX w., np. we Lwowie istniało wiele tego typu słynnych zakładów, gdyż prowadzili je wspaniali fachowcy. Bardzo często za swoje osiągnięcia w dziedzinie fotografii nie tylko portretowej, ale również krajobrazowej, architektonicznej otrzymywali medale i wyróżnienia na krajowych i zagranicznych wystawach. W tym miejscu trzeba wspomnieć o takich fotografach jak: Józef Eder, Teodor Szajnok, Dawid Mazur, Edward Trzemeski czy Maria Kałapus (vel Kalapus). Klientela tychże atelier to szacowni obywatele miasta Lwowa, jak i okoliczni bogaci ziemianie. Fotografowały się całe pokolenia rodzin szlacheckich i mieszczańskich. Przykładowo jednym z klientów Dawida Mazura był młody Stanisław Ignacy Witkiewicz z matką. W latach 1889–1914 koło kościoła św. Anny działał bardzo prężnie fotograf Bernard Ettels. Tamże wykonywano



ogromną ilość zdjęć ślubnych, komuniyjnych oraz portretów grupowych czy pojedynczych żołnierzy austriackich. Warto nadmienić o filiach, jakie lwowskie zakłady fotograficzne posiadały np. w Jassach, Stanisławowie, Tarnopolu, Czerniowcach czy nawet w Krynicy. Kiedy pracowałam nad wystawą poświęconą Krynicy, porównałam zdjęcia portretowe wykonane przez dwa zakłady – Edwarda Trzemeskiego i zakład „Maria” (Marii Kałapus). Okazało się, że obydwa te zakłady miały filie sezonowe otwierane tylko na okres letni w uzdrowisku. Gdy pojechałam do Krynicy, usiłowałam znaleźć dokładniejsze informacje, w którym miejscu mogły one funkcjonować. I znalazłam! Okazało się, że naprzeciwko starych Łazienek mineralnych istniał w drugiej połowie XIX w. pawilon drewniany, gdzie kuracjusze wykonywali sobie pamiątkowe zdjęcia portretowe. I to jest taka ciekawostka łącząca Krynicy ze Lwowem. Oczywiście od początku mamy do czynienia też z fotografiami plenerowymi, dzięki którym możemy oglądać zdjęcia rodzajowe oraz fragmenty panoram miasta lub też zabytków architektury już z lat osiemdziesiątych XIX w. Nie było jednak takie łatwe wykonać wtedy zdjęcie w plenerze, bo aparat i statyw były bardzo duże i ciężkie. Do tego dochodziły szklane klisze pokryte warstwą światłoczułą, pieczołowicie zapakowane w kasety ochronne, pokładane ściśle w drewnianych skrzynkach (służących do przenoszenia na pasach). W naszych zbiorach mamy np. piękną kartę pocztową – reprodukcję z negatywu szklanego przedstawiającego panoramę Lwowa z 1904 r. Warto zaznaczyć, iż wielu osobom

nasza instytucja kojarzy się tylko z fotografią, tymczasem proszę zwrócić uwagę, że karty pocztowe (wprawdzie powielane), są przecież również fotografiami (stwierdzenie to dotyczy strictly odbitek fotograficznych pozytywowych). Również do tegoż zbioru możemy zaliczyć pocztówki – reprodukcje drukarskie z oryginalnych klisz fotograficznych. Wspomniane obiekty też znajdują się w zasięgu naszego zainteresowania.

**Znane są fotografie wykonywane i powielane w większych ilościach przez fotografów towarzyszących działaniom wojskowym podczas I wojny światowej. Były wysyłane potem po całej Europie przez żołnierzy do swych rodzin. To jest bezcenny dokument ukazujący często zniszczenia, jakie niosła I wojna światowa...**

Rzeczywiście. W naszych zbiorach posiadamy również nieco wcześniejsze fotografie stanowiące pamiątki z wojska. Choćby ta kartka, która datowana jest na 15 sierpnia 1911 roku. Przedstawia grupę dwudziestu sześciu żołnierzy austro-węgierskich ujętych na tle jasnej ściany budynku. Tej pamiątkowej odbitce fotograficznej nadano funkcję kartki pocztowej. Na jej odwrocie, na wydrukowanych linijkach znajduje się odręczna notka korespondencyjna uczyniona czarnym atramentem! Pocztówka została wysłana do pana Józefa Jaworzyńskiego, urzędnika banku austro-węgierskiego w Krakowie przy ul. Wiśniej. A pisał do niego prawdopodobnie brat: *Kochany Józku! Wyszedłem z wojska w sobotę, 12 b.m., rozboleły mnie jednak zęby i lecę się na gwałt, bo mnie dyabli biorą w tym Lwowie. Bądź łaskaw mi donieść, czy Ciocia Bronia wraz z Danką są w Krakowie, czy też wyjechały i gdzie. Będę prawdopodobnie w sobotę w Krakowie. Całuję Cię serdecznie. Edek. Lwów 15 VIII 911.*

**Muzeum jest miejscem nie tylko ekspozycji, ale – a może przede wszystkim – miejscem, w którym gromadzi się zbiory. W państwa przypadku jest to także sprzęt fotograficzny, ale nade wszystko przedmiot naszej rozmowy – fotografie.**

Zasoby są bardzo duże. Rzeczywiście w skład zbiorów wchodzi różny rodzaj obiektów. Za-



Ratusz w Zaleszczykach

równy same fotografie, jak i sprzęt fotograficzny służący do ich wytworzenia i obróbki, a więc: aparaty, statywy, światłomierze, powiększalniki, ramki do powiększania i kopioramki do produkcji seryjnej odbitek, tanki do utrwalania i płukania odbitek itd. Przede wszystkim jednak największą uwagę skupiamy na fotografiach. Zdjęcia występują w różnych formach, tzn. klisze szklane, zarówno pozytywowe, jak i negatywowe, negatywy na kliszach celuloidowych ciętych i przechowywanych w rolkach. Pod tym terminem kryje się cały szereg rodzajów odbitek fotograficznych pozytywowych wykonanych różnymi technikami: albuminową, kolodionową, żelatynowo-srebrną itd. Jedne są fotografią czarno-białą, choć na pierwszy rzut oka na taką nie wyglądają, ponieważ są barwne. To odbitki monochromatyczne tonowane na kolor brązowy (tzw. sepiowy), niebieski lub zielony. Ale nie tylko fotografie czarno-białe, osobna historia to fotografia barwna – odbitki pozytywowe barwne oraz klisze szklane. Posiadamy w zbiorach diapozytywy barwne z początku XX wieku! Interesujące Pana fotografie kresowe stanowią 1/3 zasobów! To jest bardzo dużo, jeśli zważymy, że Muzeum ma charakter krakowski, a powstało dopiero w latach osiemdziesiątych XX w. Lwia część tych zdjęć pochodzi z lwowskich zakładów fotograficznych, takich jak np. Edward Trzemeski, „Adela”, Teodozy Bahrynówic, Bergtraun Dawid czy Bergtraun M. (Izydor), Leon Błachowski, Eder Józef, Eder Rudolf, Henner – Bernard starszy i młodszy, Henner Jakub (lub Józef). Lista zakładów lwowskich jest bardzo długa. To, co po nich udało się nam zgromadzić, jest niewspółmierne do tego, co się o nich czyta, o ich możliwościach, o ich dorobku i o wszechstronnych uzdolnieniach właścicieli atelier! W przypadku kolekcji lwowskiej, oraz szerzej omawiając – kresowej, mamy do czynienia przede wszystkim z fotografią portretową pojedynczą i grupową. Oglądamy na zdjęciach postaci anonimowe, jak i lwowskie osobistości, np. rodzinę Kulczyckich (Zygmunta Kulczyckiego, znanego muzyka i członka Polskiego Towarzystwa Muzycznego we Lwowie „zdjął” sam mistrz Edward Trzemeski). Podobnie było z Jadwigą Wandą Elektorowicz, znaną pianistką. Fotografie portretowe zazwyczaj są sygnowane przez zakłady fotograficzne

w różnej formie: wydruków na awersie tekturki nazwiska fotografa, nazwy zakładu, miejscowości, adresu, względnie tłoczenia tychże. Na odwrocie występowały często ozdobne winiety, później (bliżej lat 20., 30. XX w.) czasami zwykle pieczętki tuszowe.

Jak już poprzednio wspomniałam, posiadam zdjęcia grupowe np. Studium Nauczycielskiego we Lwowie, pochody uczniów szkoły powszechnej, fotografię urzędników magistratu lwowskiego podczas uroczystości z ok. 1930 r. (zakład „Sztuka” we Lwowie). Jest szereg fotografii niesygnowanych, ale ze względu na opisanie ich przez właścicieli mamy pewność, że dotyczą Lwowa. To bardzo ciekawe tableau absolwentów Wydziału Inżynierii Dróg i Mostów Politechniki Lwowskiej, ok. 1910 r., sygnowane przez zakład fotograficzny Tadeusza Jaworskiego „Adela”, który znajdował się w Pasażu Mikolascha. Wokół 56 fotografii portretowych różnych formatów znajduje się bardzo bogata bordiura złożona z różnorodnych elementów – rysunków torów kolejowych, wież wiertniczych, czy też podobizn mostów, wykonana przez J. Sereżyńskiego. Do bardzo cennych fotografii związanych z historią miasta zaliczamy odbitki przedstawiające wnętrze Filharmonii Lwowskiej oraz orkiestrę i chór Lwowskiego Konserwatorium Muzycznego. Są też fotografie o charakterze familijnym; chociażby fotografia zbiorowa przedstawiająca klasę fortepianu prof. Sołtysowej z uczennicami (ujęcie we wnętrzu, fot. Bernard Henner jun., ok. 1920 r.). Prócz takich poważnych, pozowanych zdjęć mamy też takie wykonane na kręgielni kolejowej lub grupy studentów z wykładawcami. Dość ciekawym fragmentem zbiorów są też zdjęcia ukazujące Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” we Lwowie. Duże zasługi w dokumentowaniu lwowskich sokółów mają Edward Trzemeski, Bolesław Stetkiewicz i Teodozy Bahrynówic. Marek Munz uwiecznił ćwiczenia



uczestników kursu Związku Sokolskiego w plenerze na boisku lwowskiego „Sokoła” w 1931 r.

Do niezwykle interesujących należą fotografie, które można zakwalifikować do grupy obrazujących życie codzienne Lwowa. Takie zdjęcia są zazwyczaj niesygnowane. W miarę upływu lat pojawia się ich coraz więcej wraz z następującą miniaturyzacją aparatów fotograficznych. Można powiedzieć, że jest to fotografia amatorska o charakterze reporterskim. Obrazuje ona życie Lwowa czy miast i miasteczek na Kresach. W zbiorach posiadamy zasób klisz pochodzących od rodziny prof. dr. inż. Michała Afanasowicza, znanego działacza harcerstwa polskiego, współzałożyciela skautingu we Lwowie, a także komendanta Krakowskiej Chorągwi Harcerzy w Krakowie w latach 1922–23. W okresie 1911–1914 był drużynowym VI Lwowskiej Drużyny Skautowej im. gen. Henryka Dąbrowskiego. Podczas licznych swoich wędrówek po ziemiach Galicji Wschodniej wykonał setki nad wyraz interesujących zdjęć (przyroda, pejzaże, zabytki – budowle obronne z przeszłości). W końcu posiadamy też zbiór lwowskich fotografii Jana Bułhaka. To jest Lwów troszeczkę inny. W zasobie są klisze negatywowe, z których potem wykonywał odbitki pozytywowe. Bułhak był mistrzem fotografii statycznej. Uwieczniał głównie architekturę. We Lwowie fotografował cerkiew Wołoską, kaplicę Boimów czy Katedrę św. Jura i Katedrę Łacińską. Zachowały się także jego piękne pejzaże kresowe.

**Muszę zadać pytanie o piękne góry. Na Kresach rodził się przecież polski ruch turystyczny, narciarstwo. Tam powstały liczne towarzystwa turystyczne i narciarskie.**

Oczywiście posiadamy bogaty zasób fotografii pokazujących piękno tamtych gór. Są to przede wszystkim fotografie Adama Lenkiewicza, który wiele prac wykonał w celu zreprodukowania przez Wydawnictwo „Książnica-Atlas” we Lwowie, która edytowała w tamtym czasie widokówki. Wydawnictwem tym kierował wówczas geograf Eugeniusz Romer, a grupą fotografów kierował jego syn Witold. Właśnie w tej serii były reprodukowane fotografie Lenkiewicza. Jego zdjęcia są bardzo charakterystyczne. Miał on subtelny zmysł pojmowania piękna. Potrafił w sposób bardzo niezwykle ukazać

miasto, jego architekturę. W wystawie, która odbyła się w 1939 r. pod tytułem *Kto najpiękniej widzi Lwów?*, wystawił 31 zdjęć – portretów. Jego prace skomentował Marian Dederko, członek Fotoklubu Wileńskiego, słowami: *[Lenkiewicz] kocha miasto [...], rozumie i odtwarza wytwornie*. A Henryk Mikolasch, jego pejzaże z obłokami – „jak na zamówienie” – wstawił słynnym stwierdzeniem: *ależ pan wozi chyba za sobą na sznurku te chmury za motocyklem!* Lenkiewicz był człowiekiem szalenie rzutkim, przemieszczał się bardzo szybko, a interesowało go praktycznie wszystko. Dlatego też fotografował nie tylko pejzaż miejski, ale także – a może nawet przede wszystkim – pejzaż górski. Kochał Gorgany i Czarnohorę oraz Tatry. Bywał tam i latem, i zimą. W naszym zbiorze możemy się także pochwalić widokówkami jego autorstwa z gór, jak i fotografiami stanowiącymi dokumentację życia codziennego ówczesnych miast i miasteczek z Kresów Wschodnich. Zdjęcia profesora Lenkiewicza przedstawiające skały w Uryczu czy zamek w Czerwonogrodzie w okolicach Zaleszczyk, jak i same Zaleszczyki, słynne uzdrowisko Morszyn, widoki Stanisławowa, pomniki – np. Adama Mickiewicza w Tarnopolu, drewnianą cerkiew św. Jura w Drohobyczu, Stryj i kościół parafialny tamże, czy też cerkiew katedralną w Samborze oraz fragmenty architektury z Sokala – to cenne dokumenty ikonograficzne dla badacza historii. Lenkiewicz świetnie jeździł na nartach, był człowiekiem wysportowanym, zasłużył się też dla rozwoju turystyki. Przecierał szlaki turystyczne, był współtwórcą sieci górskich schronisk turystycznych. Z tego czasu pochodzą wspaniałe fotografie gór w różnych porach roku. Fotografowie-pejzażyści to nie tylko fotografowie patrioci ukazujący piękno krajobrazu ojczystego, ale także fotograficy, którzy starali się przypomnieć i przybliżyć Polakom miejsca, o których powinniśmy pamiętać stale, bo mówią o bohaterstwie naszego narodu, polskich żołnierzy. I tak wśród jego fotografii znajdziemy krzyż na Przełęczy Legionów w Gorganach, obelisk w Rafajłowej, który upamiętniał śmierć polskich legionistów, czy fotografię ukazującą cmentarz w Mołotkowie, gdzie pochowano poległych w bitwie w listopadzie 1914 r.

**W Krakowie mieszka syn Adama Lenkiewicza, prof. Stefan Lenkiewicz, również miłośnik turystyki górskiej i nart, a także poeta i prozaik. To właśnie dzięki jego książce *Na nartach w Czarnohorze* wiele osób pierwszy raz zetknęło się z tymi górami.**

Pół roku temu otwieraliśmy jego wystawę zatytułowaną *Polska międzywojenna w fotografii Adama Lenkiewicza*.

Istnieje jeszcze jeden rodzaj zdjęć, jeżeli chodzi o tematykę. W zasobach muzealnych posiadamy duży zbiór fotografii ukazujących typy ludzkie. Są to portrety nie tylko inteligencji lwowskiej, kupców, ale także zdjęcia portretowe najróżniejszych ludzi, przyodzianych często w regionalne, dziś już nieistniejące stroje. Są to wizerunki ludzi pochodzących ze wsi. Między innymi portretówki wykonane na podstawie klisz fotograficznych autorstwa M. Seńkowskiego. Ukazują one Hucułów. Mamy portret starej, pomarszczonej Hucułki w kożuszkach, w chustce na głowie ułożonej w kształcie turbanu i z fajką w zębach (staruszka uśmiecha się dosyć złośliwie w stronę obiektywu) oraz zdjęcie młodej Hucułki nad Czeremoszem, która skończyła pranie i wraca do domu. Bardzo ciekawa jest też fotografia dwojga małych dzieci, ubranych w wyszywane półkożuszkę, uwiecznionych w towarzystwie małego sympatycznego kundelka, przy drewnianym ogrodzeniu. W tle widać drewniane zabudowania gospodarcze. Nie są to tylko zdjęcia pozowane. Warto zaznaczyć, że fotografie z zakładów lwowskich, to nie są takie zwykłe fotografie, nie jest to zwykły portret. Charakteryzuje je niezwykła staranność wykonania. Ponieważ papier fotograficzny był niezwykle cienki, w związku z tym naklejano fotografie na tektury o różnych formatach: nieduży wizytowy i większy – tzw. format gabinetowy. Bywały i większe (prawie porównywalne z wielkością drzwi). Dlaczego o tym mówię? Oprócz staranności w wykonaniu samej fotografii, te tekturki – to arcydzieło sztuki litograficznej.

Były niewątpliwie oryginalną i bardzo praktyczną formą reklamy zakładu fotograficznego, dlatego też z przodu znajdowała się nazwa zakładu, nazwisko właściciela zakładu i jego adres. Z tyłu natomiast znajdowały się rysunki różnych postaci alegorycznych, np. przedstawienie postaci kobiecej w popiersiu, a poniżej tekst:

„RIVOLI” ZAKŁAD ART. FOTOGRAFICZNY  
I PIERWSZORZĘDNY KRAJOWY ZAKŁAD  
DLA POWIĘKSZEŃ  
LWÓW UL. TRZECIEGO MAJA 10.  
FILIA UL. GRÓDECKA 71.A.

lub:

RUDOLF EDER we LWOWIE  
Kręcone słupy pod L 504

oraz dekoracja figuralna w postaci figurek fotografujących amorków okoloną rozbudowaną ornamentyką z motywów roślinnych. Bardzo często zawód fotografa w tamtych czasach łączył się z wykształceniem na Akademii Sztuk Pięknych. Byli więc też doskonałymi malarzami, co wykorzystywali przy wykonywaniu fotografii, ale również w podkolorowywaniu ręcznym fotografii czarno-białych pastelami lub akwarelami. No i dzięki temu mamy fotografie z eleganckimi winietami, chociażby ta z 1907 r. z mężczyzną przedstawionym w głębokim popiersiu. W lewym górnym narożniku (na odwrocie) mamy ozdobną winietę zakładu z adnotacją:

PIERWSZE SPECYALNE ATELIER  
OSOBNO ZAŁOŻONE DLA POWIĘKSZEŃ  
PORTRETÓW, KREDKOWYCH, TUSZOWYCH, AQUARELLE, PASTELLE ETC.



Zdjęcie lotnicze Politechniki

ATELIER MATEJKO, STRAUB. ZUGEHOER,  
WYBRANOWSKI WE LWOWIE ul. Karola  
Ludwika No 3.

Kliske przechowują się dla dalszych zamówień.

Młodzież śmieje się często z tych podpisów o przechowywaniu klisz dla dalszych zamówień, ale pamiętamy przecież zakład fotograficzny p. Pawła Bielca przy ul. Karmelickiej w Krakowie i jego archiwum klisz fotograficznych. Panowała moda, że porządne zdjęcia, np. do dyplomów, należy wykonać właśnie u Bielca, bo tam zawsze, nawet po wielu latach, można znaleźć kliszę i wznowić zdjęcie. To właśnie tam zachowało się też słynne na cały świat zdjęcie młodego Karola Wojtyły.

**Kiedyś słyszałem o lotniczych zdjęciach Lwowa wykonywanych dość wcześnie, bo u zarania Polski niepodległej.**

Rzeczywiście, posiadamy te fotografie w naszych zbiorach. To są bardzo ciekawe zdjęcia wykonane z samolotu, tzw. ujęcia „z lotu ptaka”, z wysokości, 100, 200, 300 m. Autorami byli żołnierze 2 pułku lotniczego, eskadry, która stacjonowała w Krakowie. Zdjęcia sygnowane są przez pilota Meysenthalera. Na tych fotografiach widnieją na odwrocie pieczętki tuszowe, które dają nam wiele wiadomości: nazwę fotografowanej miejscowości, wysokość, z jakiej wykonano fotografię, skalę, datę i godzinę wykonania fotografii, typ kamery, czas naświetlania, pogodę, rodzaj filtru, jakiego użyto, nazwisko obserwatora, pilota i uwagi dotyczące warunków wykonania danego zdjęcia. Obiekty te wykonano w latach 1921–22. Zdjęcia pokazują widok ogólny Lwowa, gmach Politechniki Lwowskiej, Dworzec Główny, zabudowę wzdłuż ulicy Leona Sapiehy i wiele innych. Posiadamy w zbiorach bardzo ciekawą fotografię lotnika. Jest to portret majora pilota Kazimierza Ferdynanda Kubali, wprawdzie wykonany w Warszawie, ale sygnowany we Lwowie. A dedykacja brzmi tak: *Młodej entuzjastce lotnictwa Pannie A. Kriegerównie z Krakowa przesyłam me pozdrowienia, a za Jej złote serduszko, świat oddaję wraz z lotniczą bracią, dając to przekonanie szczęścia przez prawdę piękno, pełne kwiatów i uśmiechów bez końca – Kubala, mjr pilot, Lwów 9 kwietnia 1930 r.* Jest to bardzo znana postać w historii lotnictwa polskiego. W 1929 r. Kubala wraz z majorem Ludwikiem Idzikowski

skim podjęli próbę przelotu przez Atlantyki. Niestety nie udało się. Musieli lądować awaryjnie na wyspie Gracia w archipelagu azorskim. Idzikowski zginął, a major Kubala ranny wrócił do kraju w glorii bohatera.

**Pani największa przygoda z fotografią?**

Opracowywałam wiele fotografii, ale jedna z nich była szczególna. Trafila do nas fotografia ukazująca pracowników „Książnicy-Atlas” we Lwowie. Wspominałam już wybitnego geografa prof. Eugeniusza Romera, który patronował akcji tworzenia tysięcy widokówek ukazujących piękno naszego kraju, i jego syna – Witolda, znakomitego fotografa. Pewnego razu otrzymałam fotografię – portret zbiorowy: grupa ludzi, mężczyźni i kobiety, ustawieni na dziedzińcu budynku przy ul. Łyczakowskiej 5, gdzie mieściła się siedziba „Książnicy-Atlas” – fotografia była na szczęście sygnowana. Pośrodku siedzi starszy, szczupły mężczyzna z wąsami, to właśnie słynny polski kartograf Eugeniusz Romer. Jest to podarunek od pewnej starszej pani, rodowitej lwowiarki. Przeprowadzałam z nią wywiad informacyjny dotyczący tego zdjęcia i w jego trakcie dowiedziałam się, iż pośród uwiecznionych jest również Eugeniusz Romer.

**Ta zabawa z fotografiami jest chyba niebezpieczna, bo przecież w jakimś sensie obcuje się z duchami...**

Zgadza się, ale jeśli wkłada się w tę pracę serce, uczciwość prawdziwego historyka-badacza, to nie ma się czego bać. Te duchy rozumieją nas i one wtedy pomagają, a nie straszą nas po nocach. Nasza instytucja ma to szczęście, że bardzo dużo osób zwraca się do nas, rozumiejąc wagę tego, że fotografia jest świadkiem historii i nieraz zatrzymała w kadrze wiele ważnych i istotnych momentów nie tylko w życiu ich rodziny, ale często istotnych w dziejach rodzinnego miasta czy kraju. Ludzie są tego świadomi i dlatego chętnie z nami współpracują. Jeśli otrzymujemy zbiór fotografii, to przeprowadzamy z darczyńcami wywiad związany z autorem fotografii, miejscem ich wykonania, z datowaniem. To daje nam piękny obraz nie tylko tej historii przez duże „H”, historii ziem ojczystych, ale i tej małej historii poszczególnych rodzin, mniej lub bardziej znanych czy zasłużonych dla Ojczyzny. Trzeba podkreślić, że fotografia to nie tylko piękno uchwycone w danej chwili przez umiejętność



nego fotografa, ale często wspinała źródło historyczne.

**Ludzie nie zdają sobie sprawy, że czas umyka błyskawicznie, a fotografie nieopisane stają się anonimowe.**

Nieraz bardzo żałujemy opracowując świeżo otrzymany materiał, że nie ma na nim żadnego opisu pozostawionego przez ludzi na nim uwiecznionych. I mimo że udaje nam się dojść do tego, co przedstawia obraz, to nie udaje nam się zazwyczaj rozszyfrować tego, jakie postacie znajdują się na zdjęciach. A czasami jest to związane z ważnymi wydarzeniami, np. przyjazd Marszałka Piłsudskiego do danej miejscowości, jakaś wizytacja biskupa czy manewry... Tak więc robiąc zdjęcia, datujemy je zawsze z tyłu i piszmy, kto na nich jest! Ani się obejrzymy, kiedy nasze zdjęcia staną się już historycznymi. Jest to mój apel nie tylko jako historyka, ale jako zwykłego człowieka. Sami zaraz zapomnimy, jak się nazywają ludzie, których utrwaliśmy na zdjęciach, i przy jakich okazjach były wykonane.

**Fakt, że spora liczba fotografii kresowej przechowała się do naszych czasów stanowi swoisty fenomen, kiedy weźmiemy pod uwagę warunki, w jakich Polacy opuszczali swe rodzinne domy. Jakim cudem tyle fotografii znalazło się tutaj?**

Tak, to prawda. To jest szalenie wzruszające i wstrząsające, że bardzo często z opowiadań wynika, iż musieli obudzeni w środku nocy pakować się do jednej walizki i natychmiast opuszczać domy. I w jakimś odruchu pakowali zdjęcia rodzinne. Traktowali to jak bezcenny skarb – bo pamięć i jej wizerunek na zdjęciu to coś ogromnie cennego! Te zwykłe kartki papieru z obrazem rodzin czy ważnych wydarzeń zabierali na tułaczkę. One nieraz bardziej potrafiły ogrzać niż jakiś sweter, którego nie zdążyli ze sobą zabrać. Bo ważniejsze czasem jest ogrzać duszę i serce aniżeli ciało – oto potęga ludzkiej pamięci! To nie jest sentymentalizm, to jest ogromnie ważna cecha nas, Polaków, hart, podtrzymywanie na duchu siebie i innych w ciężkich okolicznościach. To swoisty ewenement w świecie – taki drobny, ulotny przedmiot, może przydać siły, dodać wiary w siebie i w życie. I pomagał przetrwać ludziom koszmarny śnione niestety często na jawie.

**Serdecznie dziękuję Pani za rozmowę.**

---

EWA PIOTROWSKA, ur. w Krakowie, absolwentka historii UJ. Pracowała w Muzeum Narodowym w Krakowie, Polskiej Akademii Nauk, a od 1994 w Muzeum Historii Fotografii.

---

## KTO ICH ROZPOZNA?

Załączone zdjęcie (kserokopia) pochodzi zapewne z lat dziesiątych lub dwudziestych XX wieku. Przedstawia prawdopodobnie nauczycieli i księdza (katechetę?) oraz uczennice szkoły żeńskiej p r a w d o p o d o b n i e w Żółkwi (oryginał jest własnością obecnego mieszkańca tego miasta).

Byłoby ciekawe zidentyfikowanie niektórych bodaj postaci oraz ustalenie roku wykonania fotografii. Kto z potomnych potrafiłby to uczynić? Udałoby się tym samym zatrzymać pamięć umykającego czasu...

Ewentualne odpowiedzi prosimy kierować na adres:  
**Prof. Jerzy Kowalczuk**  
31-476 Kraków  
ul. Lublańska 24/2



Jerzy Kobłowski

*Jestem Polakiem*

Polsko, Ojczyzno moja,  
Tak bliska, a zarazem daleka,  
O Tobie ciągle marzę,  
Spotkań z Tobą czekam.

Marzę o Ziemi, która dała  
Tak wielu znanych ludzi światu,  
O ziemi okrytej sławą  
Przez naród polski, przez mych rodaków.

Jestem Lwowiakiem, potomkiem Lwowskich  
Dzieci,

Tych dzieci, co na polu chwały  
Za Polskę życie oddały,  
I – Lwowskie Orleńta – w wieczność jako orły  
odleciały.

Gdzie by mnie w życiu los nie rzucił,  
Pod jakimkolwiek będąc znakiem,  
Odpowiem z dumą:  
Mym znakiem Orzeł Biały – jestem  
Polakiem.

*Jurek, urodzony i wychowany we Lwowie, jest od niedawna studentem Politechniki Warszawskiej.*

Adam Hollanek

*Wieczny film*

ten film stary lwowski  
co we mnie wciąż leci  
uczy znów po ulicach chodzić  
po piekarskiej aż do cmentarza  
po reja do sklepiku po schodkach  
po akademickiej legionów sokoła

i już tylko w pamięci  
ci nasi bliscy święci  
mój dziadzio ze swoim  
janciu to pieniądze kosztuje  
mama z tym niachu  
do tata ta pojedziemy do jamnej  
tego ciepłutkiego lata

Zofia Bar

*Kochani!*

Często pada pytanie, co takiego miał w sobie  
ten czarodziejski wasz Lwów,  
że mówicie wciąż o nim w każdym miejscu  
i dobie,  
a z zachwytu aż brak wam słów.

Odpowiedzieć się nie da, bo to siedzi głęboko,  
w mózgu, w sercu i w krwi.  
Choćby chciał ktoś wymienić soczewki  
w swym oku,  
to na nic. Lwów w nas tkwi!

I na próżno tłumaczyć – czy kupiec, czy  
batiar,  
pejsaty w chałacie, przekupka czy pan,  
że wszyscy lwowiacy ukochali swe miasto  
tak naprawdę, na zicher, nie szpan!

Każdy z nas zabrał z sobą na tułaczkę po  
Jalcie  
jego obraz i dumę, i hart.  
Cenić, kochać go, mówić wciąż o nim  
uparcie  
będziemy, bo Lwów jest tego wart!

To on dał nam wzory, nie tylko nauki  
wartości wszelakich i cnót.  
To on nas nauczył odpierać ataki  
szturmujące do serc i do wrót!

To on dał nam siłę przetrwania tych  
wszystkich  
i zesań, i łagrów, i tium.  
To Lwów nas zjednoczył rozsianych  
po Polsce,  
by wspólnie móc wołać: NASZ LWÓW!

*Pani Zofia Bar mieszka w Gnieźnie*

albo lepiej do worochty  
ze skarbówką na szczołce  
rebrowacza czeszącej  
niebo mojego dzieciństwa

ileż też wylać trzeba  
i rzucić wszystko dorosłe  
dla naiwnej historii  
tej lwowskiej



Szczęściem jej było, że się nigdy nie stała modną okolicą Lwowa. Skutkiem tego nigdy tamtędy nie szedł owczy pęd lwowskiego tłumu,

# POHULANKA

**Niniejsze opowiadanie zaczerpnęliśmy z książki autorstwa Franciszka Jaworskiego pt. „Lwów stary i wczorajszy” (Lwów 1910)**

ani ścisłu nigdy nie było na Pohulance. Spekulując na romantyczne ustronie, bankrutowali wszyscy, którzy tylko czar przyrody chcieli sfinansować, a więc restauratorowie, cukiernicy, przedsiębiorcy, utrzymujący łódki na wyschłym już dziś stawku, huśtawki i kręgielnie. Lwowskiemu filistrowi za daleko było chodzić na Pohulankę przez długą ulicę „na Rurach”<sup>1</sup> ponad brzegiem Pełtwi i niebezpiecznie było wracać wieczorem koło niskich chałupek, koło cmentarza, ogródka Makolondry i ponurej Szumanówki.

A Pohulanka rosła sobie dziko i rozkosznie. Wielki wawóz, który położył się w samym jej środku, miał w sobie cały wdzięk zaczarowanego ogrodu, o którym ludzie jakby zapomnieli. Toteż od stawku blaski szły i iskry, jakie tylko słońce w pogodny dzień odbić umiało i szmer strumyków kołysał kolebkę Pełtwi i jej źródlika takie czyste i jasne jak myśl dziecinna, dokąd jej życie nie zbrudzi, tak jak Lwów swojej rzeczki.

Sam wawóz ciągnął się długo i jakby wprost wpadał w tonie błękitu, które jego zakończeniem były, światłem i niebieskim okiem, wyglądającym ciekawie spoza ciemnej i starej drzew zieleni.

A same drzewa z obydwu zboczy spadzistych aż na sam dół schodziły, jakby do zwierciadła wody i jakby ku straży kąpiącym się rusalkom.

Zieleń była tak jak i teraz jeszcze – od zielonej rogatki, Snopkowa, Krasuczyna, aż ku Żelaznej Wodzie i potem z drugiej strony poprzez folwark zakonnic ormiańskich, Cetnerówkę, Pasiejd, Łyczakowski park ku Kaiserwaldowi: olbrzymi zielony pierścień, któremu taka Pohulanka czy Cetnerówka drogimi były kamieniami... Pierścień jednak rwie się ustawicznie, bo miejsca pod parcelację potrzeba, a i sama Pohulanka, chociaż dzisiaj jeszcze tak czarowna, bodaj czy się długo oprzeć zdoła najazdowi najpierw lekkich will podmiejskich, a potem ciężkim szeregom kamienicznym.

Dziś to jeszcze lwowska Arkadia czy Szwajcaria, z zachowaną szczęśliwie piękną swobodnie rosnącego lasu, wzgórz,

dolin, jarów i polanek i z zachowanym dotąd komfortem z początków ubiegłego stulecia<sup>2</sup>. Bo na Pohulance dom restauracyjny jeszcze ma małe okna i białe nieozdobne ściany, jeszcze tam proste stoły i strasznie grająca muzyka, i jeszcze tam ciągle nawoływania kelnerów i wiedeńskich walców brzęk dokuczliwy profanacją jest ciszy, która legła na tym zakątku zadumą, tęsknotą i zapomnieniem.

Zadumą omszały stuletnie drzewa i zrywa się ona za szelestem uszłego listowia, razem z krzykiem ptaków i szumnym śpiewaniem wierzchołków drzewnych. Pełno jej tam, gdzie naga ziemia ku słońcu wyziera ciekawie i gdzie się wzgórze kłosaми żyta zieleni młodego, i tam gdzie milcząca, zamknięte mauzoleum tajemnicę kryje starego wodociągu miejskiego. I może właśnie dlatego chadzać tamtędy nie lubi tłum rozbawiony, że tak jakoś cicho i tęskno na Pohulance i tak jest inaczej niż na rozświetlonych festynach placu wystawowego<sup>3</sup>. Gdyby nie ta okropna muzyka w restauracji, której słuchać muszą słowiki i która tłumi śpiew wieczornego wiatru, to by zapomnieć można o tym, że się jest we Lwowie...

Ale muzyka gra w rozdzierający sposób, a ktoś jej wtóruje: *Mizzi, Mizzi, sei ja nicht so bos'*...<sup>4</sup>

Trywialne słowa padną w każdą szczylinę leśną, pełzają po wzgórkach i drożynach i aż się uszami przelewają, wraz z życzeniem, ażeby Mizzi poszła sobie do stu diabłów albo tam, gdzie chce jej adorator w wiedeńskiej piosence, która jakby przyrosła do tego miejsca, a na którą skarżył się już anonimowy autor w r. 1825, opisujący Pohulankę w lwowskich „Rozmaitościach”.

Był jednak czas, kiedy Pohulanka nie była wcale miejscem wycieczkowym ani nawet nazwy swojej obiecującej nie nosiła. Za czasów bowiem Rzeczypospolitej była to posiadłość wiejska, na której chłopci siedzieli pańszczyźniani, a nad nimi rodzina

Deymów gospodarowała. Krzysztof i Franciszek Deymowie, obaj radcy lwowskiego sądu apelacyjnego, byli ostatnimi właścicielami wzgórz i jarów tutejszych i obaj woleli też życie miejskie raczej niż odległą wówczas od miejskich murów sielankę. Toteż wyzbyli się z rozkoszą gruntów, lasów i chłopów na rzecz rodziny Dziewałtowskich, od której całą posiadłość kupił mecenas Franciszek Węgleński.

Ciekawy człowiek i ciekawa kariera. Węgleński był adwokatem wówczas, kiedy adwokatom najlepiej się działo we Lwowie. Nieuregulowane stosunki prawne, lekkomyślność szlachecka, krach austriackich finansów, rabulistyka prawna przy braku stałych norm i przekupstwie urzędników, wszystko to wytwarzało grunt, na którym tylko fortuny adwokackie wyrastać mogły. A że Węgleński, obok Józefa Dzierzkowskiego, należał do najzdolniejszych adwokatów, gładki był w obejściu, dowcipny, wesoły, wszędzie, nawet do cesarza trafić umiejący, więc też wkrótce doszedł do wielkiego majątku.

A jako człowiek majątny dobre miał gusta i fantazje. W czasach sielankowego sentymentu zapragnął także sielanki, ale takiej, jaką miał Horacy i ludzie rzymskiego cesarstwa, których ten czas, za wzorem Napoleona, tak chętnie naśladował. Kupił więc starą posiadłość Deymów, wybudował u wstępu do niej pałacyk, ten sam, w którym dzisiaj restauracja, urządził prawdziwe *tusculum*, nazwał Pohulaną i hulał tam razem z całym lwowskim towarzystwem do upadłego. Nazwa sama nie bardzo się zrazu przyjęła. Owszem, współcześni najchętniej nazywali posiadłość laskiem Węgleńskiego, „Pohulanka” zaś utarta się nieco później, już po wyjeździe Węgleńskiego ze Lwowa.

Trudno powiedzieć, co właściwie spowodowało wziętego adwokata do opuszczenia rozległej, a intratnej praktyki, wesołego towarzystwa lwowskiego i czarownej, z prawdziwie magnackim przepychem urządzonej Pohulanki. Syt zysków zapragnął może jeszcze sławy, czy też wiedzą swoją prawniczą, doświadczeniem i zdolnościami służyć zapragnął Polsce, dość że przeniósł się do Warszawy, wstąpił w r. 1809 w służbę Księstwa Warszawskiego, w dziewięć lat później był już senatorem-kasztelanem, a w r. 1819 objął po Sobolewskim tękę ministerstwa sprawiedliwości, zostawiając na tym stanowisku

po sobie pamięć człowieka uczciwego i energicznego, podczas gdy we Lwowie długo jeszcze opowiadano kawały, na jakie brał sędziów i sądownictwo austriackie, o ile mu chodziło o wygranie jakiejś sprawy.

Już po wyjeździe Węgleńskiego ze Lwowa zwiedzał Pohulanę w 1820 r. Julian Ursyn Niemcewicz. Autor *Śpiewów historycznych*, który objechał całą Polskę i w *Podróżach historycznych* swoich pilnie notował każdą piękność przyrody i każde dziejowe wspomnienie, poświęcił i uroczemu laskowi pochlebną wzmiankę: *Pohulanka, wieś zeszłego J.P. Węgleńskiego, ministra sprawiedliwości w przyjemnej nader dolinie, otoczonej górami, pięknie udrzewionymi. Miłe prawdziwie zacisze dla męża lubiącego wiejską ciszę, spokojność i nauki...*

W chwili jednak, gdy sędziwy i zasłużony autor pisał te słowa, przestała być Pohulanka i zaciszną, i spokojną, a z mężami lubiącymi nauki wzięła rozbrat na zawsze. Od spadkobierców Węgleńskiego kupił ją bowiem restaurator Jan Diestl, który w pałacyku założył piwiarnię, na staw poświęcił flotyllę łódek, zostawiając resztę ogrodu i cały lasek do użytku par zakochanych i samotników o pokładzie poetyczno-melancholijnym.

Do tych ostatnich należał autor artykułu o Pohulance, pomieszczonego w „Rozmaitościach” z r. 1825. Był to snadź wielki amator podlwowskich drzew i zieleni, bo opisał je prawie wszystkie dokoła Lwowa i nieraz w dalszym ciągu niniejszych szkiców przyjdzie nam się powołać na jego nastroje i wylewy uczuć. Jedna litera podpisu wskazuje, że autorem tych przedmiejskich nastrojów jest może Stanisław Jaszowski, jeden z pisarzy, który głębiej i lepiej kochał Lwów, aniżeli to nawet opisać potrafił.

Wyszędłszy używać świeżego powietrza udał się autor na Pohulanę, gdzie z *rzadką prawdziwie radością przechadzał się po krętych ulicach gaju, przypatrywał się źródłom, wytryskującym z brzemiennej wodami ziemi.*

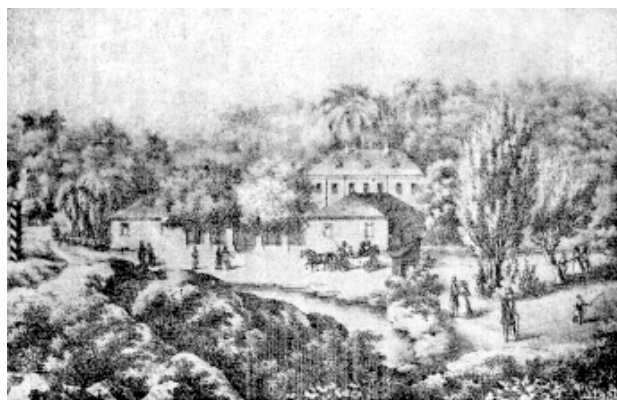
I byłby może autor zapomniał o całym świecie, gdyby nie brzęk szklanek i gwar pijących, skutkiem którego już za małą chwilę widzimy i jego samego w restauracji, razem z Niemcami, którzy rozmawiali o dawnych hecach wiedeńskich, i fanfaronami, których ubiór złożony był ze szczególniejszych kolorów. Mieli kapelusze kratkowe, chustki krat-

kowe, surduty kadrylowane, czyli po prostu powiedziawszy, podszyte kratkową kitajką i pantaleonki w prążki. Były to wzory ostatniego żurnalu, który tym razem zupełnie wypadł niesmacznie i jak gdyby na przekorę wszelkiej powadze, zdradzając zasady zwolenników swoich, czynił z nich istnych arlekinów.

Od kufla poszedł znowu nasz autor oglądać piękne widoki: *Przedzierając się przez gęste chaszczce stanęliśmy na szczycie góry, okrytej wesołymi drzewami i panującej nad Pohulanką. Co za boski widok odkrył się stamtąd oczom naszym. Naokoło wysokie góry, a w środku padół wyścielony drzewami, spomiędzy których wyzierały niedbale małej kaplicy wieżyczki. Głuche naokoło nas panowało milczenie i tylko żab skrzeczenie przerywało je swoim nieharmonijnym dźwiękiem. W tym miejscu na szczycie, mchem leśnym uścielonej góry, zapomnieliśmy o stosunkach stolicy, o obowiązkach powołania i z przepętnionymi sercami, w milczeniu, bo prawdziwe uniesienie nigdy nie używa wyrazów, poglądałiśmy to po sobie, to na drzew gałęzie, którymi jakby od niechcenia łagodny wietrzyk kołysał. Urwawszy na pamiątkę kilka nadobnych owoców Flory, z tęsknotą odrywaliśmy się od tego przyjemnego ustronia, gdzie wdzięk natury z każdego do nas uśmiechał się listka, w każdym odbijał się kwiatku i gdzie nasz umysł był wolny od namietności i tak spokojny, jak te wody pobliskiego stawu, które nie zmarszczyły nawet szklanej powierzchni swojej.*

Czytając ten wylew uczuć, trudno się oprzeć wrażeniu, że przecież dawnymi czasami większe było we Lwowie odczucie piękności własnego gniazda aniżeli dzisiaj. Być może dlatego, że trudniejszy był dostęp do widoków szwajcarskich, włoskich i innych, do których obecnie połowa Lwowa latem pielgrzymuje.

Z tych też lepszych czasów dla lwowskich drzew i zieleni pochodzi i litografia z widokiem Pohulanki, którą tutaj w reprodukcji podajemy. Z drugiej jednak strony przynajmniej trzeba, że Pohulanka nie natchnęła żadnego z wieszczów lwowskich na nutę piękniejszą i trwalszą. W 1831 r. napisał Michał Suchorowski sztukę teatralną pod tytułem *Hanusia z Pohulanki*, ale tutaj osoba samego autora jest o wiele ciekawsza aniżeli jego utwór. Suchorowski był bowiem jakąś niezwykle zwyrodniałą i zbrodniczą



jednostką, a kolejne jego życia nadają się raczej do kryminalnego romansu. Doktor praw, wzięty adwokat, o literackich i naukowych aspiracjach – napisał bowiem kilka utworów dramatycznych, zbierał pieśni żebrackie, miał własne teorie lingwistyczne – dopuścił się Michał Suchorowski zbrodni pospolitego oszustwa, za którą długie lata przesiedział w Szpilbergu i wslawił się tym, że był ostatnim więźniem tego osławionego więzienia. Wyszedłszy zeń, zamordował do spółki z jakimś lokajem, w celach rabunkowych, proboszcza kościoła świętej Anny, za co na śmierć skazany, poszedł na dożywotnie więzienie właśnie w chwili, kiedy gramatyka jego porównawcza opuścić miała prasy drukarskie. Drukarz, nie wiedząc co zrobić z nakładem, zniszczył go. Suchorowski zaś, gdy się o tym w więzieniu dowiedział, wytoczył mu proces z Brygidzek, proces ten wygrał i uzyskał odszkodowanie w kwocie kilkuset złr.<sup>5</sup>, które dla niego złożono do depozytu sądowego.

W czasie zaślubin cesarza Franciszka Józefa napisał Suchorowski w Brygidkach wiersz okolicznościowy w sześciu językach, który to wiersz zarząd więzienia posłał do kancelarii cesarskiej, skąd przyszła niespodziewanie... amnestia dla poety.

Suchorowski wyszedł na wolność po kilkudziesięciu latach więzienia, za wspomniane wyżej odszkodowanie kupił sobie domek przy ulicy Sieniawskiej, drukował jeszcze kilka utworów, między innymi *Szczytną pieśń Sławianów* we wszystkich językach słowiańskich, i umarł w ósmym dziesiątku lat ubiegłego stulecia<sup>6</sup> jako porządny i Bogu ducha winien staruszek.

Wracając jednak do *Hanusia z Pohulanki*, to była ona pierwszy raz dnia 9 czerwca 1830 *na król. miejskiej widzialni lwowskiej, przez grono lubowników sztuki muzycznej*

Palacylek mecenasa F. Węglińskiego, później restauracja i piwiarnia J. Diestla. Wg litografii z 1840 r.

# Brodzianie na ojczystym szlaku

Nasze pismo pozostaje od wielu lat w przy-  
żądni z ogólnopolskim Kołem Przyjaciół Bro-  
dów (nie należącym do TMLiKPW, ale czy  
to ważne? Ważna jest jego piękna działa-  
ność na rzecz Polaków i polskości w Bro-  
dach). Corocznie zamieszczamy sprawoz-  
dania z ich tradycyjnych zjazdów w Wiśle,  
a ostatnio otrzymaliśmy od Pani Prezes re-  
lację z pierwszej pielgrzymki Brodzian w ich  
rodzinne strony. Tekst musieliśmy (jak zwy-  
kle!) nieco skrócić – w zasadzie nie zamiesz-  
czamy sprawozdań wycieczkowych, ale róż-

ne informacje i spostrzeżenia okazały się  
na tyle interesujące dla nas wszystkich,  
wschodnich małopolan, że chętnie je prze-  
kazujemy naszym Czytelnikom. Dziękujemy!

Wyjechaliśmy w połowie września '06.  
Po minięciu granicy (odprawa trwała tylko  
godzinę) ruszyliśmy trasą w kierunku Lwów–  
Kijów tzw. „autostradą”: droga okropna, trzę-  
sło, jechaliśmy jak w kołyse. Duże połacie  
ziemi leżą odłogiem. Mijaliśmy stare kaplicz-  
ki, jednak ze zmienionymi kopułami. [...]

Pomijamy opisy odwiedzanych Oleska  
i Podhorzec, przeważnie znanych Czytelni-  
kom z wycieczek. Natomiast najważniejsze  
było osiągnięcie głównego celu podróży.

## BRODY

15 września dotarliśmy do Brodów, gdzie  
siostry – na progu swego domu przy ul. F.  
Westa – z księdzem Piotrem i polskimi mie-  
szkańcami Brodów witali nas śpiewem, chle-  
bem i solą. Przyjęcie było bardzo serdecz-

Budowa kościoła w Brodach



▶ i dramatycznej na dochód ubogich we Lwo-  
wie wystawiona – sama zaś zaczyna się  
następującym kupлетem:

*Chłopaki z Pohulanki  
Węglińskie dziewczeczki  
Splatajcie śliczne wianki  
Dla naszej Haneczki...*

Już ten czterowiersz pouczy, że sztuka  
Suchorowskiego zupełnie zasłużonym po-  
kryła się pyłem zapomnienia, tak samo jak  
i druga krotochwila, oryginalnie napisana  
przez A. Ładnowskiego pt. *Majówka na  
Pohulance, czyli Miłość i polędwica*.

Od roku 1848 jest Pohulanka własno-  
ścią rodziny Kleinów. Przeprowadzono wów-  
czas na posiadłości znaczne zmiany, a mia-  
nowicie osuszono ją częściowo, przy czym  
Klein zbudował browar, z którego piwo przez  
długie lata dzierżyło we Lwowie prym z po-  
wodu swojej dobroci, a konsumowane było  
przede wszystkim na miejscu przez wy-  
cieczkowiczów, którzy każdej niedzieli ob-

siadali stoły restauracyjne. Główną atrakcją  
Pohulanki w tych czasach były pierogi, kur-  
częta i lody wyrabiane w letnim pawilonie  
cukierni Maisona.

Lwowskie akcyjne towarzystwo browa-  
rów wykupiło browar, którego budynki za-  
mieniono w dom mieszkalny, stawek został  
zupełnie osuszony, pozostała zaś tylko tra-  
dycyjna restauracja i tradycyjna piękność  
przyrody, która oby jak najdłużej oparła się  
parcelacji i zabudowaniu...

## PRZYPISY REDAKCJI

- <sup>1</sup> Ulica „Na Rurach” (późniejsza Kochanowskie-  
go) założona na skanalizowanym potoku, spły-  
wającym do Pełwi (patrz CL 2/2000).
- <sup>2</sup> Autor ma na myśli oczywiście początek XIX  
wieku.
- <sup>3</sup> Plac Powystawowy – po Wystawie Krajowej  
1894 r. (patrz CL 2/95), obok Parku Stryjskiego.
- <sup>4</sup> *Mizzi, Mizzi, nie bądź taka niedobra...* (niem.).
- <sup>5</sup> złotych reńskich
- <sup>6</sup> XIX stulecia



ne. Przekazaliśmy na ręce siostr dary naszego Koła dla mieszkańców Brodów – głównie dla dzieci i ludzi w podeszłym wieku. Po obiedzie, na którym były pierogi i barszcz, objeżdżeni wyruszyliśmy do hotelu [...].

Mając niewiele czasu wyruszyliśmy jeszcze w miasto, każdy w swoją stronę, która go ciekawiła. Przechadzka trwała krótko, gdyż wieczorem było spotkanie z księżmi i siostrami na ul. Westa. W trakcie tego spotkania wyświetlono film dotyczący walki o stary brodzki kościół pw. Podwyższenia Krzyża Świętego. Walka o kościół rzymskokatolicki trwała kilka miesięcy. Ludzie modlili się na ulicy i wysłuchiwali mszy św. w czasie deszczu i śniegu. Jednakże kościół przekazano na cerkiew grekokatolicką i od tej pory, tj. od 1992 r., jest tam – po pewnych zmianach zewnętrznych i wewnętrznych\* – czynna cerkiew. Przez dłuższy czas świątyni rzymskokatolickiej nie było, Msze św. odprawiano pod gołym niebem, wreszcie ustawiono barak-kaplicę, w której odprawiane są msze. Obok tej kaplicy jest budowany od kilku lat kościół, w tym roku został pokryty blachą\*\*.

*Pomijamy – ze względów jak wyżej – Poczajów i Krzemieniec. Natomiast mało znany jest ogółowi*

## PODKAMIEŃ

Wyruszyliśmy do Podkamienia, naszej podolskiej Częstochowy. Podkamień położony jest na południowy wschód od Brodów. W granicach Rzeczypospolitej znalazł się w XIV wieku. Swą nazwę wywodzi od olbrzymiej, samotnie stojącej skały, wznoszącej się u stóp zespołu klasztornego.

Już na przełomie XVI i XVII wieku istniał tu zamek Cetnerów oraz kaplica z cudownym obrazem Matki Boskiej Podkamieńskiej (jest to kopia obrazu MB Śnieżnej, Santa

Maria Maggiore), dzięki któremu miejscowość stała się jednym z największych sanktuariów maryjnych na Kresach. Świętym wizerunkiem opiekowali się dominikanie, dla których Baltazar Cetner wybudował w latach 1612–95 ufortyfikowany klasztor. Kościół ukończono dopiero w 2. połowie XVIII w. Klasztor i kościół były kilkakrotnie napadane przez Tatarów i całkowicie niszczone. Pomocy w odbudowie udzieliła rodzina Sobieskich. Król Jan III odnosił się do tego miejsca z wielkim pietyzmem.

Najważniejszą datą w historii Podkamienia jest rok koronacji obrazu Matki Bożej w 1727 r. Świątynia ostateczny kształt otrzymała pod koniec XVIII w., stąd jej styl barokowy. Po rozbiorach Polski dominikanie pozostali w Podkamieniu, ale klasztor pozbawiono majątku. W czasie I wojny światowej uległ on całkowitemu zniszczeniu. Wraz z kościołem spalono bezcenną bibliotekę (5 tysięcy tomów, w tym liczne rękopisy) oraz obrazy Sz. Czechowicza: *Madonna* i *Św. Katarzyna*.

Lata międzywojenne były dla Podkamienia okresem stabilizacji i ożywienia działalności kaznodziejskiej i pedagogicznej (szkoła podstawowa). Wybuch II wojny światowej był tragiczny dla klasztoru, mieszkańców Podkamienia, uciekinierów z Wołynia i okolic. 12 marca 1944 duży oddział UPA, wzmocniony siłami z *Ukrainische Hilfspolizei* wtargnął podstępnie do klasztoru i wymordował ok. 300 Polaków. Łącznie z miasteczkiem zginęło ok. 800–900 osób.

Gdy ziemie te zagarnął Związek Sowiecki, dominikanie musieli natychmiast opuścić klasztor – powstała w nim spółdzielnia rzemieślnicza, a później szpital psychiatryczny. Obecnie zrujnowany klasztor przekazano mnichom grekokatolickim. W podobnym stanie ruiny znajduje się kościół. Polski zabytek jest w stanie opuszczenia i całkowitej degradacji. Dookoła czarnoziemy leżą odłogiem, okolica robi wrażenie wymarłej, drogi są w stanie katastrofalnym. ▶



Podkamień – stan obecny sanktuarium  
Matki Boskiej Podkamieńskiej



Ewa Nadachowska

## DOM NA GÓRCIE JACKA

Górka Jacka\* – jedno z siedmiu wzgórz, na których rozłożyło się miasto Lwów. Z jego szczytu od strony południowej, czyli od ulicy Tarnowskiego, za czasów mego dzieciństwa rozciągał się piękny i rozległy widok. Wodząc wzrokiem od wschodu do zachodu, najpierw widziało się zielone łąki, a białe od śniegu zimą pagórki, na których wtedy uwijali się narciarze. Na przeciwległe zbocze wspaniały się dwa parki: Snopkowski i Kilińskiego (zwany też Stryjskim). Na zachodzie tonęły w zieleni budynki miasta. Od północnej strony wzgórz, a więc z ulicy Krasiańskiego, rozciągał się również wspaniały widok na miasto – z jego zabytkową zabudową i w dali wznoszącym się Kopcem Unii Lubelskiej, ulubionym miejscem wycieczek lwowiaków.

Życie moich rodziców, od czasu założenia przez nich rodziny w 1912 roku, związane było z Górką Jacka. Najpierw zamieszkali w kamienicy wuja mojego Ojca, Bolesława Widajewicza, przy Tarnowskiego 68 (kamienica istnieje do dzisiaj). Mój ojciec Benedykt Fuliński urodził się w 1881 r. w Chlebowicach Świrskich, z ojca Karola Waleriana i matki Julii Adelajdy z Widajewiczów. Pochodził ze szlachty zagrodowej. Cechą tej warstwy społecznej był głęboki patriotyzm, zainteresowanie przeszłością kraju i pęd do wiedzy. Toteż Benedykt już jako uczeń gimnazjum w Stanisławowie organizował kółka samokształceniowe, na których on i jego koledzy zapoznawali się z historią Polski, geografią ojczystego kraju oraz jego przyrodą. Ulubioną lekturą młodego Benedykta były wtedy popularnonaukowe artykuły sławnego uczonego Benedykta Dybowskiego. Nic dziwnego więc, że zdawszy maturę obrał na Uniwersytecie Lwowskim kierunek przyrodniczy. Wiedzę swą przekazywali wtedy studentom tak znakomici profesorowie jak: zoologowie Benedykt Dybowski i Józef Nussbaum-Hilarowicz, botanik Marian Ra-

Wspomnienie

Po powrocie do Brodów było spotkanie z polskimi mieszkańcami miasta. Rodzina pp. Olszewskich pięknie grała: p. Olszewska na bandurze, p. Olszewski na gitarze, a ich syn Julek pięknie śpiewał. Spotkanie odbyło się w serdecznej atmosferze, poczęstowano wszystkich ciastem i herbatą.

17 września, w niedzielę, o 9 rano była msza św. Kościół udekorowano biało-czerwonymi kwiatami. Na tej mszy przekazano dary od Koła dla kościoła w Brodach, tj. monstrancję, kielich i patenę. Księża na nasze ręce przekazali serdeczne podziękowanie, kazanie wygłosił ksiądz Piotr, wikary. Związane ono było z naszym pobytami i zaangażowaniem Koła w sprawę Kościoła i ludzi z Brodów. Po mszy odbyło się przedstawienie religijne w wykonaniu dzieci i młodzieży polskiej. [...]

Jeszcze pozostały trzy godziny czasu na zwiedzanie miejsc bliskich sercu, na odwiedzenie krewnych na cmentarzu lub zwiedzanie zabytków: zamek, muzeum, Rojekówka\*\*\*, budynek Brygady, w której stacjonował gen. Anders, oraz szkoła, do której się chodziło. W muzeum historycznym Brodów, wśród ekspozycji, odkryliśmy tablicę z napisem „Polski okupacyjny reżim 1920–1939”.

*W drodze powrotnej było zwiedzanie Lwowa.*



Rojekówka w Brodach.  
Wg litografii K. Auera, 1830

\* Opisywaliśmy to kiedyś w CL (m.in. na kościele wystawiono kopułę).

\*\* Patrz także CL 4/2000, s. 35.

\*\*\* Rojekówka – park publiczny w centrum Brodów, założony w XIX w. przez obywatela miasta o nazwisku Rojek.

ciborski, fizyk Marian Smoluchowski, geolog Rudolf Zuber, filozof Kazimierz Twardowski i inni wybitni uczeni. W 1908 roku ojciec obronił pracę doktorską, której recenzentami byli profesorowie Nussbaum-Hilarowicz i Dybowski. Po złożeniu egzaminu dla nauczycieli szkół średnich rozpoczął pracę w szkolnictwie. Przez 11 lat uczył historii naturalnej, chemii i fizyki w VII i IV gimnazjum męskim we Lwowie. Kochał młodzież i cieszył się jej wielką sympatią. Był bowiem zwolennikiem nauki przyrody w terenie. Urządzał wycieczki w Karpaty Wschodnie i Tatry, które zarówno dla uczniów, jak i ich wychowawcy, pozostały niezapomnianym przeżyciem. W latach 1918–22 pełnił też funkcję sekretarza w muzeum Dzieduszyckich. Po rannych obowiązkach w szkole spędzał popołudnia i wieczory w gmachu Starego Uniwersytetu, w laboratorium prowadzonym przez profesora Nussbauma-Hilarowicza. W tej pracowni wykuwała się znana „lwowska szkoła przyrodników”. Pracowali tam prócz mego Ojca: Jan Grochmalicki, Antoni Jakubski, Jan Hirschler, Ludwik Jaxa Bykowski, Stanisław Czernski, Rudolf Weigl (późniejszy wynalazca szczepionki przeciw tyfusowi plamistemu) i inni. Prawie wszyscy zasilili później kadrę naukową polskich wyższych uczelni jako profesorowie.

W tym laboratorium poznał też Benedykt Fuliński swoją przyszłą żonę, pracującą tam młodzieńką studentką Stefanię Hauserównę. Była ona córką nieżyjącego już wtedy znanego lwowskiego sędziego, pierwszego prezesa Związku Sędziów Polskich w Galicji, Leopolda Hausera. Ten wybitny prawnik, historyk i pisarz (jest autorem cennej monografii miasta Przemyśla) był wielkim patriotą, społecznikiem i miłośnikiem kultury polskiej. Jako młody sędzia został współzałożycielem „Fredreum”, działającego do dziś amatorskiego teatru w Przemyślu. W uznaniu zasług dla tego miasta został odznaczony tytułem honorowego obywatela Przemyśla\*\*. Panna Stefania wrażała w kulturalnej atmosferze domu, którą stwarzał zarówno jej wybitny ojciec, jak też wykształcona, pięknie grająca na fortepianie matka.

Młode małżeństwo, jak już wspominałam, zamieszkało na Górze Jacka przy ulicy Tarnowskiego. Tam przyszli na świat ich czterej

synowie: Jędrzej, Jacek, Stefan i Wojciech. Mama w pewnym okresie próbowała połączyć obowiązki matki licznej rodziny z pracą zawodową. Uczyla przez kilka lat biologii w prywatnym żeńskim gimnazjum. Gdy jednak urodziła się najmłodsza latorośl, córka Ewa, poświęciła się wychowywaniu swojej gromadki. Wkrótce rodzina powędrowała kilkanaście metrów wyżej, na sam szczyt Góry, gdzie stanął nowo wybudowany dom przy ulicy Tarnowskiego 82. Była to piękna willa z dużym ogrodem schodzącym tarasami w dół stoku. Dolną jej część stanowiło obszerne dwukondygnacyjne mieszkanie dla rodziny, a górną wynajmowano lokatorom. Przez kilka lat, aż do 1942 roku, mieszkała tam ze swoją żoną i córką filozof, matematyk i malarz, prof. Leon Chwistek\*\*\*. Oba mieszkania miały duże tarasy z rozległym widokiem na pobliskie wzgórze, parki i miasto.

Okres międzywojenny upływał rodzinie na pracy i nauce. Urządzano dom, sadzono w ogrodzie drzewa, krzewy i kwiaty. Ojcu, który w 1917 roku habilitował się na Uniwersytecie Lwowskim, w 1919 roku, jako profesorowi nadzwyczajnemu, powierzono katedrę Zoologii i Anatomii Zwierząt Domowych na Wydziale Rolniczo-Lasowym Politechniki. Wkrótce został profesorem zwyczajnym. Aż do 1939 r. prowadził też, jako zajęcia zleczone, wykłady z różnych działów nauk zoologicznych na Uniwersytecie Jana Kazimierza. Wykładał ponadto biologię studentom Wydziału Farmaceutycznego i Akademii Medycyny Weterynaryjnej.

Dzieci studiowały i uczyły się. Dom dawał dobre warunki do pracy, wypoczynku ▶



Dom rodziny Fulińskich przy ul. Tarnowskiego 82. Zdjęcie z 1987 r.



► i zabawy. Można było w zimie zjeżdżać na nartach lub sankach z pobliskich wzgórz, latem grać w tenisa na ogrodowym korcie, przekształconym niestety wkrótce przez młodszych chłopców w boisko piłki nożnej i plac do różnych gier z rówieśnikami. Na dobrą sprawę można było nie wyjeżdżać na wakacje. Ojciec jednak, miłośnik przyrody polskiej, zabierał nas na piękne wędrowki po Tatrach, Czarnohorze, Gorganach i innych pasmach górskich Karpat Wschodnich. Moja pamięć przechowała, jako szczególnie wspaniałe, wakacje na wsi wołyńskiej. Benedykt Fuliński, jako uczestnik walk o Lwów, odznaczony Krzyżem Walecznych, uzyskał działkę osadniczą na Wołyniu koło Wiśniowca. Osada nazywała się oficjalnie Wola Wilsona, a potocznie – Kniażyna. Tam wybudowano obszerny dom, założono duży sad wiśniowy, a uprawą roli zajmował się sympatyczny sąsiad-dzierżawca. W czasie tych wakacji chłopcy pracowali przy sianokosach i żniwach, a ja pasłam z wiejskimi dziećmi krowy sąsiadów i wędrowałam z nimi po ukwieconych, pachnących łąkach i miedzach.

Spokojne, acz pracowite życie w domu na Górze Jacka zburzyła wojna z wieloma jej dalszymi konsekwencjami. Wtedy dom, ze względu na swoje wyjątkowe położenie i gotowość jego gospodarzy do niesienia pomocy potrzebującym, nabrał szczególnego znaczenia. Wojna spowodowała, że wielu ludzi z zachodu Polski uciekło przed naporem wojsk niemieckich na wschód lub nie zdążyło wrócić z wakacji do swoich domów. Pozostając w okupowanym przez Sowietów Lwowie, często nie mieli dachu nad głową, pieniądze ani wymaganych dokumentów. Narażeni też byli na wywózkę w głąb Rosji. Władze okupacyjne określały ich jako tak zwanych „bieżeńców”, czyli uciekinierów. Ludzie ci potrzebowali pomocy rodaków. Tu trzeba złożyć hołd mojej ukochanej matce, która zawsze znalazła dla nich kątek, miejsce przy stole i dobre słowo. Nieraz zdarzało się, że przeżywalimy mroźne krew w żyłach chwile, gdy w nocy gwałtowne walenie kolbami karabinów „stróży porządku radzieckiego” w bramę budziło cały dom. Wtedy „bieżeńcy” uciekali przez ogród na wzgórze lub chowali się w pobliskich krzakach. Pierwsze zetknięcie z nieproszonymi gośćmi bra-

ła na siebie z wielkim spokojem nasza matka. Po sprawdzeniu dokumentów obecnych w domu osób i sakramentalnym pytaniu „bieżeńców u was niet?”, na które otrzymywali zawsze przeczącą odpowiedź, intruzi opuszczali dom, a uciekinierzy, po odpowiednim sygnale świetlnym z okna, mogli powrócić. Oprócz „bieżeńców” z zachodu pojawili się wkrótce uciekinierzy ze wschodu Polski. Niektórzy przybyli do nas z Kniażyny na Wołyniu, uniknąwszy cudem wywózki na Sybir. Większość mieszkańców tej miejscowości w straszliwych warunkach wywieziona została w głąb Rosji. Dwu ocalonych zamieszkało jakiś czas w naszym domu. Wkrótce zaczęły przychodzić listy od wywiezionych osadników i trzeba było jakoś im pomóc. Wysyłałiśmy paczki z żywnością, odzieżą i książkami polskimi, o które prosili. Cytuję tu wzruszający list ucznia piątej klasy, syna osadnika.

*Ural – Stiepanówka 1 I 1941*

*Bardzo dziękuję za przysłane książki, których brak bardzo tu odczuwamy, gdyż musimy korzystać ze śmiecia. Przechodziły one również przez kontrolę, zostały mi jednak zwrócone w całości. Przy odbiorze pytał się mnie komendant, dlaczego czytam książki polskie, mając na miejscu dużą bibliotekę rosyjską. Odpowiedziałem mu, że jestem Polakiem, dlatego wolę czytać książki polskie. Książki, które przyszły na adres p. Kurylciowej, zostały jej zwrócone. W jednej z książek, w której znajdowała się podobizna naszego I Marszałka, wypalono oczy papierosem. Chodzę tu do klasy piątej, nauczyłem się już czytać i pisać po rosyjsku, obecnie mamy wakacje, które trwać będą 13 dni, skorzystam więc z tych wolnych chwil i będę dużo czytał. Zima tu sroga i bardzo dokuczliwa, śniegu dużo, tak że bez nart trudno z domu się ruszyć. Mróz był dziś 48 stopni, trzeba siedzieć w domu, gdyż ciepłej odzieży brak. Prujemy kilimy na wełnę, aby zrobić coś ciepłego, kłopot tylko z wełną, gdyż są to bardzo krótkie kawałki, które tatuś zszywa. W szkole czym dzień ostrzej, zaczęli od medalików, a teraz wąża do dusz. My jednak nie dajemy się i da Bóg wytrwamy. Pozdrawiam serdecznie – Leszek Urbaniec.*

W lutym 1941 roku listy od wywiezionych osadników przestały nagle przycho-

dzić. Widocznie NKWD położyło na nich łapę. Nastąpiły też wywózki mieszkańców Lwowa. Wielu naszych sąsiadów, znajomych i przyjaciół deportowano do Rosji. Od nich również zaczęły przychodzić smutne, czasem tragiczne listy i im też trzeba było pomóc w postaci paczek z żywnością i innymi niezbędnymi im rzeczami.

Rodzina miała wtedy własne ciężkie przeżycia. Jeden z moich braci, Jacek Fuliński, wkrótce po wkroczeniu wojsk sowieckich do Lwowa zaangażował się w ruch oporu. Był w 1939 i 1940 roku dowódcą grupki kurierów przechodzących przez granicę rumuńską do ambasady polskiej w Bukareszcie. Dostarczali oni różne informacje o sytuacji Polaków, zwłaszcza mieszkających na Wołyniu i we Lwowie. W czerwcu 1940 roku dwóch kurierów zostało złapanych przez Rosjan w okolicy Kut. Jeden z nich prawdopodobnie nie wytrzymał tortur, w wyniku czego w listopadzie 1940 roku Jacek został aresztowany. Udało mu się uciec, musiał się jednak ukrywać. Najpierw w Bóbrce pod Lwowem, a potem w domu, w specjalnie przygotowanej przez braci kryjówce na strychu. Od tego czasu nasiliły się wizyty radzieckich towarzyszy, którzy pytali już nie tylko o „bieżeńców”, ale także o Jacka Fulińskiego. Otrzymywali odpowiedź, że wyjechał służbowo do Żółkwi, ale nie wiemy, gdzie teraz przebywa. Dopiero po zajęciu Lwowa przez Niemców w czerwcu 1941 roku mógł wyjść ze swojej kryjówki i znowu zamieszkać z nami. Były to chwile wielkiej ulgi dla rodziny.

Tymczasem dom przy ulicy Tarnowskiego 82 zaczął pełnić ponownie swoje obo-

wiązki. Zmiana okupanta przyniosła nowe wyzwania. Wkrótce po wkroczeniu Niemców do miasta schronienie w murach domu na Górcze Jacka znalazł profesor matematyki Hugo Steinhaus. Zamieszkał z żoną i matką w mieszkaniu zajmowanym poprzednio przez Leona Chwistka, który w obawie przed Niemcami wyjechał na wschód, a żona jego i córka wyprowadziły się do rodziny w Borysławiu. Pani Chwistkowa była siostrą Hugo Steinhausa. Będąc żydowskiego pochodzenia, profesor obawiał się pozostać u siebie. Nie wychodził też z naszego domu, znajdując jedyne wytchnienie w spacerach po ogrodzie i w długich rozmowach z moim ojcem, który kiedyś powiedział mu: „nie martw się, Hugo, jeszcze będziesz profesorem we Wrocławiu”. I tak się stało. W swoich *Wspomnieniach i zapiskach* Hugo Steinhaus wspomina tę rozmowę. Rodzina Steinhausów musiała w końcu opuścić dom, aby ukryć się w bezpieczniejszym miejscu pod Lwowem. Na odchodnym mój ojciec ofiarował matce profesora pieczętowaną przechowywaną metrykę swojej matki Julii Adelajdy Widajewicz, uzupełniając niezbędne dla tej rodziny fałszywe dokumenty. Profesor wspomina także o tym w swojej książce.

Najstarszy mój brat Jędrzej był w tym czasie już inżynierem chemikiem, Jacek architektem, Stefan studentem wydziału inżynierii łądowo-wodnej, a Wojciech elektrotechniki. W momencie wybuchu wojny miałam ukończoną dopiero drugą klasę gimnazjalną, musiałam więc uczyć się dalej na tajnych kompletach. Lekcje na nich odbywały się między innymi w naszym domu. Dyrektorką Tajnego Nauczania, zarazem

## INFORMACJA O WYDAWNICTWIE

Prof. Jerzy Kowalczuk zawiadamia, że dostępny już jest kolejny tom monografii z cyklu:

HISTORIA SZKOLNICTWA, OŚWIATY I WYCHOWANIA NA ZIEMIACH ODŁĄCZONYCH II RZECZYPOSPOLITEJ – KRESACH POŁUDNIOWO-WSCHODNICH:

Tom IV (w dwu częściach): XIII PAŃSTWOWE GIMNAZJUM I LICEUM im. KRÓLOWEJ JADWIGI we LWOWIE, lata szkolne 1879–1938/39.

Autorzy: Emilia Fedyk i Jerzy Kowalczuk, Kraków 2007.

Zainteresowani nabyciem tej monografii mogą się skontaktować z autorami:

**Jerzy Kowalczuk, ul. Lublańska 24/2, 31-476 Kraków, tel. +48 (12) 411-36-41 lub e-mail: kajot@uci.agh.edu.pl**

Łączna cena obu części (ogółem 690 stron): 125 zł (w tym koszty przesyłki).

Równocześnie uzupełniamy informację o tomie III z CL 4/06: łączna cena 4 części (ogółem 1760 stron): 270 zł (w tym koszty przesyłki).

► komendantką Lwowskiej Chorągwi Harcererek i zastępcą referentki Wojskowej Służby Kobiet w Komendzie Obszaru Lwów, była Stefania Stipal\*\*\*\*. Wkrótce zostałam jej łączniczką. Dostarczałam wiadomości od Luny (pseudonim Stefanii Stipal) nauczycielom i innym osobom związanym z jej pracą konspiracyjną.

Nasz ojciec bardzo podupadł na zdrowiu, zwłaszcza po wiadomości o mordzie dokonany przez Niemców na profesorach lwowskich wyższych uczelni, przeważnie jego dobrych znajomych, a często przyjaciół. Mimo to wziął udział w kursach dla maturzystów. Niestety niebawem, 2 lutego 1942 roku, zmarł. Był to ciężki cios dla rodziny. Pochowany został, jak na przyrodnika przystało, w pięknym miejscu na Górcie Powstańców na Cmentarzu Łyczakowskim, w pobliżu grobu swojego patrona Benedykta Dybowskiego.

W maju 1942 roku domowi przybył nowy mieszkaniec. Był nim znajomy mego brata Wojtki sprzed wojny, lotnik Mieczysław Borodej. Przedostał się on do Lwowa po dramatycznej ucieczce ze Stalagu w Lamsdorfie, gdzie znalazł się, gdy jego samolot został strącony przez niemiecką artylerię przeciwlotniczą nad Bremą. Czuł się w obowiązku walczyć nadal i chciał nawiązać kontakt z polskim podziemiem. Wiedziałam, że Stefania Stipal mogła mu w tym pomóc. Udaliśmy się z Wojtkiem do niej, przedstawiając problem. Właśnie wyjeżdżała do Warszawy i dzięki niej Borodej nawiązał kontakt z Armią Krajową. O naszej wizycie i roli, jaką odegrał później Mieczysław Borodej, pisze ona w swoich wspomnieniach umieszczonych w książce *Harcerki 1939–1945*. Borodejowi powierzono kierownictwo wywiadu wojskowego w Inspektoracie Lwów-miasto. Nasza matka oddała mu na biuro jedno z domowych bezpiecznych pomieszczeń. Było to małe mieszkanie na parterze, z którego łatwo było uciec w razie zagrożenia przez okno do ogrodu, a z niego dalej. Moja dzielna mama została razem z moimi braćmi zaprzysiężona jako żołnierz Armii Krajowej. Będąc przeważnie w domu czuwała nad bezpieczeństwem osób pracujących w biurze. Gdy przed bramą wejściową ujrzała mundur niemiecki (co zdarzyło się kilka razy) lub nieznaną osobę, ostrzegała ich, aby mogli ukryć papiery, maszynę, broń i uciec.

W kwietniu 1943 roku Borodej dowodził ubezpieczeniem udanej akcji odbicia ze szpitala więziennego Lecha Sadowskiego – „Wasyla”, komendanta BIPu (Biura Informacji i Propagandy). Był też dowódcą sił, które zajmowały rejon starego Uniwersytetu podczas akcji „Burza”. Aresztowany przez Sowietów, skazany został na 20 lat w łagrze. W kopalniach złota na Syberii przepracował 10 lat. Stracił oko i zachorował na płuca. Przyjechał do Polski w 1955 roku. Zmarł we Wrocławiu.

Prócz lekcji na kompletach – w domu przy Tarnowskiego 82 odbywały się kursy pielęgniarskie dla harcererek, organizowane przez Służbę Wojskową Kobiet. Prowadzone były przez lekarzy i pielęgniarkę w ramach przygotowań do działań wojennych we Lwowie. A mogły się przydać, bo front zbliżał się do miasta i miała rozpocząć się akcja „Burza”.

W lipcu 1944 roku po raz trzeci przez Lwów przeszedł front. W oswobodzeniu miasta od Niemców pomagali Polacy w ramach akcji „Burza”. Część oficerów polskich biorących w niej udział, wśród nich Mieczysław Borodej, zostało podstępnie zwabionych na niby to naradę z dowódcami sowieckimi i aresztowanych. Zostali oni potem skazani na wieloletnie więzienia i obozy na Syberii.

27 lipca Lwów po raz drugi znalazł się we władaniu sowieckim. Zaledwie kilka dni po wkroczeniu Rosjan do miasta w domu przy Tarnowskiego 82 zjawili się dwaj cywile. Dopytywali się o ilość mieszkańców, sprawdzali dokumenty, a w końcu jeden z nich zapytał: a gdzie jest Jacek Fuliński? Otrzymaliśmy odpowiedź taką jak zwykle – kilka lat temu wyjechał służbowo do Żółkwi i nie ma od niego wiadomości. Zdumieliliśmy się, że pomimo wypadków wojennych NKWD zdołało zabezpieczyć dokumenty sprzed dwu lat i zacząć działać rutynowo, jakby nic się nie wydarzyło. Jasne było dla wszystkich, że Jacek nie może pozostać we Lwowie. Pod zmienionym nazwiskiem, jako Jan Skuratowski (było to panińskie nazwisko naszej prababki), pojechał do Przemysła, a gdy otworzyła się taka możliwość, dalej na zachód. Do swego nazwiska wrócił dopiero kilka lat po wojnie.

Tymczasem parę dni po odjeździe Jaka dom przy ulicy Tarnowskiego przyjął pod swój dach nowego uciekiniera. Był nim Serb Dragan Sotirović (pseudonim Draża), oficer

armii jugosłowiańskiej. Po ucieczce z niemieckiego obozu jenieckiego w Rawie Ruskiej, znalazł się we Lwowie, nawiązał kontakt z Armią Krajową i został skierowany do leśnych oddziałów 14. pułku ułanów w lasach Winnickich pod Lwowem. Podczas akcji „Burza” dowodził tymi oddziałami. Aresztowany przez Rosjan, uciekł w czasie transportu i ukrywał się w naszym domu na Górze Jacka. Po kilku tygodniach wyjechał na zachód. Jakiś czas przebywał na Dolnym Śląsku, a potem, mając obywatelstwo francuskie, wyjechał do Francji i zamieszkał w Paryżu.

**N**owe życie w ponownie okupowanym przez Sowieców Lwowie dawało nam się we znaki. Niepewność jutra i rozłąka z Jackiem szczególnie przygnębiająca była dla naszej matki. Lwowianie zaczęli masowo opuszczać swoje miasto. Wyjeżdżali znajomi i przyjaciele. Powstawała wokół nas pustka. Zwlekaliśmy z decyzją długo, ale doszliśmy w końcu do przekonania, że w tym, teraz już obcym kraju nie ma dla naszej rodziny żadnych perspektyw. Z ostatnim transportem Politechniki Lwowskiej opuściliśmy ukochane miasto i ten piękny, pełen wspomnień dom na Górze Jacka.

#### PRZYPISY REDAKCJI

- \* Tak zdrobniale nazywa autorka Górę św. Jacka. Obszernie opisywał ten rejon miasta w kilku numerach CL (m.in. 3/03) Adam Trojanowski.
- \*\* Sylwetkę Leopolda Hausera (1844–1908) zamieściliśmy w CL 1/03. Na końcu znalazła się tam taka uwaga: *Nie wiemy, czy i gdzie żyją potomkowie Leopolda Hausera (najstarsza córka Maria nazywała się po mężu Fulińska)*. Wspomnienie wnuczki wyjaśnia.
- \*\*\* Pisała o tym córka L. Chwistka, Alina Dawidowiczowa, w książce wspomnieniowej *Zeschnięte liście i kwiat*, oraz w CL 2/05.
- \*\*\*\* O Stefanii Stipal – patrz CL 2/04.

---

EWA NADACHOWSKA, z domu Fulińska, ur. 1925 we Lwowie. W czasie okupacji niemieckiej Lwowa uczestniczyła w pracy konspiracyjnej w harcerstwie oraz w Wojskowej Służbie Kobiet. Uczęszczała na tajne komplety, zdała maturę 1943. Po wyjeździe ze Lwowa zamieszkała w Gliwicach, ukończyła wydział chemiczny Politechniki Śląskiej. Pracowała w szkolenictwie średnim, obecnie na emeryturze, mieszka w Krakowie.

---

## SŁOWNIK GEOGRAFICZNO- HISTORYCZNY

### BELZ

Miasteczko w pow. sokalskim, wojew. lwowskim, położone na zachód od Sokala, nad rzeczką Solokiją, dopływem Bugu, 199 m n.p.m. Parafie obu wyznań na miejscu.

**Historia.** Już na początku XI w. był tu gród obronny, stolica księstwa belskiego, podbitego przez Bolesława Chrobrego, a po jego śmierci, w 1030 r. przez Jarosława Mądrego, księcia kijowskiego. W XII–XIII w. ziemia belska tworzyła odrębne księstwo, którym władali książęta Rusi Włodzimierskiej. Po wygaśnięciu ich rodu, na początku XIV w. przeszła prawem spadku na księcia mazowieckiego Bolesława Trojdenowicza. Po jego śmierci w 1340 r. król Kazimierz Wielki prowadził rokowania z najeżdżającymi tę ziemię książętami litewskimi i w 1366 r. włączył ją do Polski, nadając jako dożywotnie lenno księciu Jerzemu Narymuntowiczowi. Pierwsze prawa miejskie nadane zostały Belzowi w 1375 r. przez Władysława Opolczyka. Prawdopodobnie w tym samym czasie erygowana została parafia rzym.-kat. przy kościele pw. św. Mikołaja. W 1388 r. Władysław Jagiełło przekazał ziemię belską w lenno księciu Ziemowitowi Mazowieckiemu. Lennem książąt mazowieckich pozostawała do 1462 r., a po wymarciu synów Ziemowita wróciła do Korony i odtąd, do 1772 r., Belz był miastem królewskim oraz stolicą województwa, w której odbywały się sejmiki szlacheckie. Kroniki nie odnotowały żadnych ważniejszych wydarzeń historycznych związanych z miastem, poza zdobyciem go w 1655 r. przez Turków. Około 1377 r. do Belża sprowadzeni zostali dominikanie, którzy początkowo osiedli za miastem, a w 1554 r. przenieśli się do wybudowanego w samym mieście klasztoru wraz z kościołem Wniebowstąpienia NP Marii. Z. Chodkiewiczowa ufundowała w 1659 r. klasztor dominikanek, a przy nim kościół pw. Niepokalanego Poczęcia

# LWÓW I BUKOWINA

Życiorys i wspomnienia Polki

**Jestem ostatnią z rodu Kuczabińskich, Polką urodzoną na obczyźnie z rodziców Polaków: ojca Jana Mieczysława Kuczabińskiego i matki Karoliny, z domu Dworeckiej.**

Uważam, że prawidłowo zrozumieć i ocenić życie oraz uczynki człowieka można tylko poznając jego rodowód, gdyż rodzinne tradycje, przodkowie stawiani przez rodziców dzieciom na wzór, a w końcu rodzinne wychowanie – formują i wpajają odpowiednie poczucie tożsamości narodowej, charakter i światopogląd.

Przodkowie mego ojca pochodzili z Krakowskiego. Z opowiadań ojca wiem, że ród nasz był szlachecki, herbu Gozdawa z XV wieku. Kiedyś bogaty i stopniowo biedniejący, przy końcu XVII wieku wpisał się do mieszczaństwa miasta Lwowa.

Starszy brat mego prapradziada Wincenty Kuczabiński na początku XIX wieku miał we Lwowie własną drukarnię. Prapradziad Ludwik (1810–1880) – obywatel miasta Lwowa (to miano otrzymywano za usługi dla miasta) i fortepianista\* założył we Lwowie fabrykę pianin. Mieszkał przy ulicy Dominikańskiej 7 i został pochowany na cmentarzu Łyczakowskim w grobowcu rodzinnym. Od niego właśnie zaczęła się sława na całą Galicję, a później Rumunię, dynastia słynnych mistrzów budowy i strojenia fortepianów, pianin i organów. Jego syn, a mój pradziad – Franciszek Kuczabiński (1847–1929), mistrz budowy organów i fortepianów, był długoletnim stroicielem fortepianów Filharmonii Czerniowieckiej\*\*. To on założył w 1912 r. w Czerniowcach wytwórnię fortepianów\*\*\*, gdzie terminowali i doszli do stopnia mistrzów jego syn – Zdzisław Leonard (urodzony we Lwowie w roku 1878, zmarł w 1945 r. w Czerniowcach), i wnuk, a mój ojciec Jan Mieczysław (1904–1968 na Bukowinie). Tylko ja – ostatnia

z rodu płci żeńskiej, a nie męskiej – nie zostałam tradycyjnie stroicielem, choć los spletał mi figla i połączył moje życie i z organami i fortepianem – ale w całkiem innym charakterze.

Do dziś spotykam fortepiany i pianina starych wiedeńskich marek, gdzie w określonym miejscu widnieją na klawiaturze podpisy mego prapradziada, dziadka i ojca – to była ich zawodowa tradycja. To dla mnie bardzo wzruszające chwile i jestem im za to bardzo wdzięczna. Owe sygnatury zostały u właścicieli instrumentów bardzo wysoko zdanie o mistrzostwie tej rodziny, którego dziś już niestety brak. Ojciec nadał mój fortepian ostatni raz w 1967 r. i do dziś nikomu nie pozwalałam go dotknąć w sensie strojenia – jest w świetnym stanie, choć stale na nim gram.

Moi przodkowie pochodzili więc z Polski i dopiero na początku XX wieku osiedlili się na Bukowinie. Był to z pokolenia w pokolenie ród z krwi i kości Polaków, nie zrzekający się swej narodowości, gdy żyli pod Austrią (1902–1918), pod Rumunią (1918–1940) i od 1940 r. pod sowiećmi, a nawet w łagrach Sybiru.

Na początku XX wieku (w 1900 r.) w Czerniowcach na stałe osiedlił się Franciszek Kuczabiński z żoną, córką i jednym z synów, Zdzisławem Leonardem, który w tym czasie już był żonaty. Już na Bukowinie urodziły się dzieci Zdzisława: Tadeusz Zygmunt (1903), Jan Mieczysław (1904), Antoni Józef (1905). Rodzina była dość liczna, ale wszyscy mieszkali razem. Ojciec (Franciszek) razem z synem założyli w roku 1912 wytwórnię fortepianów, która działała do 1945 roku. W tych czasach zawód mistrzów budowy i strojenia fortepianów, organów był prawie że unikalny i bardzo ceniony. Choć mieszkali w Czerniowcach, zawodowo byli znani w całej Galicji i Rumunii.

Gdy Kuczabińscy przyjechali na początku wieku na Bukowinę, panowała Austria i językiem państwowym był niemiecki. Dla byłych lwowiaków nie było to nowością, ale od 1918 roku obowiązywał tu język rumuński. To już było dla nich za wiele! W rodzinie opowiadano dużo anegdotek o starciu Zdzisława z policją rumuńską na temat jego buntowania się co do *worbesztania* (*vorbic numaj romaneszti* – rozmawiać tylko po rumuńsku!). Rogata to była dusza, nie darmo zawsze twierdził, że urodził się batiarem lwowskim i takim umrze.

Z czasem zrozumieli, że może być problem z zachowaniem języka ojczystego, bo Polacy w Czerniowcach mieszkali na różnych krańcach miasta, a sąsiadami byli Niemcy, Żydzi i Rumuni (tak jest i teraz). Świadomi Polacy byli już zjednoczeni od 1869 r. w organizacji polonijnej, która nazywała się Polskie Towarzystwo Bratniej Pomocy. Gdy ojciec i syn zdecydowali o wstąpieniu do tej organizacji, wśród Polaków w Czerniowcach trwała zbiórka na budowę Domu Polskiego (zbudowany w 1905 r.). Każdy przyczynił się czym mógł. Z tym, że pradziadek myślał trochę naprzód: biorąc pod uwagę przyszłe rozrastanie się rodziny, zdecydował, że oprócz pewnej kwoty pieniężnej wkładem rodziny Kuczabińskich na rzecz Domu Polskiego będzie fortepian własnej produkcji. Na tamte czasy to był cenny dar (prawie 100 lat później jego prawnuczka załatwiła dla Domu Polskiego pianino za 50\$, na jej czasy – to prawie gratis). Tak jak jego ojciec swego czasu cieszył się uznaniem we Lwowie, tak on w Czerniowcach został obrany do Zarządu Stowarzyszenia Polskich Rzemieślników „Gwiazda”, które istniało od 1897 roku i od samego początku istnienia pracowało w Domu Polskim – aż do 1940 roku – jednocząc polskich rzemieślników, którzy od chwili osiedlenia się na Bukowinie byli krzewicielami różnorodnych rzemiosł nieznanych na tym terenie i swoją rzetelną, nowatorsko-fachową pracą przyczynili się do wszechstronnego rozwoju tego kraju.

Stowarzyszenie oprócz spotkań fachowych prowadziło działalność charytatywną – różnorodne imprezy z tematyką historyczną, koncerty (zapraszano artystów z Polski), konkursy, wystawy, targi, loterie celem zdobycia dobrowolnych datków dla finansowego wsparcia biednych rodzin rzemieślniczych. Oprócz tego wśród czerniowieckich rzemieślników było немало utalentowanych amatorów, którzy różnymi formami występów na spotkaniach towarzyskich cementowali zachowanie języka polskiego i tradycji kultury polskiej. Od strony rodziny Kuczabińskich popularnością cieszyły się wieczorki humoru i piosenki lwowskiej. Był to już początek lat 20., gdy do Domu Polskiego przychodzili: dziadek, syn i trzech wnuków. A te wnuki, każdy po dwudziestce, pod wąsem, wysokie (wzrost prawie 2 m), wysportowane i mocne – prawdziwe dęby! Dla panienek to była straszna pokusa! Kwintet rodzinny zabawiał towarzystwo na spotkaniach w Domu Polskim humorem lwowskim i lwowskimi piosenkami. Role zostały podzielone

NP Marii. Kościół z nieznanym nam przyczyn uległ zniszczeniu i w 1743 r. na jego miejsce wybudowano nowy. Oba klasztory uległy kasacji józeffińskiej w 1788 r. Należące do nich klasztory przekazane zostały miejscowej parafii. W XIX w. Belz był jednym z ważniejszych ośrodków chasydyzmu i siedzibą cadyka.

W Belzie nie rozwinęło się żadne rękodzieło, a w XIX w. nie powstały żadne fabryki.

Jak w wielu kresowych miastach ludność polska i ruska żyła z rolnictwa, a żydowska z handlu płodami rolnymi.

**Zabytki.** Z historycznych budowli zachowały się w Belzie: zrujnowany kościół poddominikański (poł. XVII w.), budynek poklasztorny (poł. XVIII w.), cerkiew drewniana (XVII w.), baszta obronna (poł. XVII w.).

Od końca II wojny światowej do 1951 r. Belz należał do Polski. Na obszarze ZSRR znalazł się w wyniku przeprowadzonej wówczas korekty granic.

## **BRUCHNAL**

Wieś w pow. jaworowskim, wojew. lwowskim, położona w odległości 8 km na płd. wsch od Jaworowa. Leży nad potokiem Gnojowiec (dopływ Szkła), 132 m npm.

Z historii Bruchnalu znamy tylko kilka odebranych faktów. W XV w. należał do dóbr Herburtów z Felsztyna. Parafia rzym.-kat. erygowana staraniem Herburtów w 1514 r. W połowie XVI w. właścicielem wsi był Jan Herburt, który do 1589 r. pisał się z Bruchnala, później z Felsztyna. W połowie następnego stulecia dziedzicem Bruchnala był Mikołaj Stogniewski. Z jego osobą zapewne wiąże się budowa w 1645 r. murowanego kościoła parafialnego pw. Trójcy św., poświęconego w 1710 r. W 2. połowie XIX w. właścicielem Bruchnala był Jan Szeptycki.

## **JACKÓWKA**

Wieś w pow. tłumackim, wojew. stanisławowskim, oddalona 2 km od Tłumacza. Parafie obu wyznań znajdowały się w Tłumaczu.

Jeszcze przy końcu XVIII w. była to mała osada o nazwie Szyndybałówka. Nabył ją wraz z sąsiednimi terenami Łokutki i Słobódki, Bronisław Jacek Czechowicz, który po wykarczowaniu całego obszaru sprowadził osadników i założył



następująco: Franciszek – senior rodu królował za fortepianem, na skrzypcach grali Tadeusz i Antoni – taka mini rodzinna orkiestra, solistą był Jan (miał piękny, silny głos – bas), a średnie pokolenie – Zdzisław prowadził konferansjerkę.

W młodości trzech bracia prawie we wszystkim mieli jednakowe upodobania, zawsze trzymali się razem i tylko II wojna światowa rozdzieliła ich na trzy różne kraje (do końca życia już się nigdy nie spotkali). Wspólną miłością ich młodości był sport. Byli członkami Stowarzyszenia Gimnastycznego „Sokół Bukowiński” i klubu sportowego „Wawel”. Różnili się wyborem zawodów. Ojciec miał żal do najstarszego i najmłodszego z synów, że nie kontynuowali zawodu rodzinnego, za to Janek w wieku 26 lat zdobył tytuł mistrza od Wysokiej Izby Rzemieślniczej w Czerniowcach w zawodzie stroiciela fortepianów i organów – na tamte czasy to był wielki sukces.

„Gwiazda” i inne stowarzyszenia były integralną częścią Domu Polskiego, a imprezy kulturalne były wspólne dla wszystkich, którzy należeli do Domu Polskiego, bez względu na to, kto był jej organizatorem. W mieście cieszyły się popularnością bale w Domu Polskim, na które zapraszano liczne grono młodzieży innych narodowości. Podobało się wszystkim, że bale rozpoczynano zawsze uroczystym polonezem. A tańczono go w składzie co najmniej 100 par – tańczyli nawet ci, dla kogo ten taniec był nowością. Tańce tańcami, ale był też świetny bufet, gdzie oprócz lekkich napojów były wymienienie zakąski i wyroby cukiernicze, tak fachowców, jak i prywatnych pań. Sławą cieszyły się wyroby cukiernicze p. Laurentego Krajewskiego – ojca ks. Franciszka Krajewskiego (pochodził z Krakowa, był renomowanym cukiernikiem, wypiekał torty dla dworu wiedeńskiego). Do dziś pamiętam zapach i smak tortu orzechowego, którym mnie poczęstowano w 1948 roku w domu rodzinnym Krajewskich, i uważam, że żaden dzisiejszy wyrób, nawet w Polsce, nie dorówna temu arcydziełu. Widać p. Laurenty Kiajewski miał swoje indywidualne sekrety zawodowe, a już na pewno wielki talent i zamilowanie.

Jesienią 1932 r. na jednym z balów ojciec poznał jedną z trzech sióstr Dworeckich – dwie już były żonami jego braci. Średni dotychczas nie był żonaty, bo chciał zostać księdzem. Ale na tym balu przetańczył całą noc z jedną partnerką, a potem były zaręczyny. Pobrali się dopiero w 1937 roku. Pięć lat narzeczeństwa to był termin dla sprawdzenia uczuć oraz przygotowania fundamentu dla założenia przyszłej rodziny (budowa domu). Tu warto podać do wiadomości porządek, jaki istniał w tym czasie dla osób, które miały zamiar się pobrać. Żeby otrzymać oficjalne pozwolenie na zawarcie związku małżeńskiego w Urzędzie Stanu Cywilnego, mężczyzna musiał udowodnić dokumentami posiadanie mieszkania oraz wysokość zarobku dla utrzymania rodziny.

Matka moja Karolina z Dworeckich (1909–1966) pochodziła z wielodzietnej rodziny (była dwunastym i ostatnim dzieckiem). Jej ojciec – Karol Dworecki był zastępcą naczelnika miejskiej Straży Pożarnej. Po szkole podstawowej ukończyła polską bursę rękodzielniczą im. Jana Kilińskiego, którą założył w Czerniowcach w 1907 r. lekarz Eugeniusz Mitkiewicz. Po ukończeniu tej szkoły zaczęła pracować w małej fabryczce dywanów perskich, właścicielką której była Niemka. Widząc rzetelność matki w pracy, ta pani załatwiła jej dwuletni staż w Wiedniu. Wróciwszy z dyplomem, została szefem produkcji. Na tym stanowisku przepracowała do początku wojny, bo Niemka wtedy fabrykę zlikwidowała i wyjechała, podporządkowując się wezwaniu Hitlera do powrotu Niemców do Vaterlandu (do II wojny dzielnicę Rosza w Czerniowcach zamieszkiwali osadnicy niemieccy).

Ja, Jadwiga Wanda Kuczabińska, urodziłam się 28 sierpnia 1941 r. Pierwsze moje dziecinne wspomnienia utrwalone w pamięci jak na zdjęciu – to długa ulica z ciągnącym się w nieskończoność szeregiem idących ludzi, których konwojowali żołnierze [sowieccy] z bronią, i szcękającymi bez przerwy psami – owczarkami. Tam był mój ojciec. Prowadzono ich pieszo z więzienia na dworzec kolejowy. Rodziny aresztowanych stały na chodnikach, żegnając się z bliskimi płaczem i krzykami rozpacz. Ten widok i krzyki śnią mi się w nocy do dziś. A moja matka szła tą drogą ze mną czteroletnią na rękach, żebym choć przez chwilę mogła



widzieć ojca. To było 15 listopada 1945 r. W nocy na 17 listopada zmarł dziadek. Straszego rozpaczliwego żalu za najukochańszym synem nie wytrzymało jego serce, tak zawsze pełne optymizmu (wiek nie był sędziwy – 67 lat). Wyzionął ducha ze słowami: *Ja już nigdy więcej nie zobaczę kochanego Janka.*

Bez sądu i aktu oskarżenia ojciec został skazany na 8 lat więzienia (na podstawie donosu sąsiada Ukraińca – jako szpieg, działający na szkodę ZSRR) i wywieziony na Sybir. Podczas aresztowania skonfiskowano cały warsztat stroicielski i wszystko w mieszkaniu, zostawiając tylko gołe ściany. Matka ze mną została sama bez najbliższej rodziny. Jej ojciec i matka zmarli jeszcze przed wojną, bracia i siostry rozsypali się po świecie (Rumunia, Stany Zjednoczone, Kanada, Brazylia, bez kontaktów między sobą). Starszy brat ojca Tadeusz w 1940 r., gdy na Bukowinę pierwszy raz weszli Moskale, został służbowo przeniesiony do Suczawy. Wyjechał od razu z całą rodziną (więcej do Czerniowiec nie wrócił). Młodszy Antoni w 1944 r. zgłosił się do Wojska Polskiego, a gdy dowiedział się, że brata wywieziono na Sybir, bał się wracać i ściągnął żonę z synem do Polski. Mój ojciec nie zaciągnął się do Wojska Polskiego na błaganie swego ojca, który choć jednego syna chciał mieć koło siebie. I to było właśnie największym oskarżeniem siebie i przyczyną pęknięcia serca dziadka, bo jak powiedział mojej matce: *z wojny można wrócić, a z Sybiru nigdy* i on sam zgotował synowi taki los.

W Czerniowcach mieszkała ciotka ojca (siostra dziadka, też urodzona we Lwowie). W tym czasie była sama – córka z mężem i synem wyjechali na początku wojny do Rumunii (była wdową – mąż zginął w I wojnie). Mieszkała w centrum miasta, a będąc sama, bała się nacjonalizacji domu lub zakwaterowania lokatorów Rosjan, więc przytuliła nas u siebie. Była renomowanym fotografem.

W tym domu rozmawiano tylko po polsku, dopiero wychodząc czasem z matką do miasta słyszałam obcy język. Pamiętam, że dom ciotki był zawsze szczelnie zamknięty. Tak żyliśmy w stałym strachu przed Rosjanami (my mówiłyśmy na nich *Moskale*). Rosnąc, słyszałam że mój ojciec jest w więzieniu, ale nie za przestępstwo, lecz za to, że jest Polakiem. A życie biegło. Ciotka uczyła mnie robótek ręcznych: cerowania, wyszywania,

wieś Jackówkę. W krótkim czasie Jackówka przeszła na własność rodziny Rudakowskich. Od nich zakupił ją Henryk Dzieduszycki dla powiększenia swoich dóbr tłumackich. W 1849 r. cały majątek został sprzedany wiedeńskiemu bankierowi, baronowi von Wertheimsteinowi, który podjął rozbudowę cukrowni w Tłumaczu, założonej przez Dzieduszyckiego w 1838 r. W 1853 r. ck akcyjne towarzystwo dla wyrobu cukru w Galicji przejęło cały majątek tłumacki wraz z Jackówką.

Na gruntach Jackówki znajdował się kamieniołom dostarczający gipsu i kamienia budowlanego. Była tu też cegielnia.

### LWÓW – TABLICE PAMIĄTKOWE

AKADEMICY – OBRONCY LWOWA (Dom Akademicki, ul. Łozińskiego 7)

1918–1928. W tym domu młodzież akademicka dała początek swą mobilizacją bohaterskiej obronie Lwowa świętą czyniąc powinność Ojczyźnie – stąd wyszedł dnia 31 X 1918 pierwszy patrol obrońców Lwowa pod dowództwem podchor. Andrzeja Battaglii, studenta uniwersytetu, pierwszego poległego w obronie Lwowa.

BELZA WŁADYSŁAW (ul. Zimorowicza 10)

W tym domu mieszkał przez lat dwadzieścia sześć i zmarł dnia 29 stycznia 1913 roku Władysław Belza, autor Katechizmu Polskiego Dziecka.

BORKOWSKI DUNIN LESZEK

(ul. Słowackiego 16)

W tym domu mieszkał i umarł dnia 30 XI 1896 Leszek hr. Dunin Borkowski, autor, mówca.

GOSZCZYŃSKI SEWERYN (ul. Fredry 4)

W domu, który do r. 1911 stał w tym miejscu, mieszkał i umarł dnia 25 lutego 1876 Seweryn Goszczyński.

GRUNWALD (na murze katedry rzym.-kat.)

W pięćsetną rocznicę pogromu Krzyżaków na polach Grunwaldu ku pamięci złamania przemocy jednością, praojcom na cześć, potomości na wzór – Rada miasta Lwowa, 15-tego lipca 1910

JÓZEF II (ul. Kopernika 36)

Instructioni cleri religionis firmamenti vovit Iosephus II Aug. Anno MDCCLXXXIII. – Renov.



szycia. Wyszywane poduszeczki, firanki matka sprzedawała na bazarze, a za to był w domu chleb i ziemniaki. Tak więc w wieku 5 lat ja też już potrafiłam się przyczynić swoją pracą do budżetu domowego. Do dziś lubię cerować.

W dzieciństwie byłam strasznie ciekawska, szperałam po wszystkich kątach (ale rozłożonego i schowanego za szafami fortepianu nie odkryłam, choć byłby bardzo potrzebny do ćwiczeń – tak ciotka wszystkim się bała, nawet moja matka nie wiedziała, że w domu jest fortepian). Osobliwą ciekawość przedstawiał stary strych, było tam dużo starych rupieci i książek. Jednego dnia zauważyłam pod nogami deskę z małym kółkiem, a gdy pociągnęłam – deska się podniosła i przede mną otworzył się schowek. Zobaczyłam dużo, dużo książek. Pierwsza, którą wzięłam do rąk – było to „Ogniem i mieczem” Sienkiewicza. W wieku 6 lat umiałam już czytać po polsku. Dobrze, że to było latem, bo zimą siedzieć całymi dniami na strychu nikt by mi nie pozwolił. Czytałam w dzień na strychu, a potem wieczorami i w nocy po kryjomu, bo inaczej trzeba by było się przyznać, że odkryłam kryjówkę (a to nie wróżyło nic dobrego oprócz dobrej porcji, przyłożonej trzepaczką, po której parę dni ciężko by było siedzieć – w tym domu była pruska dyscyplina, ale w życiu to mi na dobre wyszło). Po pierwszej książce był ciąg dalszy – cała „Trylogia”. Dużo nie rozumiałam (nie miałam jeszcze wiedzy o historii Polski), ale w całości to było tym bardziej ciekawe, bo zabronione?

Czas leciał (zabronione książki czytało się tylko latem) i podprowadzał do nowego etapu w życiu – do szkoły. Czemuś matka zapisała mnie do szkoły rosyjskiej. To był dopiero dla mnie szok! Z takim trudem wuczony zadany wierszyk, a cała klasa ryczy ze śmiechu. Na przerwach na każdym kroku zaczepki i dość bolesne szturchańce. Niejeden dzień przeplakany. A cała moja wina

– mój akcent i nieznamość języka rosyjskiego. Ale tak było do czasu. Widać, że miałam zdolności do języków, bo rosyjski opanowałam dość szybko, a podrastając nabierałam sił fizycznych (choć od dzieciństwa nie byłam ułomkiem), pozbywając się stopniowo strachu i wstydu, tak że od klasy 7 byłam już postrachem szkoły, tłukłam wszystkich – chłopców i dziewczęta, rówieśników i starszych. Były

uwagi w dziennikach, ale zbyt srogich kar nie było, bo w tym czasie należałam do czołówki najlepszych uczniów szkoły. A w domu koniec końcem dowiedziano się o moim literackim odkryciu. Pozwolono czytać, z zastrzeżeniem że o tym nie będzie nikt wiedzieć oprócz matki i ciotki. To była moja pierwsza w życiu tajemnica. I wtedy ze skrytki wyciągano po jednym z 29 tomów cyklu *Dzieje Polski* Kraszewskiego. Razem z mną czytały matka i ciotka. Na tych dziełach poznawałam i uczyłam się historii Polski.

Będąc fotografem, ciotka na werandzie mieszkania prowadziła małe zakłady fotograficzne razem z moją matką (mama nauczyła się retuszować). Wszystkie zarobione środki finansowe były dzielone tak, że na życie zostawiano minimalnie (jadłospis niezmienny w ciągu dziesięciu lat: mleko, chleb, ziemniaki, kwaszona marchewka jako witaminy; smak mięsa poznałam w 1956 roku w wieku 15 lat, gdy na skromnym urodzinowym stole pojawiła się kiełbasa tylko dzięki temu, że ojciec był już na wolności i zarabiał. Wcześniej wszystko szło na wysyłanie paczek żywnościowych dla niego\*\*\*\* i dzięki temu ojciec przetrwał i wrócił jako jedyny z listopadowego transportu 1945 roku.

Na Sybirze dla zesłanych, oprócz głodu, tragedią był miejscowy klimat, przede wszystkim zima. W Uchcie mrozy dochodziły do 50 stopni. Ptaki zamarzały w locie. Nie wszyscy byli w stanie psychicznie to wytrzymać. Dochodziło do makabrycznych decyzji. Ojciec był świadkiem tego, że mężczyzna błagał współwięźniów, żeby ktoś z nich uciął mu prawą rękę. To by dawało

dokończenie na s. 78

# JUREK

## JERZY ŻUK 1939–2006

Jurek nie był lwowianinem z urodzenia, ale ze Lwowem związał się na zawsze. Tam żył, uczył się oraz spędził lata młodości i większą część swego dorosłego życia. Urodził się 6 stycznia 1939 w Krakowie, niebawem jednak – tuż przed wybuchem wojny – rodzina przeniosła się do Lwowa. Tam, w trudnych warunkach sowieckiej rzeczywistości, ukształtowała się jego osobowość.



W 1957 roku ukończył szkołę średnią nr 30 przy ul. Krasickich. Właśnie w bieżącym roku wybierał się do Lwowa na spotkanie z kolegami z okazji 50-lecia matury. Niestety... Po ukończeniu technikum automatyki przemysłowej zdobył zawód technologa i w tym zawodzie pracował.

Był człowiekiem bardzo aktywnym, „niepokojnym duchem”, nie cierpiał bezczynności. Lubił sport i podróże, kochał góry. Jeszcze w szkole średniej należał do kółka geograficznego i razem z nim brał udział w wycieczkach, organizowanych przez ogólnie szanowaną panią Marię Jarosiewicz. U niej też, już po ukoczeniu szkoły, spotykało się grono zaufanych osób na „herbatkach”. Jurek bywał tam często. Dla młodzieży były to bardzo ważne okazje, ponieważ poznawało się wielu ciekawych i wartościowych ludzi; tam pobierało się lekcje prawdziwej historii i patriotyzmu, czego w szkole, rzecz jasna, nie uczono. Takie to były czasy.

Czując wielką potrzebę działania, został Jurek z czasem aktorem Polskiego Teatru Ludowego, prowadzonego wówczas przez prof. Piotra Hausvatera. Czuł się świetnie wśród licznych znajomych i przyjaciół, wśród swoich. Był człowiekiem obowiązkowym, więc starał się postępować tak, aby nie sprawić nikomu zawodu. Pamiętam – odbywały się ważne próby w teatrze przed kolejną premierą, a on akurat był w szpitalu. Nie zawiódł zespołu, dlatego wieczorami po prostu wymykał się ze szpitala i zjawiał się na próbach. Żartowaliśmy, że trzeba poczekać,

MDCCCXV. (Według instrukcji kleru zakonnego odnowił sklepienie Józef II Aug. Anno 1783 – Renow. 1815)

KOŁŁĄTAJ HUGO (po lewej stronie gmachu ratuszowego)

W setną rocznicę zgonu ten kamień ku wieczystej pamięci otrzymał, przyczyn upadku Ojczyzny najlepszy znawca, co wskazał drogi ratowania bytu, wielki reformator przez narodową oświatę i szkolnictwo, sprawiedliwość społeczną i demokrację, przywrócenie praw miastom, powołanie ludu do obywatelstw, reformę praw zasadniczych państwa, przywódca duchowy Czteroletniego Sejmu, Kostytucji Trzeciego Maja główny twórca, w walce o odzyskanie niepodległości narodowych sił organizator, w pracy nad odrodzeniem we wszystkich dziedzinach wielki przodownik Hugo Kołłątaj 1750–1812. W dowód wzrastającej czci i wdzięczności narodu od Miasta Lwowa 1912.

KONSTYTUCJA TRZECIEGO MAJA (na szczątkach muru na Wysokim Zamku)

1791. Wolność, równość, niepodległość! Korporacja kamieniarzy, wierna temu hasłu na piastowskim zamku rocznicę tę uwiecznia dnia Trzeciego Maja 1891 r.

KONSTYTUCJA TRZECIEGO MAJA (jak wyżej)

1791–1891. Niech żyją wszystkie stany! Wierna temu hasłu młodzież ucząca się, rękodzielnicza i handlowa w 100-letnią rocznicę Konstytucji Trzeciego Maja tę tablicę umieszcza.

NARUTOWICZ GABRIEL (ul. Niemcewicza 45)

Pamięci Profesora Politechniki, inż. Gabriela Narutowicza I Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej w 6-tą rocznicę śmierci za stworzenie tego warsztatu pracy w czasie sprawowania Urzędu Ministra Robót Publicznych, poświęcają wdzięczni urzędnicy i pracownicy. A.D. 16 XII 1928 r.

OSSOLIŃSKI Z TĘCZYNA JÓZEF MAKSYMILIAN (na gmachu Ossolineum, ul. Ossolińskich)

Wzór cnoty obywatelskiej, wiekopomny fundator Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, nieustrudzony badacz przeszłości polskiej 1784–1826.

kiedy Jurek zjedzie na prześcieradle ze szpitalnego okna. A gdy byliśmy z „Weselem” Wyspiańskiego w Moskwie, to też uciekł z domu wczasowego w Odessie, gdzie przebywał na turnusie, i pojechał do Moskwy, aby móc zagrać w tej sztuce. I tak bywało często – potrafił sobie poradzić w sytuacjach, zdawałoby się, skomplikowanych. Lubił wyzwania, a że przeważnie obracał się między ludźmi życzliwymi, więc mu się udawało.

Gdy nadszedł czas, że jego dzieci poszły do szkoły\*, od razu włączył się tam w działalność społeczną. Został członkiem, później przewodniczącym komitetu rodzicielskiego. Były to trudne czasy dla szkoły: kilkakrotnie próbowano ją zamknąć. I właśnie dzięki temu komitetowi zdołano ochronić ją przed likwidacją. Ważność tego faktu podkreśliła na uroczystości 190-lecia Szkoły pani dyrektor Maria Markunina.

Jurek był zawsze, gdy czuł, że może się przydać. Nigdy nie odmówił pomocy ani współpracy.

Aż nadszedł rok 1981: Jurek z rodziną przyjechał na stały pobyt do Krakowa. Pomijając wszelkiego rodzaju problemy związane z ułożeniem sobie życia w całkiem nowych warunkach, Jurek przygaśł, bo zabrakło mu innego jeszcze rodzaju aktywności – pracy społecznej, za którą tęsknił. I nagle dowiedział się o istnieniu w Krakowie Towarzystwa Miłośników Lwowa. Oczywiście od razu stał się jego członkiem, z czasem wiceprezesem i członkiem Zarządu Głównego we Wrocławiu. Energicznie włączył się w działalność TML-u. Nareszcie znowu mógł coś robić dla kochanego Lwowa. Zaczął się angażować w pomoc dla polskich szkół i przedszkoli, pomoc w organizacji i prowadzeniu wycieczek na Kresy itd. Jako członek sekcji charytatywnej krakowskiego oddziału „Wspólnoty Polskiej” był niezwykle aktywny i oddany w dzieło pomocy materialnej dla Polaków na Wschodzie.

Jednak najbardziej zaangażował się w sprawę ratowania zabytkowych obiektów na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie. Dla niego była to wielka sprawa, oddał się jej bez reszty. Brał udział w corocznych kwestach na cmentarzach krakowskich, był łącznikiem między Krakowem a Lwowem. Kilkakrotnie w ciągu roku bywał na Cmentarzu Łyczakowskim – czy to w trakcie wycieczek, czy nawet prywatnie, w pogodę i niepogodę – szukał,

sprawdzał, fotografował. Cieszył się każdym odnowionym nagrobkiem, każdym wyczyszczonym polem. Miał jeszcze tyle planów...

Za tę sumienną i bezinteresowną pracę został odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi, Złotą Odznaką TMLiKPW, Medalem Pro Memoria i innymi jeszcze odznaczeniami.

A w życiu prywatnym – był niezwykle rodzinny, ofiarny, pomocny. Bardzo kochał swoje dzieci, które zawsze mogły liczyć na jego wsparcie, poradę. Im też ciągle przypominał, czym jest dla nich Lwów, i starał się umacniać i pogłębiać ich wiedzę o rodzinnej Ziemi.

Wielką miłością dziadka był jego ukochany wnuczek, Michałek. Poświęcał mu każdą wolną chwilę, chciał go już nawet zabierać na wycieczki do Lwowa, chociaż to jeszcze małe dziecko. Jakże był dumny, gdy na pytanie: *Kto ty jesteś* – Misiu odpowiadał: *Bańiar lwoński*. To była szkoła dziadka.

Niestety wszystko się przedwcześnie skończyło. Trudno pisać o kimś w czasie przeszłym, zwłaszcza gdy ma się wrażenie, że ten ktoś nieoczekiwanie wejdzie, uśmiechnie się i będzie razem z nami, taki jak zawsze: wesoły, czuły, koleżeński. Bo taki właśnie Jurek był i taki pozostanie w naszej pamięci.

Zmarł nieoczekiwanie 27 listopada ubiegłego roku. Będzie Go nam bardzo, bardzo brakowało.

Romana Żukowa

\* Andrzej i Bożena, rozpoczęli naukę w Szkole nr 10 (św. Marii Magdaleny) w latach 1975–78.

Z wielkim smutkiem powiadamy, że 17 stycznia 2007 r. zmarła w Krakowie w 101. roku życia

**śp. dr JANINA WINOWSKA  
(1906–2007)**

Została pochowana na cmentarzu Salwatorskim w Krakowie.

Krakowski Oddział TMLiKPW łączy się ze wszystkimi, którym pamięć o śp. Janinie jest bliska, którzy Ją szanowali i kochali.

W CL 4/06 zamieściliśmy obszerny życiorys i wspomnienie o Zmarłej oraz relację z obchodu Jej setnych urodzin na 4 miesiące przed odejściem do Pana.

# ANNA MŚCIWUJEWSKA- -WAJDA

Moja żona Anna Zofia Mściwujewska urodziła się – wraz z bliźniaczką siostrą Beatą – w roku 1927 we Lwowie, w rodzinie profesorów architektury. Ich dziadkiem po kądzieli był Gustaw Bisanz (1848–1913), profesor Politechniki Lwowskiej; ojcem Adam Mściwujewski (1898–1965), profesor Politechniki Lwowskiej i Krakowskiej. O obu oraz o ich rodzinie opowiem w następnej części tego wspomnienia.

Hankę poznałem w roku 1949. Razem studiowaliśmy w Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Krakowie – ona na wydziale grafiki, a ja na wydziale architektury wnętrz – później w Akademii Sztuk Pięknych, gdy obie uczelnie się połączyły. Hanka była sekretarką w Bratniej Pomocy Studentów Akademii, więc znała wszystkich studentów. Brała udział w licznych organizowanych imprezach, w balach „Kolorowego zawrotu głowy” i wyjazdach na narty. W Poroninie mieszkaliśmy w jednej góralskiej izbie w dwadzieścia osób. W czasie studiów Hanka zarabiała przepisując nuty dla muzyków. Nie było jeszcze wydawnictwa muzycznego, nut było mało. Pisała Staszкови Skrowaczewskiemu nuty jego utworu dyplomowego w krakowskiej Wyższej Szkole Muzycznej. Dyplomy ASP otrzymaliśmy w roku 1953. Pobraliśmy się w rok później. Nasz syn urodził się w roku 1956.

Prace artystyczne Hanki skupiały się na działaniach wystawienniczych, zwłaszcza wystawach muzealnych. Pracowaliśmy przygotowując wystawy zawsze razem – byliśmy zespołem autorskim. Przez blisko pięćdziesiąt lat projektowaliśmy i realizowaliśmy ekspozycje stałe i czasowe, zmienne, duże i małe, w sumie było ich kilkaset, w tym dla krakowskich muzeów i instytucji kulturalnych: Zamku Królewskiego na Wawelu, Muzeum Narodowego, Muzeum Historycznego Miasta Krakowa, Muzeum Etnograficznego, Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego, Muzeum

PIŁSUDSKI JÓZEF (ul. Kadecka 6)

Tu w domu Hipolita Śliwińskiego przebywał i pracował Komendant główny Związku Walki Czynnej i Związku Strzeleckiego, Józef Piłsudski ze swoim sztabem w latach 1908–1914. Tablicę tę w roku 1933 ufundował Okręg VI Związku Strzeleckiego w 25 roku jubileuszowym.

POLACY Z ZAGRANICY (na prawej stronie gmachu ratuszowego)

Składając hold bohaterstwu Orłąt Lwowskich tablicę tę na pamiątkę utworzenia Światowego Związku Polaków ufundował II Zjazd Polaków z zagranicy. Lwów, w sierpniu 1934.

POLSKIE DRUŻYNY STRZELECKIE (plac Kapitulny 2)

W tym domu była siedziba tajnych organizacji polskich. Zw. Wojsk. I Armia Polska 1909–1911. Związek Polskich Drużyn Strzeleckich, które w r. 1914 weszły w skład Legionów. – 12 marca 1934

POPLAWSKI JAN (ul. Pełczyńska 3)

W tym domu mieszkał Jan Henryk Popławski 1845–1908, pisarz polityczny, organizator życia narodowego, odbudował podstawy polityki polskiej, drogę ku morzu wskazał, we Lwowie znaczną część swej pracy prowadził.

SIENKIEWICZA SZKOŁA (ul. Dunin-Borkowskich 23)

Szkoła ta w pamiętnym dniu 1 listopada 1918 była pierwszą placówką, którą obroniła garstka polskich Legionistów przeciw zbrojnemu zamachowi na przynależność Lwowa do Polski.

Bohaterom w cześć – potomnym na wzór – miasto Lwów

SMOLKA FRANCISZEK (na szczątkach muru na Wysokim Zamku)

Twórcy Kopca Unii Lubelskiej dr Franciszko Smolce w osiemdziesiątą piątą rocznicę urodzin 5 listopada 1895 mieszczaństwo lwowskie.

SMOLKA FRANCISZEK (pl. Smolki 4)

W tym domu mieszkał Franciszek Smolka, ur. w r. 1810, um. 1898, za pracę nad wyzwolenie



Teatralnego, Muzeum Historii Fotografii, Muzeum Armii Krajowej, a także dla Związków Polskich Artystów Plastyków, Biura Wystaw Artystycznych Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych oraz wielu innych wystaw i imprez okolicznościowych.

Nasza praca w zespole autorskim była podzielona. Koncepcję plastyczną całości robiliśmy wspólnie, w realizacji prac wystawowych Hanka decydowała o kolorze i etażu, robiła układy eksponatów, wieszanie obrazów, a ja doglądałem prac technicznych, zabudowy przestrzeni wystawowej, spraw materiałowych i projektów sprzętów. Było coś fascynującego w tej wystawienniczej pracy, w obcowaniu z eksponatami, dziełami sztuki, świadkami historii – braliśmy do ręki koronę królewską, szablę Kościuszki czy rękopis Mickiewicza. Nasza praca projektowa wymagała dokładnego poznania eksponatów, ich wielkości, wymiarów, kolorów i historii. Czytaliśmy nie tylko scenariusz wystawy, ale też bibliografię dotyczącą tematu wystawy, historię zdarzeń, koligacje rodów, drzewa genealogiczne postaci. Wszystkie podstawowe i istotne wiadomości Hanka spisywała do grubych zeszytów, które towarzyszyły jej przez cały czas pracy. Wszystkie eksponaty rysowaliśmy w skali 1:20, by porównać ich wielkości. Na planach sal wystawowych i poszczególnych ścian ustalaliśmy układ eksponatów. Zmieszczenie wszystkich przewidzianych przez scenariusz wystawy eksponatów w przewidzianych przestrzeniach i to z sensem merytorycznym i plastycznym – to była zasadnicza

sprawa naszego projektowania. Czasem było 800 grafik w Pawilonie Biura Wystaw Artystycznych czy 100 portretów uczestników bitwy wiedeńskiej w jednej sali wawelskiego zamku. Ciągłe liczenie wymiarów eksponatów, ścian, gablot, plansz – to była najtrudniejsza część projektowania. To techniczne rozmieszczenie materiału wystawowego poprzedzone było wieloma rozmowami z kustoszami wystaw i personelem naukowym co do kolejności wyeksponowania ważnych eksponatów, ich dobrej widoczności i czytelności treści wystawy. Problemy były czasem trudne do pokonania. Dla przykładu – wystawa wiedeńska na Wawelu, wielkie zwycięstwo polskie nad groźnymi Turkami – a my nie mamy żadnego materiału ikonograficznego tureckiego, bo religia zabrania im przedstawiania postaci ludzkiej. Nie ma więc żadnych portretów, żadnych przedstawień bitew, wszystko tylko w źródłach europejskich, przeważnie w grafice i niewielkich formatach. I jak tu pokazać groźnych Turków poprzez piękne tkaniny, ubiory, wyszywane pantofle? Albo zestawienie w jednej sali wawelskiej obrazu morskiej *Bitwy pod Lepanto* o powierzchni malowidła około trzydziestu metrów kwadratowych z trzema miniaturowymi portretami – królów polskich Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta i sułtana tureckiego Sulejmana – w formacie pocztówkowym.

Przy każdej wystawie przyświecała nam jedna zasada – trzeba tak postępować i taki odnieść efekt wystawy, aby można w tej instytucji robić dalsze wystawy. Hanka miała łatwy kontakt z ludźmi, jasno określała swoje wymagania, szybko się decydowała, nigdy się nie denerwowała. Posiadała takt i umiejętności mediacji potrzebne zwłaszcza, gdy dwie poważne instytucje organizujące wspólnie wystawę były niechętne wobec siebie.

Wyjazdy do Lwowa i na Kresy w latach dziewięćdziesiątych były dla Hanki tęsknotą za czasami młodości, za pięknem miasta i podolskiego czy huculskiego pejzażu. Realnie i racjonalnie traktowała rzeczywistość obecnego Lwowa. Dwa razy w moim towarzystwie odwiedzała dom rodzinny przy ul. Potockiego. Raz, gdy było tam przedszkole: widok biegających dzieci po znanych pokojach i ogrodzie i miły stosunek przedszkolankę łągodził dawne wspomnienia.

Przedszkole opuściło budynek, kiedy wymagał już generalnego remontu. Ogród zarosły kilkudziesięcioletnie drzewa. Kiedy innym razem byliśmy we Lwowie, zastaliśmy odmienną sytuację. Dom przejęła po przedszkolu dyrekcja lwowskich telefonów, która zajmowała od lat budynki klasztoru i kościoła Karmelitanek stojące obok willi. Mur dzielący rozebrano, willę wyremontowano, w tylnej części ogrodu postawiono budynek techniczny centrali telefonicznej. W willi mieściła się dyrekcja. Pan dyrektor chętnie pokazał nam wszystkie pomieszczenia, obecnie biura. Hanka odnajdowała elementy starego domu, piękny parkiet w dawnym salonie, posadzkę ze starych wiedeńskich kafelków w łazience. Pan dyrektor pochwalił się wiedzą o historii domu, kto go projektował i zamieszkiwał. Uporządkowano też ogród, wycinając wiele bezładnej zieleni. Także miło przebiegło spotkanie w dawnym kościele sióstr Karmelitanek z unickim księdzem, który usiłuje urządzić w dawnym budynku klasztoru ośrodek dla młodzieży.

Hanka była człowiekiem otwartym, przyjaznym, towarzyskim i takim zostanie zapewne w pamięci przyjaciół. Kochała Lwów, swoje miasto rodzinne. Brała żywy udział w działalności Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Uczestniczyła często w wycieczkach do Lwowa i na tamte ziemie, żyła tradycjami lwowskimi i mnie ich nauczyła. Mimo sześćdziesięciu lat pobytu w Krakowie nie mogła się do niego przywiązać. Zawsze sercem była we Lwowie i na zawsze pozostała lwowianką.

Pożegnaliśmy Annę, Hanke, Hanusię w połowie listopada 2006 roku na cmentarzu Salwatorskim w Krakowie przy licznym udziale przyjaciół, z symboliczną garstką lwowskiej ziemi.

Leszek Wajda  
Kraków, styczeń 2007 r.

#### ERRATA

W CL 4/06 na s. 14, strona prawa, wiersz 30 od góry, znalazł się błąd dotyczący kalibru działa: ma być **150 mm**, a nie **350 mm**. To nasz błąd – przepraszamy Autora i Czytelników.

niem ludu więzień stanu, skazany na śmierć, z braskiem wolności konstytucyjnego życia 1848, prezydent pierwszego parlamentu w Wiedniu i Kromieryżu, wielokrotny prezydent Rady Państwa, poseł na sejm, w usiłowaniach o szeroką autonomię kraju przodownik, zgody narodów niezachwiany propagator. Twórca Kopca Unii Lubelskiej, Lwowa znakomity obywatel.

SOBIESKI JAKUB (na murze kościoła MB Gromnicznej, ul. Czarnieckiego)

D.O.M. Jakobus Sobieszyn Sobieski castellanus cracoviensis et Theophila Daniłowiczówna consortes, templum hoc cum coenobio virginum ordinis s. Theresiae Carmelitarum a fundamentis erexerunt et dotaverunt a. D. 1642. – Joannes vero tertius, rex Poloniae, filius, perfecit et exornavit a. D. 1692. (Jakub Sobieszyn Sobieski kasztelan krakowski i żona Teofila Daniłowiczówna, kościół z klasztorem sióstr zakonnych św. Teresy, Karmelitanek od fundamentów wybudowali i ufundowali a.D. 1642. Jan III – syn, król Polski upiększył a.D. 1692).

SOBIESKI JAN (Rynek 6)  
Tu mieszkał król Jan III Sobieski

SOBIESKI JAN (kamień pamiątkowy na Wysokim Zamku, od strony Zniesienia)

R.P. 1675, dnia 21 sierpnia na polach Lesienic, widocznych z tego wzgórza, Jan III Sobieski, Król Polski, W.Ks. Litewski etc. z 6000 polskim rycerstwem rozgromił 40.000 tysięczną horde tatarską, idącą na Lwów. Czcząc pamięć bohaterskiego Obrońcy, Rada Miasta Lwowa w dwusetną rocznicę odsieczy Wiednia, 12 września 1883 położyła ten kamień.

STRZELECKIE ODDZIAŁY (ul. Kosynierska 1)

W tym domu kwaterowały pierwsze oddziały strzeleckie w latach 1912–1914. Tablicę tę w roku 1933 ufundował Okręg VI Związku Strzeleckiego w 25 roku jubileuszowym.

SZAJNOCHA KAROL (na gmachu Państwowego Gimnazjum II, na Podwalu)

Karol Szajnocha, historyk polski, ur. w Komarnie 20 XI 1818, był uczniem II gimnazjum w latach 1830–1835, zmarł we Lwowie 1868 r.



# Z TAMTEJ STRONY

## PROBLEMY SPOŁECZNOŚCI POLSKIEJ W PAŃSTWIE UKRAIŃSKIM

List skierowany przez Federację Organizacji Polskich nU. do O.B. Feldmana, przewodniczącego Podkomitetu ds. rdzennych narodów, mniejszości narodowych i grup etnicznych Komitetu ds. Praw Człowieka, Mniejszości Narodowych i Stosunków Międzynarodowych (w Państwie Ukraina).

Lwów, 28 sierpnia 2006, lp. 124/08/06  
(tłumaczenie z jęz. ukraińskiego)

### Szanowny Panie Przewodniczący!

W odpowiedzi na list nr 67 z dnia 07.08.2006 r. dot. problemów społeczności polskiej na Ukrainie przedstawiam najważniejsze z wielu nierozwiązanych w ciągu wielu lat:

- Odnowić działalność Rady Kierowników organizacji mniejszości narodowych przy Prezydencie Ukrainy
- Nadać przedstawicielom polskiej mniejszości narodowej Ukrainy możliwość zapisania swojej narodowości w dokumentach prawnych (świadectwo urodzenia, dowód osobisty)
- Ministerstwo Oświaty i Nauki Ukrainy powinno nadać status szkół mniejszości narodowych szkołom (Lwów – Średnia Szkoła nr 10 i nr 24; Mościska (obw. lwowski) – Średnia Szkoła nr 3; Strzelczyska (rejon mościcki, obw. lwowski); Gródek (obw. chmielnicki) – Średnia Szkoła nr 2; Dowbysz (rejon baranowski, obw. żytomierski), w których nauczanie odbywa się w języku polskim
- W związku z Jubileuszem 190 rocznicy Średniej Szkoły nr 10 we Lwowie z polskim

językiem nauczania – przywrócić jej historyczne imię jej patronki św. Marii Magdaleny

- Przywrócić nazwę *Szkoła sobotnio-nie-dzielna*, zapewnić nauczycielom tych szkół finansowanie oraz wpis do księżeczki pracy
- Zarejestrować w strukturach Ministerstwa Oświaty i Nauki Ukrainy w Drohobyczu *Centrum Metodyczne z nauczania języka polskiego i kultury*. Federacja udziela w tym mieście odpowiednio wyposażonego pomieszczenia z biblioteką i techniką biurową, a także zapewnia przygotowaną kadrę pedagogiczną
- Zwiększyć finansowanie na wydanie podręczników w języku polskim (kopia listu w załączeniu)
- Zwiększyć finansowanie na wydanie literatury pięknej w języku polskim w ramach programu państwowego
- Udzielić nieodpłatnie polskim towarzystwom narodowościowym pomieszczenia dla rozwoju ich dalszej działalności
- Udzielić finansowania na działalność polskich zespołów artystycznych przy ośrodkach kulturalno-oświatowych
- Zwrócić rzymskim katolikom ich świątynie (kościół św. Marii Magdaleny we Lwowie, kościół św. Mikołaja w Kijowie, kościół Zaśnięcia Najświętszej Marii Panny w Humaniu)
- Przekazać budynek pod *Dom Polski* we Lwowie (kopia listu do Prezydentów Ukrainy i RP w załączeniu)
- Przyznać i sfinansować czas w eterze w państwowym radiu (1 godzina dziennie) i telewizji (1 godzina tygodniowo), a także zapewnić finansowanie redaktorów programów polskojęzycznych (Kijów, Lwów itd.)
- Finansowo podtrzymywać gazety i periodyki na Ukrainie, które są wydawane w języku polskim
- Zapewnić finansowanie VI Festiwalu Kultury Polskiej na Ukrainie (listopad 2006), zgodnie z przedstawionym do Ministerstwa Kultury i Sztuki Ukrainy kosztorysem.

# W Krakowie i dalej

## ROZNIKA OBRONY LWOWA W KRAKOWIE '06

Jak corocznie ekspatrianci (i nie tylko) spotkali się 22 Listopada na koncelebrowanej mszy św. w Bazylice Mariackiej, by uczcić 88 Rocznicę Obrony Lwowa 1918 r. Przewodniczył jej ks. prof. Józef Wołczański, który też wygłosił piękną i pouczającą homilię\*, a udział wzięli również: o. generał Adam Studziński, ks. infułat Stanisław Matysiak i ks. Józef Pyrek. Śpiewał Chór Cecyliński pod dyrekcją Andrzeja Korzeniowskiego, na organach grał Marek Stefański. Na mszę przybyło kilka pocztów sztandarowych kombatanckich, harcerskich i szkolnych. Przyszła młodzież ze szkół i harcerstwa. Harcerze odczytali Modlitwę Wiernych (napisaną przez historyka i naszego autora Pawła Naleźniaka), przedstawiliśmy ją na początku tego numeru.

Grupa młodzieży ze Lwowa



„Promyki Krakowa”



TRAUGUTT ROMUALD (na frontowej ścianie dzwonnicy kościoła oo. Bernardynów, pl. Bernardyński)

Pamięci dyktatora powstania styczniowego, Romualda Traugutta, straconego na stokach cytadeli warszawskiej 5 VIII 1864. Małopolska Wschodnia 1924.

WIŚNIOWIECKI KORYBUT MICHAŁ  
(Rynek 9)

Michał Korybut, król polski, w.x. litewski etc., spiesząc do wojska przeciw Turkom, nagłą zaskoczony chorobą, w tym domu życia dokonał dnia 10 listopada 1675

ZIMOROWICZ JÓZEF BARTŁOMIEJ  
(Rynek 29)

W domu, który stał niegdyś w tym miejscu, mieszkał i umarł 14 października 1677 r. Józef Bartłomiej Zimorowicz, burmistrz, poeta i kronikarz lwowski.

ZWIĄZEK WALKI CZYNNEJ  
(ul. Lenartowicza 12)

W tym domu była pierwsza kwatera Związku Walki Czynnej w roku 1908. Tablice tę w r. 1933 ufundował Okręg VI Związku Strzeleckiego w 25 roku jubileuszowym.

## PROŚBA

Doktorant Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie przygotowuje biografię arcybiskupa lwowskiego Bolesława Twardowskiego. Zwraca się więc do wszystkich osób, które są w posiadaniu wspomnień, fotografii, czy też innych pamiątek z nim związanych i któreby mogły ich użyczyć do powstającej pracy – o kontakt na adres:

**Grzegorz Chajko**  
**Wydział Historii Kościoła**  
**Papieska Akademia Teologiczna**  
**31-004 Kraków**  
**ul. Franciszkańska 1**



W trzy dni później (w sobotę 25 XI) odbyła się tradycyjna akademie rocznicowa, inna niż dotąd. Postanowiono mianowicie, że już najwyższy czas, by o Orłętach zaczęli mówić i śpiewać młodzi. W ubiegłych latach prosiliśmy o to różne znakomite zespoły krakowskie: chóry, solistów, aktorów, bardziej lub mniej związanych z naszą lwowską historią. Jesteśmy im zawsze za to wdzięczni.

Tym razem stało się inaczej, a wspaniały gest okazała krakowska „Wspólnota Polska”, która zaproponowała nam zaproszenie, zorganizowanie i sfinansowanie pobytu w Krakowie grupy młodzieży polskiej ze Lwowa. Przyjechało więc siedmioro dziewcząt i chłopców z Teatru „Baj” ze szkoły św. Marii Magdaleny, a z nimi panie Maria Iwanowa i Teresa Dutkiewicz. Do lwowskich gości doproszono młodzież z dwóch zespołów, zaprzyjaźnionych z krakowskim TMLiKPW: z Gimnazjum nr 1 im. Konarskiego pod dyrekcją p. Mariusza Graniczki oraz „Promyki Krakowa”, kierowane przez p. Romę Krzemień. O jednym i drugim, o ich wyjazdach do Lwowa – piszemy ostatnio często. Zapowiadała zawsze niezawodna Jadzia Wrońska.

Rozpoczęli młodzi lwowianie, prezentując obszerny blok poetycki pod wspólnym tytułem: *My, ludzie Lwowa*. Były tam utwory

M. Hemara, K. Makuszyńskiego, M. Opałka, J. Masióra, M. Łotockiej, M. Lisiewiczza, J. Żerdzińskiej. Grupa uczniów i uczennic z I Gimnazjum recytowała wiersze A. Schroedera, bpa W. Bandurskiego, E. Słońskiego, A. Cehaka-Stodora. „Promyki Krakowa” zagrały i zaśpiewały *Mamo najdroższa, bądź zdrowa i Orlątko*, a na koniec *Żeby Polska była Polską*.

Pozostaliśmy z pełnym uznaniem za znajomość lwowskiego repertuaru poezji i piosenek oraz pełni wdzięczności za wzruszenie doznane tamtego wieczoru. Ze spokojem więc możemy oddawać corocznie nasze uroczystości w ręce młodzieży. I dalej to rozszerzać.

\* Niestety niedobre technicznie nagranie homilii uniemożliwiło jej przedstawienie drukiem. Księżdz Profesor i Czytelników gorąco za to przepraszamy.

## NOWA SZKOŁA ORLĄT LWOWSKICH

Nazwa *Zabratówka* niewiele nam dotąd mówiła, co nie dziwne, bo to dość odległa wieś koło Tyczyna w województwie podkarpackim (przed wojną było to województwo lwowskie). Nazwa ta jednak stała się nam ostatnio bliska, ponieważ tamtejsza szkoła podstawowa – obchodząc stulecie swego założenia – przybrała imię Orłąt Lwowskich.

Organizatorzy uroczystości zwrócili się do dwóch małopolskich oddziałów TMLiKPW – w Krakowie i Rzeszowie – z prośbą o włączenie się do przygotowań poprzez wsparcie duchowe i finansowe, w formie wspólnego ufundowania sztandaru i tablicy pamiątkowej. Krakowski Oddział z aplauzem przyjął propozycję także i dlatego, że na bliskim nam terenie – przede wszystkim w województwie małopolskim – nie powstała dotąd odpowiednia inicjatywa. Uchwalono przekazać





zanie kwoty 1000 zł na sztandar i tablicę, ponadto delegacja Zarządu\* udała się do Zabratówki na uroczystość w dniu 22 października '06.

Rozpoczęła ją msza św. w miejscowym kościele parafialnym – odprawił ją i wygłosił homilię ordynariusz rzeszowski ks. bp Kazimierz Górny. Tu też nastąpiło poświęcenie sztandaru. Po mszy uczestnicy udali się do świetlicy gminnej, gdzie pani dyrektor szkoły mgr Lucyna Gonek przywitała gości, a następnie, w części artystycznej, uczennice i uczniowie szkoły odtworzyli Obronę Lwowa wierszem i pieśnią. Grała orkiestra Domu Kultury z Rapszawy.

W końcu nowy sztandar przekazano młodzieży, która złożyła stosowne przyrzeczenie.

W czasie przejścia do budynku Szkoły\*\* nastąpiło odsłonięcie i poświęcenie tablicy pamiątkowej. Odsłonięcia dokonali A. Gyurkovich i W. Opatek, poświęcił ks. bp Górny.

Skąd wzięła się inicjatywa przyjęcia Orła Lwowskich jako patronów szkoły w Zabratówce? Oto – jak nam wyjaśniono – była to zasługa kilkakrotnych wycieczek szkolnych do Lwowa. Nauczyciele i młodzież przekonali się osobiście, czym jest dla Polski Lwów.

Warto dodać, że 16-stronicowy numer 1/06 (18) pisma samorządu uczniowskiego szkoły w Zabratówce „Dzwonek” został w całości poświęcony Obronie Lwowa 1918 r.

Edward Adles

\* Delegacja w osobach prezesa A. Gyurkovicha, E. Adlesa i śp. J. Żuka. Rzeszów reprezentował B. Opatek.

\*\* Obecny budynek szkoły powstał w latach po II wojnie światowej.

## PIERWSZA ROCZNICA KANONIZACJI

Minął rok od pamiętnego wydarzenia: 23 października 2005 r. zostali w Rzymie kanonizowani przez Ojca św. Benedykta XVI dwaj świętobliwi kapłani polscy: bł. Józef Bilczewski i bł. Zygmunt Gorazdowski. 21 X '06 rodzinne Wilamowice uczciły pierwszą rocznicę świętości Józefa Bilczewskiego. Otrzymaliśmy zaproszenie, była więc okazja przeżycia raz jeszcze wspomnienia wielkiego Arcypasterza Kościoła Lwowskiego.

Tu dygresja. Zaraz po wspomnianej rzymskiej uroczystości spodziewaliśmy się, iż wielki dar Boży, jakim stali się dwaj nowi polscy święci, zostanie tu, w Krakowie, w duchowej stolicy Polski, odpowiednio solennie zaznaczony. Dowiedzieliśmy się jednak od krakowskiego autorytetu, że Kraków nie jest do tego celu miejscem właściwym, bo obaj Święci byli związani z archidiecezją lwowską i tam już zostali uczczeni. W dodatku św. Józef Bilczewski wywodzi się z obecnej diecezji bielskiej, a św. Zygmunt Gorazdowski z przemyskiej (urodził się w Sanoku). Argumenty nie do odrzucenia...

Organizator uroczystości rocznicowej w Wilamowicach, tamtejszy proboszcz ks. Michał Boguła zaprosił lojalnie do przewodniczenia mszy św. ks. kardynała Mariana Jaworskiego, do koncelebry natomiast księżę kardynałów Franciszka Macharskiego i Stanisława Nagy'ego, ks. bpa Tadeusza Rakoczego, ordynariusza bielskiego, oraz kilku innych biskupów i księży.

Homilię wygłosił ordynariusz diecezji sosnowieckiej. Mówił pięknie i długo o miejscu, z którego Święty się wywodził, o jego matce i środowisku – *bo tu wszystko się zaczęło*. Brakowało nam jednak przypomnienia, gdzie rozkwitło i doprowadziło do świętości... I jakie były zasługi Arcybiskupa



Altarz na Rynku w Wilamowicach.  
Po lewej portret abpa J. Bilczewskiego

Lwowskiego, które wyniosły Go na ołtarze. Droga Józefa Bilczewskiego nie wiodła do nieba wprost z Wilamowic (niczego nie ujmując temu szlachebnemu miasteczku); po drodze – z 63-letniego żywota – były 32 lata spędzone na lwowskim Uniwersytecie i lwowskiej Stolicy Arcybiskupiej. I wielka działalność, której nie można skwitować paroma napomknieniami.

Ks. kardynał Jaworski przywiózł ze Lwowa w darze dla Wilamowic relikwie Świętego, które zostały złożone w miejscowym kościele parafialnym.

Rynek w Wilamowicach był w czasie uroczystości wypełniony wiernymi. Uwagę, jak zwykle, zwracały piękne stroje ludowe, miejscowe, żywieckie i górali beskidzkich.

A jeszcze liczyliśmy, że usłyszymy *Śliczną Gwiazdę Miasta Lwowa*. Nie byłoby to dziwne, prawda? Spośród wielu śpiewanych pieśni tylko w jednej dopatrzyliśmy się akcentu lwowskiego:

#### ŚPIEW NA PROCESJĘ WEJŚCIA

1. Święty Biskupie Bilczewski, przed Tronem Boga za nami wstawiaj się
2. Arcypasterzu Kościoła Lwowskiego,
3. Wiemy kapłanie Kościoła Świętego,
4. W Serce Jezusa z miłością wpatrzony...
5. Najświętszej Panny Maryi czciocielu,
6. Ufny w opiekę świętego Józefa,
7. Mężu modlitwy i wiary przykładzie,
8. Niezłomny stróżu ovczarni Chrystusa,
9. Wzorze miłości i służby bliźniemu,
10. Wielki uczoney – pokorny pasterzu,
11. Ukazujący nam ścieżkę do Boga,
12. Orędowniku dla swoich rodaków.

A my jeszcze dodalibyśmy:

13. Wielki budowniczy kościołów...

## JUBILEUSZ NASZEGO PRZYJACIELA

Czcigodny Ksiądz Józef Pyrek, salwatorianin, z którym od lat łączą nas więzi przyjaźni, obchodził w październiku minionego roku 50-lecie swoich święceń kapłańskich (1956–2006). Uroczystość rocznicowa była obchodzona w Krakowie oraz w bliskich sercu Lwowian Raclawicach, z których Jubilat pochodzi.

Ksiądz Józef nadał nam bardzo serdeczny list, który poniżej przedstawiamy. Gorąco zaś dziękujemy, życząc zarazem Księdzu wszelkich Łask Bożych, dalszych lat owocnej pracy duszpasterskiej i dobrego zdrowia.



+M

Szanowny Panie Redaktorze Naczelny,  
Szanowni Państwo!

Raclawice, 17 X 2006 r.

*Bardzo cenię trud Państwa wkładany w wydawanie pisma „Cracovia-Leopolis” i owoce tego trudu, w tym te owoce, z których korzystam ja osobiście oraz bliskie mi osoby, wrażliwe na potrzeby kultury i dobro naszej Ojczyzny.*

*Ponieważ było mi dane opublikować w Państwa piśmie pewne ważne wątki i przedstawić biogram jednego ze szlachebnych i zasłużonych rodaków, odczułem bliskość postaw Państwa, dlatego teraz pragnę podzielić się z Państwem moją radością: przesyłam trzy egzemplarze folderu jubileuszowego jako znak mojej z Państwem więzi i życzenia, by prawda Państwa nadal przynosiła błogosławione owoce dla świadomości narodowej Polaków, dla nauki, kultury, dla dobra naszej Ojczyzny! Życzę również dobrego zdrowia i sił do pełnienia podjętych zadań. Są to zadania o wielkim znaczeniu wychowawczym w skali odpowiedzialnego kierowania własnym życiem jednostkowym i w skali życia wspólnego wspólnoty narodowej.*

Z szacunkiem  
i serdecznym pozdrowieniem  
ks. Józef Pyrek SDS

Serdecznie Księdzu dziękujemy za udział w naszych lwowskich uroczystościach w Krakowie oraz czynne zainteresowanie naszym kwartalnikiem. Dla przypomnienia: teksty Ks. Józefa ukazały się w CL 3/04, 2/05, 4/05, 1/06.

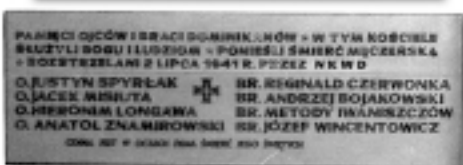
Ad multos annos!

Zarząd Oddziału Krakowskiego TMLiKPW  
oraz Redakcja „Cracovia-Leopolis”



## Notatki

◆ W listopadzie '06 we Lwowie nastąpiło **rozpoczęcie procesu beatyfikacyjnego ośmiu Ojców i Braci Dominikanów, rozstrzelanych przez NKWD w 1941 r. w Czortkowie**. Byli to: o. Justyn Spyrłak, o. Jacek Misiuta, o. Hieronim Longawa, o. Anatol Znamirowski, br. Reginald Czerwonka, br. Andrzej Bojakowski, br. Metody Iwaniszczów, br. Józef Wincentowicz.



◆ W Zespole Szkół Społecznych nr 1 w Krakowie (przy ul. Fortecznej) odsłonięto w grudniu minionego roku tablicę pamiątkową, poświęconą **lwowskim Ślubom Jana Kazimierza w 1656 r.** W artykule zamieszczonym w „Dzienniku Polskim” 29/1/06 przytoczono fragment słów Króla oraz stosowne wyjaśnienie historyczne.

Uroczystość rozpoczęła msza św. w kościele św. Jadwigi Królowej. Poświęcenia tablicy dokonał o. Eustachy Rakoczy z Jasnej Góry.

◆ Z końcem października **zmarła w Krakowie prof. dr Jadwiga Klimaszewska**, znakomity etnolog, związana pracą naukowo-dydaktyczną z Uniwersytetem Stefana Batorego w Wilnie (1936–45), UJ w Krakowie (1945–63), Uniw. Mikołaja Kopernika w Toruniu (1963–72) i z powrotem w Krakowie (1973–80), gdzie kierowała Katedrą Etnologii Słowian.

Jadwiga Klimaszewska urodziła się w 1910 r. w Stanisławowie, studia na UJ (przełom lat 20/30), tamże doktorat (1947), tytuł profesora (1968). Aktywnie działała w PAN i Polskim Towarzystwie Ludoznawczym.

Z prof. Klimaszewską mieliśmy bliższy kontakt, gdy staraliśmy się rozpoznać i zbieraliśmy materiały na temat polskich strojów ludowych na obszarze Małopolski Wschodniej.

◆ Z końcem października '06 **zmarł w Krakowie dr inż. architekt Lesław Grubski**. Spoczął na cmentarzu Batowickim.

Urodził się we Lwowie w 1922 r., był jego obrońcą we wrześniu 1939. Ukończył studia na Politechnice Krakowskiej i całe swoje życie zawodowe związał z tą właśnie uczelnią, najpierw przy Katedrze, a później w Instytucie Historii Architektury i Konserwacji Zabytków. Prowadził działalność naukowo-dydaktyczną jako architekt i konserwator. Wieloletnia praca zapewniła mu sukcesy i uznanie ze strony współpracowników i studentów.

Jego drugą życiową pasją było lotnictwo, z którym związał się jeszcze na Skniłowie we Lwowie.

Jeszcze w czasach *katakumbowych* Leszek Grubski poprowadził na ogólnym spotkaniu Lwówiaków w dominikańskiej „Krypcie” w Krakowie rozmowę z Wandą Olszewską, jedną z dwóch pierwszych pilotek polskich (obok Danuty Sikorzanki), poznaną w czasach lwowskich.

◆ W Parku im. dra H. Jordana w Krakowie istnieje od wielu dziesięcioleci aleja pomników wybitnych Polaków, co pewien czas wzbogacana o nowe popiersia na postumentach. Na przełomie minionego i bieżącego roku przewidziano ustawienie pomników: **Zbigniewa Herberta**, gen. Augusta Fieldorfa-Niła, gen. Władysława Andersa i płk. Ryszarda Kuklińskiego.

# SYLWETKI

## Andrzej Rybicki

Opracowano na podstawie wspomnień Ryszarda Kosińskiego („Dziennik Polski” z 19 III 1966) i Zofii Kozarynowej („Wiadomości Literackie”, Londyn 1966).

**Urodził się w 1897 roku we Lwowie i tam spędził większość swego życia. Uczęszczał do gimnazjum lwowskiego i wiedeńskiego, zdając w 1915 r. maturę. Potem była Politechnika Lwowska i wydział filozoficzny Uniwersytetu Jana Kazimierza, którego nie ukończył. Służył w lotnictwie. Drugą wojnę światową przeżył we Lwowie pracując w Ossolineum.**

W 1946 r. osiadł w Krakowie i zamieszkał w Domu Pisarza. Dzielił swoje życie między Zakopane i Kraków. Zmarł 5 marca 1966 r.

Kim był? – Jak mówili ci, którzy go znali, nie można było go zaliczyć do żadnego określonego zawodu. Jedni widzieli w nim pisarza dramatycznego, inni poeetę, tłumacza, narratora, błyskotliwego parodystę i żartownisia, mistyka, teoretyka sceny, zdolnego matematyka, a nawet sprawnego pilota.

Był przedstawicielem swojej generacji, kształtowanej jeszcze w latach stosunkowo powolnego biegu cywilizacyjnego, generacji rozmiłowanej w literaturze i sztuce, obejmującej swymi zainteresowaniami rozległe obszary nauk humanistycznych, wypełnione bogatą erudycją. Był imponującym reprezentantem swego pokolenia. Świetna znajomość literatury i sztuki, arcybogate odczytanie, dociekliwość człowieka wykształconego jednocześnie w naukach matematycznych i filozoficznych – wszystko to składało się na nieprzeciętną indywidualność intelektualną Andrzeja Rybickiego. W jego naturze mistyczna zaduma łączyła się z humorem prawie beztróskim, zawsze gotowym do ciętej riposty i do zabawnych sformułowań. Nie zrobił nigdzie kariery i nie zajął nigdzie trwałego stanowiska. Przyczyniła się

także do tego choroba, która zwłaszcza w późniejszych latach dała o sobie znać.

Jego największą pasją był teatr, a najistotniejszą częścią jego twórczości – dramaty, z których kilka wystawiono we Lwowie: *Kostium arlekina*, *Biała sowa*, *Noc śnieżysta*, *Dzień dobry*, *Tak było i będzie*. O *Kostiumie arlekina* z Osterwą, ze scenografią Pronaszki pisano przychylnie i nieprzychylnie. Boy pisał: ... *sztuka dziwna, niepokojąca, nierówna, niejasna, ale pełna talentu...* Boy podkreślał, że autor dał miarę talentu w tym, że ... *umiał poruszyć w nas pewne struny, umiał bodaj chwilami poruszyć w nas to „coś”, co w życiu najmizerniejszych ludzi daje się odbijać wielkiej Tajemnicy...* I to było istotą twórczości Rybickiego. Był mistykiem czystej wody, nie przystającym do naszych czasów.

W jego dorobku zostały zbiory poezji: *Wiersze ulotne* i *Strofy gorzkie*, poemat *Gawęda barska* i powieść *Los*. Miał nieprawdopodobną łatwość wierszowania; uwielbiał sonety. Był poetą w typie trubadurów, przenosił myśl w gotową, tradycyjną formę. Myśl i forma miały ulotny urok i nie były przeznaczone do trwania. Improwizował.

Większość utworów Andrzeja Rybickiego pozostała w rękopisach i znajduje się w Bibliotece Narodowej, Bibliotece Jagiellońskiej i Ossolineum.

Władła świetnie wieloma językami. Czytał i tłumaczył z francuskiego, niemieckiego, włoskiego, greki, łaciny i hiszpańskiego (przekładał starohiszpańskie druki). Tłumaczył Kafkę, Manna, a także pisarzy francuskich, włoskich. Ale najchętniej tłumaczył swego ulubionego Heinego.

Był postacią barwną i znaną. Oglądało się go, słuchało raz z podziwem, raz z niezrozumieniem, zawsze jednak z pełną sympatią. Mówił pięknie, posługując się bezbłędną i bogatą polszczyzną. Był człowiekiem głębokiej, niemal mistycznej wiary religijnej. Kochał ludzi, ale nie miał żadnego stosunku do ich indywidualnych kłopotów i potrzeb. Dobroć, która z niego promieniowała, była istotna, choć nie była to dobroć aktywna. Niepodobna go było scharakteryzować ani zrozumieć, jak potrafi łączyć nieudawaną pogodę ducha z tragizmem swej obcości – obcości człowieka innego wymiaru. Ten tragizm był treścią jego losu.

Barbara Szumska



# KULTURA NAUKA

## Archiwum Zbigniewa Herberta pozostaje w kraju

Spuścizna twórcza po Zbigniewie Herbertcie pozostanie w Bibliotece Narodowej w Warszawie, a nie zostanie wywieziona do Ameryki – tak zdecydowała rodzina wielkiego Poety – żona Katarzyna Herbertowa (z Dzieduszyckich) i siostra Halina Herbert-Żebrowska, mimo że wolą Poety było złożenie Jego dorobku w Bibliotece Uniwersytetu Yale w USA. Decyzję taką powziął Herbert wtedy, gdy ówczesne wpływy „elity” (lata po „przełomie” politycznym – nie podobała się patriotyczna postawa) odsuwały Go w cień, uniemożliwiając nawet przyznanie Mu niemal pewnej nagody Nobla. Jednak ogłoszenie tej decyzji po śmierci Poety (1998) spowodowało burzę protestów polskiego świata kultury i nauki. W rezultacie udało się przekonać Rodzinę, by wyraziła zgodę na pozostawienie w kraju spuścizny – rękopisów poezji i utworów teatralnych, notatek, rysunków i korespondencji.

Rok 2008 – w dziesięciolecie śmierci Poety – ma być ogłoszony jako Rok Zbigniewa Herberta, wielkiego Polaka i lwowianina.

## CO ZE SPUŚCIZNĄ PO PUCHALSKIM?

Z końcem listopada odwiedziliśmy zamek w podkrakowskich Niepołomicach, odnowiony przed parunastu laty i pełniący dziś funkcję muzealną. Zamek niepołomicki został zbudowany przez króla Kazimierza Wielkiego, a w czasach Jagiellonów rozbudowany, otrzymał formę renesansowego pałacu z arkadowym dziedzińcem pośrodku – jakby miniatura Wawelu.

W muzeum jest dziś kilka różnych zbiorów, w tym spuścizna fotograficzna Włodzimierza Puchalskiego. Przypomnijmy, że w r. 1996 (pisaliśmy o tym w CL 3/96), w 17 lat po śmierci artysty, wdowa – nie doszedł-

szy do porozumienia z krakowskim Muzeum Przyrodniczym – przekazała spuściznę po swoim mężu właśnie do Niepołomic, gdzie obiecano jej stosowną ekspozycję. Niestety – prezentacja ta ograniczyła się do 5 plasz o tematyce przyrodniczej, z kilkunastoma fotogramami na każdej, oraz albumu. Reszta (ok. 10 tys. negatywów) zalega w pudełkach na regale. Jest też kolekcja starych aparatów, a także spuścizna po Romanie Puchalskim, bracie Włodzimierza (pisaliśmy o nim w CL 3/97) – *summa summarum* ok. 15 tys. przedmiotów.

Pamiętamy, że oprócz zdjęć z *bezkrwawych łowów* Puchalski pozostawił liczne zdjęcia o innych tematykach, m.in. ciekawą historycznie dokumentację z przedwojennych polowań rządowych, a przede wszystkim niemałą serię zdjęć Lwowa, jego krajozrazów i zabytków, Karpat Wschodnich itd. – tego w muzeum niepołomickim nie widać. Wydaje się więc, że obietnica dana nieżyjącej niestety Alanie Puchalskiej nie została dotrzymana, a postać i twórczość wybitnego fotografa i filmowca ulega zapomnieniu. Od tego miała ją uchronić ekspozycja w niepołomickim zamku.

Włodzimierz Puchalski, jak pamiętamy, zmarł nieoczekiwanie w r. 1979 na Antarktydzie w czasie polskiej wyprawy. Pozostał tam na zawsze, a na miejscu pochówku postawiono rzeźbę B. Chromego, przywiezioną z Polski. Przed laty A. Puchalska obiecywała nam spisanie relacji z pogrzebu, w którym brała udział, jednak nie doszło do tego.

Dodajmy na marginesie, że ewentualna poprawa sytuacji spuścizny Puchalskiego (o ile w ogóle nastąpi!) może mieć miejsce dopiero za dwa lata, gdyż w zamku niepołomickim magazynuje się obecnie obrazy z krakowskiego Muzeum Narodowego w Sukiennicach – z powodu generalnego remontu tego zabytku. Na miejscu pozostaną jedynie trzy największe płótna, niemożliwe do wyniesienia, odpowiednio zabezpieczone\*. Jest więc sporo czasu, by spuściznę po Puchalskim sensownie przemyśleć (może razem ze zbiorami zoologicznymi w tym muzeum?).

A czy *leopolitana* nie powinny przejść raczej do Ossolineum? Bo tu zawsze będą traktowane po macoszemu.

\* *Hołd Pruski i Bitwa pod Grunwaldem* Matejki oraz *Pochodnie Nerona* Siemiradzkiego.

## Kronika

◆ W listopadzie '06 otwarto w **Krakowie dwie ciekawe wystawy**. Pierwsza to pokaz obrazów z Huculszczyzny Fryderyka Pautscha, które były dotąd w posiadaniu rodziny malarza i obecnie zostały przekazane Muzeum Archidiecezjalnemu w Krakowie. Tam też otwarto wystawę.

Przypomnijmy, że F. Pautsch (1877–1950) urodził się w Delatynie. Studiował na ASP w Krakowie i tamże po latach został profesorem. Wraz z Kazimierzem Sichulskim i Władysławem Jarockim tworzyli w latach międzywojennych „Trójkę huculską”, malując krajobrazy, obrzędy i sceny z życia Huculszczyzny. Pisaliśmy o tym w CL 3/07.

Druga wystawa, to *Lwów dawny i współczesny* – jako pokłosie konkursu fotograficznego dla młodzieży, zorganizowanego przez Międzynarodowe Centrum Kultury w Krakowie. Idea interesująca: należało wybrać jedną z pocztówek, zamieszczonych w albumie *Lwów na dawnej pocztówce* (omawiamy go w tym numerze) i wykonać nowe zdjęcie tego samego obiektu,

w takim samym ujęciu. W ten sposób narzucono niejako młodym ludziom konieczność odnalezienia we Lwowie wybranego miejsca, a tym samym dobre poznanie tego fragmentu miasta. Wystawę otwarto w Galerii MCK przy Rynku Głównym.

◆ W 2. połowie ubiegłego roku odbył się w Krakowie III Ogólnopolski Festiwal Piosenki Retro. Jego laureatką została 17-letnia licealistka Karolina Janociak z Krakowa, która **zaśpiewała lwowską Pannę Andzię** tak dobrze, że jury nie miało żadnych wątpliwości co do głównej nagrody: wyjazdu do Lwowa. Laureatka bardzo się z tego ucieszyła.

Warto dodać, że przyznano także wyróżnienia honorowe, a otrzymali je: Bernard Ładysz, Zbigniew Kurtycz (Iwowiak), Barbara Dunin (żona Iwowiaka), Marta Stebnicka (pół-Iwowianka), Krzysztof Herdzin, zespół „Chawira” (szef Czesław Bryk ze Lwowa, od paru lat w Krakowie), Kabaret Jamy Michalika (pamiętamy, że słynny Jan Apolinary Michalik urodził się w XIX w. pod Sryjem) oraz zespół z Muszyny. Tak to jest z tym Krakowem...

## Książki czasopisma

### Nowe książki

📖 Nowością na rynku księgarskim jest książka napisana przez **księdza Tadeusza Patera** *Listy o Kresach Południowo-Wschodnich* (Wydawnictwo AA, Kraków 2006). Redakcyjnego opracowania podjęli się prof. Maria Pawłowiczowa i Mariusz Olbromski.

Oryginalna konstrukcja książki w postaci siedemnastu chronologicznie ułożonych listów do rodziny, przyjaciół i rodaków-kresowiaków pozwala na śledzenie rozwoju wydarzeń za naszą obecną wschodnią granicą. *Listy*, pisane w latach 1996–2002, dotyczą nie tylko tego okresu, ale poprzez odniesienia do przeszłości i przez aneksy

mówią bardzo wiele o historii Ziemi utraczonych.

Autor po 50 latach nieobecności (wysiedleniu) przybywa do swej rodzinnej wsi Rumno pod Lwowem, w której był świadkiem w 1944 r. masowego mordu na polskich mieszkańcach wsi. Przytacza imienny spis ofiar. Odnawia znajomości z sąsiadami, jest dobrze przyjęty. Inicjuje uporządkowanie zbiorowej mogiły i postawienie krzyża-pomnika.

W *Listach* autor opisuje relacje z uroczystości we Lwowie i poza nim, w których brał udział jako przybysz z polskiej strony granicy. Relacjonuje swój udział w ważnych wydarzeniach kulturalnych, jak I i II Festiwal Kultury Polskiej na Ukrainie, obchody 175. rocznicy śmierci F. Karpińskiego w Stanisławowie i Kołomyi itp. Pilnie



obserwuje życie i zachowanie środowisk, w których się znajduje, a równocześnie notuje swoje refleksje filozoficzno-religijne lub wtrąca dygresje dotyczące prawdy o tragicznych wydarzeniach na Ziemi kresowej.

W opisach pielgrzymek narodowych dodaje przewodnikowskie informacje o miejscach martyrologii narodu polskiego, a także o zabytkach – celowo dewastowanych dla zatarcia śladów polskości.

W sumie jest to – w formie listów (z dodatkami) – przejmująca opowieść o współczesnym i przeszłym życiu naszych Kresów wschodnich. (DTS)

📖 W CL 2/06 omawialiśmy książeczkę o ofercie mordu ukraińskiego w Ihrowicy pod Tarnopolem – ks. Stanisławie Szczepankiewicz. Szerszy opis ludobójstwa dokonanego na polskich mieszkańcach tej wsi dał ten sam autor **Jan Białowąg** w kolejnej książce: **Krwawa podolska wigilia w Ihrowicy w 1944 roku** (wyd. Polihymnia, Lublin 2003).

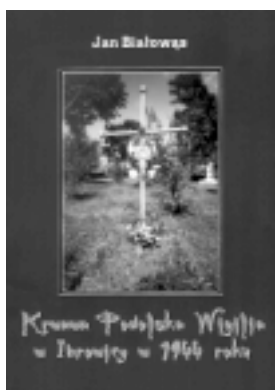
Ihrowica jest położona 16 km na północ od Tarnopola. Mniej więcej taka sama odległość dzieli ją – w stronę wschodnią – od Zbaraża. Wieś powstała już po rozbiorach, wokół dworu, a jej rozwój przyspieszyła budowa traktu z Tarnopola do Brodów (i dalej, do Łucka) w połowie XIX w. Korzystne warunki gospodarcze spowodowały napływ ludności polskiej, ruskiej i żydowskiej. Nie było większych rozdziewików między Polakami a Rusinami – przykładem mieszane małżeństwa, które np. w 1937 r. stanowiły połowę wszystkich zawieranych. Jednak już wtedy zaczęli się pojawiać ukraińscy nacjonaliści, którzy to względnie harmonijne współżycie usiłovali zakłócać.

Autor opisuje narastanie terroru, który stał się jawny już od chwili wybuchu wojny, a przybierał na sile w miarę napływających wiadomości o wydarzeniach wojennych i rzeziach wołyńskich, dochodząc do kulminacji w ciągu roku 1943.

Sowieci zajęli Tarnopolszczyznę w maju 1944 r. Polacy na wsiach tego oczekiwali, licząc na uspokojenie sytuacji, ponieważ nacjonaliści ukraińscy działali dotąd w porozumieniu z Niemcami. Istotnie na krótki okres napady ustały, z biegiem czasu jednak sowieci nie mogli albo też nie chcieli reagować i banderowcy wzięli górę. Kolejne miesiące to narastanie liczby morderstw pojedynczych i grupowych (np. w dniu 11 listopada '44 zabito 131 osób w pobliskiej Berezowicy Małej, w tym samym czasie 106 osób w Łozowej). Dla Ihrowicy najgorsze nastąpiło w dniu Wigilii 1944: w wyniku rzezi zginęło tam 89 osób. Autor przedstawia ich listę.

📖 Po książkę **Pawła Jaszczuka *Foresta Umbra*** (Dom Wydawniczy „Rebis” 2004) sięgnąłem dlatego, że jej akcja rozgrywa się w przedwojennym Lwowie, na Kresach, a także dlatego, iż nagrodzono ją w ubiegłorocznej edycji *Festiwalu Kryminału* – organizowanego przez Stowarzyszenia Miłośników Kryminału i Powieści Sensacyjnej „Trup w szafie” – Honorową Nagrodą Wielkiego Kalibru. Można powiedzieć – nagrodzono egzotykę innego kalibru, bo w 2004 roku „Wielki Kaliber” przypadł Markowi Krajewskiemu za *Koniec świata w Breslau*. Jaszczuk stara się ukazać Lwów, serwując nam opisy ulic, wspominając nazwiska znanych postaci związanych z tym miastem przed II wojną światową. Jest to jednak zabieg dość sztuczny. Nie czuje się w tej książce tak wyzwolonej atmosfery zaginionej przeszłości jak w książkach Krajewskiego.

Główny bohater – dziennikarz kryminalny Stern z lwowskiego „Słowa” – wydaje się dość mdłą postacią, którą miotają różne uczucia: to zazdrości o młodą żonę, to znowu poczucie niedowartościowania przez szefa, a z drugiej strony pewność swej reporterskiej kompetencji i misji. W końcu nie wiadomo też, czy jego działania mają na celu wykrycie sprawcy, czy też przede wszystkim aspekt twórczy, w wyniku którego powstaje reportaż, który naprowadza policję na ślad przestępcy. Sama zbrodnia jest obrzydliwa i zapowiada się bardzo tajemniczo. Mordowanie kobiet i podkuwanie ich małymi podkówkami... Fabuła doprawiona jest aktem brutalnego i prymitywnego samosądu dokonanego przez mieszkańców wioski, rzuconej na skraj Rzeczypospolitej. W efekcie książka okazuje się dość płytka i mało zaskakująca (jak to w życiu zresztą bywa), ale i bardzo



*pokrętna*, przez co wydaje się mało prawdopodobna i wiarygodna. Również sposób dochodzenia prawdy jest ślamazarnym śledztwem bez śle-  
dztwa...

Sam fakt osadzenia akcji w realiach Kresów wpływa pozytywnie na książkę i dodaje jej dodatkowej tajemniczości, stanowiąc swoiste *koło ratunkowe* dla powieści. Z innych powodów jest to bardzo ważny czynnik – rzesze młodych czytelników uświadomiła sobie, że miasto Lwów było kiedyś – w końcu nie tak dawno temu – polskie. Nie udało się jednak autorowi przebić przez *mgiełkę tajemniczości* tej atmosfery Lwowa, o której się słyszy, czyta – może zabrakło bardziej szczegółowej pracy dokumentacyjnej? Skąd ten krytycyzm? Nie przepadam za współczesnymi kryminałami. Wychowałem się jednak na książkach Conan Doyle’a, Agaty Christie czy rodzimego Joe Alexa i rozumiem, że trudno dorównać mistrzom. Cieszę się jednak, że i na moją biblioteczną półkę wracają kryminały i z czystym sumieniem mogę polecić autora. (JMP)

📖 Doskonałą inicjatywę podjęto w Przemysłu: serię tomików pod ogólnym tytułem *Kresy*, poświęconą historycznym, zabytkowym miastom z odciętego obecnie od Polski obszaru Ziemi Wschodnich. W niewielkich wymiarowo tomikach (format A5, ok. 50 stron) omawia się dzieje i zabytki danego miasta – wraz z wieloma zdjęciami współczesnymi i reprodukcjami starych rycin oraz uzupełniającymi przypisami. W sumie ma-

teriał dla szeregowego turysty zupełnie wystarczający. Dodajmy, że na okładkach znalazły się precyzyjnie opracowane herby tych miast. Brakuje natomiast schematycznego bodaj (współczesnego) planiku.

Mamy w rękach dwa z omawianych tomików: nr 4. **Brzeżany**, autor **Bogdan W. Motyl** (wyd. autor oraz Przemyskie

Centrum Kultury i Nauki, 2005); nr 5. **Żółkiew, miejsce kultu wodzów i dziejów wojennych Polaków**, autor **Janusz Polaczek** (wyd. Przemyskie Centrum Kultury i Nauki, 2006).

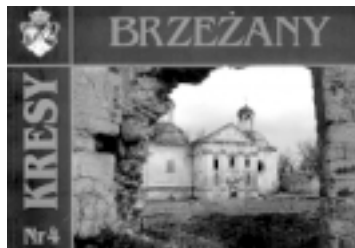
Trzeba wyrazić uznanie dla wydawców, ponieważ oba miasta są dla historii Polski i Polaków niezwykle ważne, a ich popularyzowanie wśród młodzieży jest naszym zbiorowym obowiązkiem.

📖 Pamięć po znakomitym konserwatorze zabytków architektury, prof. Alfredzie Majewskim, utrwaliło Muzeum Historyczne M. Tarnobrzega, wydając album pamiątkowy w opracowaniu Aleksandry Janas i Adama Wójcika pt. **Alfred Majewski. Wielki Odnowiciel Zamków Polskich** (Tarnobrzeg 1999).

Zamków tych – i nie tylko zamków – było niemało. Poza Wawelem i Collegium Maius UJ lista obejmuje większość bezcennych budowli zamkowych i pałacowych Małopolski: Pieskową Skałę, Wiśnicz, Baranów, Krasiczyn, Niedzicę i Czorsztyn, Suchą Beskidzką, Niepołomice, a także Krzyżtopór i Przeclaw oraz parę innych pomniejszych lub takich, gdzie interwencje konserwatorskie nie miały prowadzić do pełnego przywrócenia do użytkowania, lecz do uratowania – architektonicznie, historycznie i krajo-  
brazowo – cennych ruin (podobnie jak w Czorsztynie lub Krzyżtoporze).

Powyższa lista obiektów eksponowanych w omawianym albumie dotyczy jednak działalności powojennej Profesora, a przecież już w latach przedwojennych rozpoczęła się niezwykła droga Majewskiego, związana z zamkami. Były to zamki w województwie tarnopolskim, przede wszystkim Olesko, a także Trembowla, Tarnopol i Zbaraż (obok wspomnienia tych nazw pokazano zdjęcia zamków w Olesku i Tarnopolu).


Alfred Majewski urodził się w 1907 r. w Kozicach w powiecie lwowskim. Studia na Politechnice Lwowskiej ukończył w 1932 r., a już rok później związał się (podobno przypadkiem!) z konserwacją, obejmując stanowisko zastępcy konserwatora zabytków województwa tarnopolskiego. Współpracował wtedy z prof. arch. Witoldem Miniewiczem, który wkrótce po II wojnie (będąc profesorem na Politechnice Gdańskiej) został dyrektorem odnowienia Zamku Wa-



welskiego. Funkcję tę niebawem po Minkiewiczu objął Majewski i dzierżył ją aż do emerytury w 1983 r. Związał się ponadto z Wydziałem Architektury Politechniki Krakowskiej, został profesorem i dziekanem. Zmarł w 1998 r.

Uratowanie i przywrócenie do życia wielu zamków Polski południowej jest więc jeszcze jednym darem, jakie dały polskiej kulturze wiedza i talent lwowian.

Członkowie TMLiKPW w Krakowie spotkali się przed kilkunastu laty z prof. Majewskim, który opowiadał o wschodniomałopolskich latach swego bogatego życia.

 Ks. prof. **Józef Wołczański** wydał (w formie broszurki) ciekawy dokument: **Księdza Ignacego Chwiruta wspomnienia o arcybiskupie Józefie Bilczewskim** (*Analecta Cracoviensia* XXXVIII, Kraków 2004). Ks. Chwirut był w latach 1913–23 sekretarzem i spowiednikiem przyszłego świętego, poznał więc tę światłą postać gruntownie. Pisze wiele o różnych aspektach działalności Arcybiskupa, o problemach, jakie powstawały, i umiejętności ich rozwiązywania, przytacza Jego wypowiedzi na różne tematy. Warto zacytować fragment wspomnień, dotyczący szczególnego we Lwowie tematu. Ks. Chwirut pisze:

*O sprawach polsko-ukraińskich Ks. Arcybiskup nie zabierał głosu w publicznych dyskusjach. Starał się, budując kościoły, utrzymać w obrządku łacińskim tych, którzy z dziada pradziada byli Polakami. Miał żal do ukraińskich kapłanów za przyciąganie łacinników do obrządku wschodniego, bo żywił to przekonanie, które mówiąc wyrażał nieraz: „że ci, którzy pozostaną w obrządku łacińskim są pewniejsi zbawienia”. Potwierdziły to zaraz najlepiej wypadki z czasów pierwszej wojny światowej, kiedy podczas 9-miesięcznej okupacji diecezji przez wojska rosyjskie przeszło na schizmę w ukraińskich parafiach około 200 000 unitów i 27 kapłanów, a po drugiej wojnie światowej na schizmę około 2/3 duchownych greckokatolickich.*

*Gdy chodziło o pomoc dla bratniego narodu, nigdy jej nie odmawiał, nawet z narażeniem się na osobiste przykrości. Dowodem tego była pomoc udzielona więźniom politycznym ukraińskim, zesłanym przez*

*rząd austriacki pod zarzutem zdrady państwa na rzecz Rosji do ciężkiego obozu w Talerhofie. Obciążono tym zarzutem całe stronnictwo moskalofilskie.*

*Wpływem swoim u władz austriackich wielu uratował życie. O tej działalności Ks. Arcybiskupa na rzecz więźniów ukraińskich (moskalofilskich) dowiedziałem się przypadkiem, Ks. Arcybiskup bowiem nigdy nie mówił o swoich dobrych uczynkach. Spotkałem na ulicy znajomego Ukraińca, radcę dworu cesarskiego [...], który przywitał mnie z rozradowanym obliczem i powiedział: „Żyję i jestem tu tylko dzięki dobroci i wpływowi waszego Arcybiskupa, który wyratował mnie z Talerhofu”.*

*Ks. Arcybiskup postarał się również i o to, że został usunięty z wysokiego stanowiska we Lwowie gen. (Letowsky?), zwany we Lwowie „wieszatkiem”, który dużą ilość Ukraińców skazał na śmierć po cofnięciu się armii rosyjskiej. Ks. Arcybiskup razem z ormiańskim Ks. Arcybiskupem Teodorowiczem wyjednali w głównej komendzie austriackiej usunięcie go z zajmowanego stanowiska.*

*Czuł żal do Ks. Arcybiskupa Szeptyckiego, że nie potępił, mimo jego prośby, mordowania polskich kapłanów w czasie walk polsko-ukraińskich w 1918 roku. O ile pamiętam, zostało zamordowanych 7 księży. W czasie wizytacji kanonicznych odwiedzał Ks. Arcybiskup także cerkwie i błogosławił zebranych wiernych greckokatolickiego obrządku. Wchodząc i wychodząc z cerkwi pozdrowiał wiernych słowami: „Sława Iłsusu Chrystu”. Nieznajomość bowiem języka ukraińskiego nie pozwalała mu na wygłaszanie przemówień w tym języku. Cieszył się także poważaniem wśród wielu kapłanów greckokatolickich, o czym świadczy to, że kiedy Rosjanie wywieźli w głąb Rosji Ks. Arcybiskupa Szeptyckiego, zastępujący go mitrał Bielecki przychodził do Ks. Arcybiskupa Bilczewskiego codziennie, by zasięgnąć rady w różnych bieżących sprawach swojej archidiecezji.*

Na marginesie: Czytelnicy pamiętają zapewne wypowiedź kard. Glempa, który przeproszał kard. Huzara za uparte polonizowanie ludności ruskiej (pisaaliśmy o tym w Naszym zdaniem CL 4/05, s. 59). Z kolejną wyjątkowo trafną wypowiedzią tej Osobistości na temat świątków spotkaliśmy się nie tak dawno...

📖 Książce prof. Stanisława Sławomira Nicieja pt. **Twierdze kresowe Rzeczypospolitej. Historia, legendy, biografie** (Wyd. „Iskry”, Warszawa 2006) poświęcony jest osobny obszerny artykuł, napisany przez Jerzego Dudę, zawarty w tym numerze.

📖 Niezwykle wartościową pozycję wydało Międzynarodowe Centrum Kultury w Krakowie: **Lwów na dawnej pocztówce**, autorstwa **Iryny Kotłobułatowej** (Kraków 2006). Nazwisko autorki, miłośniczki historii i zabytków tamtego Lwowa, nie jest nam nieznane – już parokrotnie pisaliśmy o jej pracach oraz udziale w różnych imprezach naukowych w Krakowie.

Gruby tom zawiera ponad 250 reprodukcji widokówek z lat 1894–1944. O Lwowie tamtego czasu pisze w przedmowie dyrektor krakowskiego MCK oraz animator badań nad Lwowem XIX i XX w. prof. Jacek Purchla – cytujemy fragment:

*Lwów\* należy do tych miast środkowej Europy, które fascynują swoją legendą. Szczególnym jej rozdziałem stał się przełom wieków, owa „la belle époque”, która stanowiła niewątpliwą kulminację złotego okresu w rozwoju miasta. Któż mógł wówczas przypuszczać, iż XX wiek przyniesie mieszkańcom grodu nad Pełtwią tak wiele tragedii i cierpienia. Dziś, sto lat później, Lwów jest tym samym, ale i zupełnie innym miastem. Choć mimo ciężkich doświadczeń II wojny światowej zachował nieomal w niezmienionym kształcie rdzeń swej tkanki urbanistycznej, to utracił ciągłość swej tkanki społecznej, a wraz z nią także system znaków i symboli składających się na tożsamość miasta. W tym sensie utracił też część swojej pamięci. Fakt ten stanowi istotną część fenomenu współczesnego Lwowa. Badania nad tym zjawiskiem i nad znaczeniem grodu Lwa dla dziejów Ukrainy, Polski i Europy prowadzone są dziś w bardzo wielu środowiskach, także za oceanem. [...]*

Materiał, z którego wybrano widokówki do albumu, obejmuje 4263 pozycje, zestawione przez I. Kotłobułatową. Większość jest własnością Igora Kotłobułatowa, który – jak czytamy – gromadził je przez blisko 30 lat, ale także innych zbieraczy ze Lwowa, Wrocławia (Ossolineum), Krakowa i Warszawy.

Album przedstawia Lwów w latach największego rozkwitu, zamkniętego w latach

1894–1944. Pierwsza data oznacza punkt szczytowy rozwoju polskiej autonomii w austrowęgierskiej Galicji, zwieńczonej pamiętną Wystawą Krajową i związanymi z nią osiągnięciami gospodarki i kultury\*\*; druga data wiąże się z klęską w zakończeniu II wojny światowej, które pozbawiło Polskę jej naturalnego miejsca w Europie.

\* Nie rozumiemy, dlaczego w tłumaczeniu na język angielski nazwę Lwowa – w polskim wydawnictwie – podano jako *Lwiv*. Sądzimy, że tzw. *poprawność polityczna* nie powinna przekraczać pewnych granic.

\*\* O znaczeniu lwowskiej Wystawy Krajowej 1894 pisał prof. Jacek Purchla w CL 2/95.

📖 Wśród ludzi różnych zawodów – najchętniej i najlepiej piszącymi literacko są lekarze. Ich przeciwieństwem są przeważnie inżynierowie – w tym także architekci, którzy wszak są po trosze humanistami. Rzadko spotyka się dobre książki – poza typowo zawodowymi – napisane przez architektów. Dlatego z za-



interesowaniem przyjęliśmy niezwykle ciekawę **Wspomnienia architekta**, spisane przez **Władysława Czarnieckiego** (1895–1983), lwowianina, który całe swoje życie zawodowe po studiach we Lwowie spędził w Poznaniu.

Przypomnijmy, że w latach 20. po odzyskaniu przez Polskę niepodległości wielu lwowian wyjeżdżało ze swego rodzinnego miasta, osiadając na ówczesnych terenach zachodnich, przede wszystkim na Śląsku, także w Poznaniu i w nowo budowanej Gdyni. Działo się tak z prostej przyczyny – by użyć określeń fizycznych – *nadciśnienie* inteligencji we Lwowie i *podciśnienie* w województwach poza Galicją, głównie zachodnich, gdzie inteligencji polskiej prawie nie było albo było zbyt mało, zwłaszcza w zawodach humanistycznych. Wielu naukowców lwowskich (a także krakowskich) wyjeżdżało do Warszawy, gdzie tworzył się polski uniwersytet (podobnie w Poznaniu i Wilnie). Szanse więc na atrakcyjną pracę i lepsze zarobki były tam wtedy o wiele większe niż we Lwowie, który z pozycji stolicy kraju zszedł do roli jednego z 17 miast wojewódzkich oraz jednego z kilku głównych ośrodków kultury i nauki (Warszawa, Poznań, Wilno, nie licząc oczywiście Krakowa).




Władysław Czarnecki urodził się we Lwowie – jego dom rodzinny był przy ul. Stodowej na Łyczakowie. Studia architektoniczne rozpoczął na Politechnice Lwowskiej w roku 1912, jednak przerwała je I wojna światowa. Przebywał w niewoli na Syberii, dokształcał się jednak samodzielnie i to pozwoliło mu na ukończenie studiów po powrocie do Lwowa z końcem 1923 r.

W 1924 r. przeniósł się do Warszawy, której nowa *stołeczność* dawała większe możliwości niż powojenny Lwów. Ale już w rok później został wybrany spośród 30 kandydatów na stanowisko architekta miejskiego w Poznaniu. Miał wtedy 30 lat, a za sobą lwowską szkołę architektoniczną.

Wiele projektował. Tworzył gmachy publiczne i domy mieszkalne. Znaczący był jego udział w przygotowaniu Powszechnej Wystawy Krajowej (PWK) w 1929 r. Przypomnijmy, że była to druga tego typu wystawa na ziemiach polskich – pierwsza była Wystawa Krajowa we Lwowie w 1894 r. (pisaaliśmy o niej szeroko w CL 2/95).

Czarnecki pisze sporo o swych wczesnych latach we Lwowie, o rodzinie, o Politechnice i profesorach, o innych familiach lwowskich (bardzo ciekawe!). Pierwszy tom wspomnień kończy się z rokiem 1930. Mają nastąpić jeszcze dwa tomy (do śmierci autora w 1983 r.). Będą jednak dotyczyły wyłącznie Poznania oraz jego wielkiego wkładu w rozwój tego miasta i jego architektury.

 W CL 3/05 omawialiśmy śpiewnik *Piosenki lwowskie i kresowe*, opracowany przez **Emila Hliba**, który obecnie nadesłał nam drugi tomik pod nieco zmienionym tytułem: ***Piosenki lwowskie i biesiadne. Domowe muzykowanie*** (Wrocław, roku wydania nie podano, ale zapewne 2006. We wstępie podano rok wydania tomu I: 2004, czego tam również nie znaleźliśmy).

Bogaty materiał – 220 utworów, zawarty w omawianej książeczce, został podzielony na trzy części w układzie chronologicznym: z czasu I wojny światowej i wcześniejsze, z okresu międzywojennego oraz z lat II wojny i powojenne. Naszym zdaniem nie jest to najlepszy układ – widzielibyśmy bardziej podział merytoryczny:

- piosenki lwowskie (czyli to, co w tytule, rozumiejąc w tym związane z całą Małopolską Wschodnią),

- wileńskie lub związane w ogóle z całym naszymi ziemiami wschodnimi sprzed 1939 r.,
- wojenne, sybirackie, emigracyjne,
- ogólnopolskie,
- niepolskie (naszym zdaniem absolutnie niepotrzebne).

Dodajmy, że uznając wartość pracy Pana Emila (co podkreśliliśmy już omawiając pierwszy tomik) uważamy, że owo wymieszanie może prowadzić – zwłaszcza u młodych pokoleń odbiorców – do zatarcia pojęcia lwowskości czy kresowości, a w utworach niepolskich nie znajdujemy żadnych związków z tym, co nam bliskie (nawet geograficznie).

Pozwalamy sobie przepisać słowa świetnej piosenki emigracyjnej autorstwa (słowa i muzyka) Ref-Rena.

### ODPOWIEDŹ

*Powiedział mi pan, proszę pana,  
Przedwczoraj – nawiasem, w rozmowie,  
Że pan ma już dość, proszę pana,  
Piosenek o Wilnie i Lwowie!  
Że to wspomnienie zbyt boli,  
Że czas już skończyć raz z tą udręką!  
Być może. Czy pan mi pozwoli,  
Że na to odpowiem piosenką?*

*Już mi raz zabrali Wilno,  
Już mi raz zabrali Lwów,  
Ale z serca mi nie wyrwą  
Moich dwóch najmiłszych słów!  
Zrabowali mi już sporo  
Z moich snów i moich łez,  
Lecz tęsknoty nie zabiorą,  
Bo tęsknota we mnie jest!*

*Przypuszczam, że pan mnie zrozumie  
I sądzę, że pan mi wybaczy,  
Bo ja już inaczej nie umiem,  
Ja już nie potrafię inaczej!  
Pan patrzy realnie na wszystko,  
A ja – zamknę oczy czasami  
I Lwów mam przed sobą tak blisko!  
I Wilno mam tuż przed oczami!*

*Już mi raz zabrali Wilno,  
Już mi raz zabrali Lwów,  
Ale z serca mi nie wyrwą  
Moich dwóch najmiłszych słów!  
Zrabowali mi już sporo,  
Przesunęli Bug i San,  
Lecz tęsknoty nie zabiorą,  
Ani oni, ani pan!*



📖 Ognisko Bukaczowczan (Poznań–Wrocław 2006) wydało własnym sumptem album pt. **Cmentarz w Bukaczowcach**, opracowany przez **Krystynę Tokarską**, **Tadeusza Tomkiewicza** (teksty) oraz **Ryszarda Sołomiewicza** (zdjęcia). Z podziwem oglądamy cały zespół nie najgorzej zachowanych kamiennych nagrobków, datowanych od 1. połowy XIX wieku po II wojnę. Album jest bardzo starannie wydany, załączono mapkę i plan cmentarza.

Janusz M. Paluch (JMP), Danuta Trylska-Siekańska (JTS), Kazimierz Selda

## Jest co czytać (38)

### PRZYKŁAD: BUKACZOWCE

Obecność na IX Dniach Lwowa w Poznaniu (które opisaliśmy w CL 4/06) dała nam jeszcze jedną, całkiem niespodziewaną korzyść: poznanie p. Tadeusza Tomkiewicza, redaktora „Biuletynu Bukaczowieckiego”, o którego istnieniu – wstyd się przyznać – wcale nie wiedzieliśmy. Pan Tadeusz nadesłał nam zaraz kilka ostatnich numerów (45–49 z lat 2005–2006) tego ciekawego i sympatycznego kwartalnika, który – jak obliczyliśmy – ukazuje się już od lat dwunastu (format A5, stron 24–28, zawsze kolorowa okładka).

Wyjaśnijmy na wstępie, że Bukaczowce to miasteczko położone w powiecie rohatyńskim, województwie stanisławowskim (omawialiśmy je w *Słowniku* w CL 1/99), przy linii kolejowej Lwów–Stanisławów, 88 km na płd. wsch. od Lwowa. Obok prezentujemy fragment mapy kolejowej, gdzie zobaczysz można pobliskie miejscowości, często przez nas wymieniane i omawiane przy różnych okazjach: z jednej strony Chodorów, Żydaczów i Żurawno, z drugiej Rohatyn i Bursztyn, z trzeciej Bołszowce i Halicz, a z czwartej płynie Dniestr, do którego wpada rzeczka Świrz, która niesie swoje wody z północy, spod świrskiego zamku. A więc – okolica wspaniała.



O czym piszą w „Biuletynie”? Rzecz jasna, przede wszystkim o Bukaczowcach, jego historii, zabytkach, krajobrazie, ludziach – dawnych i dzisiejszych. Bo wspólnota Bukaczowczan\* – może właśnie w jakiejś mierze dzięki swojemu piśmiu – trzyma się razem, spotyka się przy różnych okazjach, jeździ na wycieczki nie tylko w ojczyste strony, lecz w wiele historycznych miejsc po tamtej i tej stronie jałtańskiego kordonu, a potem spisuje przeżycia. Plussem jest styl, jaki w piśmie utrzymują redaktorzy: podtrzymywanie serdecznego kontaktu między sobą i z opuszczonym wspólnym gniazdem. Piśmiu nie stroni od problematyki wychodzącej poza sprawy lokalne, rejestruje prowadzone dyskusje na tematy aktualne dziś w Polsce.

Wielką zasługą wspólnoty jest inwentaryzowanie i porządkowanie starego cmentarza w Bukaczowcach, a także innych w okolicy, starania o utrzymanie stanu technicznego kościoła. W piśmie pokazuje się czytelnie opracowane planiki miejscowości, cmentarzy, kościołów. Wszystko to budzi uznanie dla Zarządu Ogniska Bukaczowczan oraz zespołu redakcyjnego, z którego na pierwszym miejscu trzeba wymienić bardzo fachowego prezesa i redaktora Tadeusza Tomkiewicza. Bardzo nam się podoba kompetentnie prowadzony *Kącik Krystyny Tokarskiej*. Sporo wierszy: Teresy Tomsy, Kazimierza Ozgi i paru innych twórców.



## BUKACZOWCZANIE

Bukaczowce – małe miasteczko pomiędzy Chodorowem a Haliczem, położone nad rzeką Świrz w pobliżu jego ujścia do Dniestru. Pierwsza wzmianka pochodzi z roku 1438, kiedy to Bukaczowce jako wieś własnością Swansa z Chodorowa. W roku 1483 wieś przejął Jan Żurawiński, doprowadzając ją do rozkwitu, tak iż Kazimierz Jagiellończyk nadał Bukaczowcom prawa miejskie już w roku 1489. Okres świetności miasteczka przypada pod koniec XVI i na początek XVII wieku, kiedy to właścicielami zostali Kalinowscy. Jerzy, brat hetmana, miał tu wspaniałą rezydencję, były dwa klasztory. Wojska kozacko-tatarskie spaliły miasto w 1648 r. i w rezultacie już nie powróciło ono do dawnej świetności. Okres zaboru austriackiego też nie sprzyjał rozwojowi Bukaczowiec, a odbudowujące się klasztory uległy kasacji na mocy rozporządzenia cesarza Józefa II.

W okresie międzywojennym XX w. dynamiczny rozwój miasteczka przerwała wojna światowa. Dziś – po okresie panowania sowieckiego i obecnie ukraińskiego – Bukaczowce stały się „słyszczym miśkoho typa”, bez jakichkolwiek oznak rozwoju. W okresie II Rzeczypospolitej miasteczko liczyło około 3–4 tys. mieszkańców, których mniej więcej w równych proporcjach stanowili Polacy, Ukraińcy i Żydzi, żyjąc prawie w całkowitej zgodzie. Polacy, po odzyskaniu po wieloletnich zaborach wolności, docenili rolę nauki w budowie nowej rzeczywistości, stąd wiele młodzieży z rodzin kolejarskich, rzemieślniczych, urzędniczych czy chłopskich z Bukaczowiec i okolic nie porzastało na edukacji w siedmioklasowej szkole powszechnej, kontynuując naukę w gimnazjach Lwowa, Stanisławowa, Rohatyna czy Chodorowa. Niestety – wojna zniweczyła podjęte ambitne zamierzenia, przewracając zupełnie dotychczasowy świat wartości.

Po dramatycznych przejściach wojennych, ale też i powojennych, społeczność bukaczowiecka, jak zresztą cała społeczność kresowa, została rozproszona po całej Polsce już w jej nowych granicach, a nierzadko i po całym świecie. Po 50 latach we Wrocławiu przypadkowo spotkałem się z moim kolegą z lat szkolnych w Bukaczowcach. Siwiutki, ale czerstwy, przystojny emerytowany pułkownik-pilot zaprosił mnie do swego domu i w towarzystwie małżonki (którą znałem również jeszcze z czasów bukaczowieckich) rozmawialiśmy oczywiście o losach naszych rodaków. Pułkownik Antoni Chojcan miał kilka adresów Bukaczowczan i po jakimś czasie spotkaliśmy się już w szerszym gronie. Mając już dość sporo informacji o naszych ro-

dakach, postanowiliśmy urządzić zjazd Bukaczowczan. W pierwszych dniach sierpnia 1994 roku przybyło do Wrocławia ponad 100 osób z całej RP, kilka z zagranicy. Ileż było radości, ile wylanych łez wzruszenia, ile zaskoczeń w rozpoznawaniu się; i te niekończące się rozmowy! Po trzech dniach wspólnego przebywania postanowiliśmy założyć Ognisko Bukaczowczan przy Stowarzyszeniu Europejskich Więzi i urządzić podobne spotkania co roku. Zebrało się trochę materiałów, jak listy i życzenia od osób nie mogących wziąć udziału w spotkaniu, wspomnienia, różne propozycje itp., na podstawie których opracowałem „Biuletyn Bukaczowiecki”, następnie rozpowszechniony przez uczestników. Wielkie zainteresowanie „Biuletynem” przyczyniło się do jego dalszego wydawania – i od tego czasu wydajemy go co kwartał. „Biuletyn” opracowujemy bezpłatnie, po amatorsku, rozsyłamy go do wszystkich członków bezpłatnie, pokrywając jedynie kosztą przesyłki z drobnych opłat członkowskich. Ostatnio w ramach niewielkich dobrowolnych datków wydajemy go w kolorowej okładce. Z uwagi na duże rozproszenie Bukaczowczan po kraju i świecie, stał się „Biuletyn” pośrednikiem w kontaktach między nimi, dostarcza informacje o historii naszej ziemi rodzinnej, o sprawach bieżących itp. W grudniu br. będziemy obchodzić jego mały jubileusz – pięćdziesiąty już numer!

Na tym pierwszym spotkaniu wyłoniono Zarząd, który nawiązał kontakt z księdzem Anatolem Zajączkowskim w Rohatynie. Dowiedzieliśmy się, że ksiądz Anatol odbudowuje po zniszczeniach kościół i reaktywuje parafię w Bukaczowcach. Postanowiliśmy pomóc w odbudowie i zebrawszy sporo żywności, odzieży, obuwia, udaliśmy się w następnym roku do naszego miasteczka, niezwykle serdecznie witani przez miejscowych mieszkańców, w tym krewnych i znajomych. Z czasem nasze wyjazdy do Bukaczowiec zaczęliśmy łączyć ze zwiedzaniem różnych regionów Kresów, a jadąc z nami młodzież wzbogacała swą wiedzę historyczną i geograficzną o wschodnich ziemiach I i II Rzeczypospolitej, zaniedbywaną przez kilkadziesiąt lat. I tak czynimy do dziś. Organizujemy zbiórki pieniężne na remont naszego kościoła, ostatnio opłaciliśmy bodaj z grubsza odwaszczenie cmentarza, co umożliwiło nam dokonanie inwentaryzacji wszystkich nagrobków na ponad hektarowej jego powierzchni. Zinventaryzowano ponad 800 nagrobków, po wielu pozostał zaledwie ślad na liczącym około 200 lat cmentarzu. Ale nie odnalaziono np. nagrobka ojca Artura Grotgera, Józefa, który jako weterynarz pogryziony przez chorego na wściekliznę konia, zmarł

i został pochowany w 1856 roku właśnie na tym cmentarzu. Jeden komplet inwentaryzacji, składający się z części opisowej i kartograficznej, wysłano do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, za co otrzymaliśmy podziękowanie. W ostatniej, lipcowej naszej podróży do Bukaczowiec, dokonaliśmy fotograficznej inwentaryzacji, stanowiących wartość artystyczną lub historyczną, około 50 nagrobków, na której podstawie zamierzamy opracować album. Celem tych wszystkich zamierzeń jest ocalenie od zapomnienia ogromnego wkładu Kresów w ogólny dorobek naszego narodu w dziedzinie gospodarczej, kulturalnej i naukowej.

Niektórzy zarzucali nam, że naszą pomoc kierujemy przede wszystkim do Bukaczowiec i okolic, zapominając o Lwowie. O Lwowie oczywiście nie zapominamy, ale jeśli sobie uświadomimy, ile to różnych organizacji, stowarzyszeń, kół w Polsce śpieszy z pomocą do Lwowa, to mimo woli nasuwa się pytanie: a co z pomocą dla ubogich Polaków na prowincji? Kto ma o nich pamiętać, jeśli nie krajanie? Nie ograniczamy się tylko do rodzinnej miejscowości – pamiętamy o Samborze, Chodorowie, Rohatynie i innych miejscowościach na naszej trasie. Intensywna pomoc trwała zwłaszcza w pierwszym okresie naszej działalności. Wszyscy działający zasłużyli na wyróżnienie, ale największymi osiągnięciami może się poszczycić doktor Józef Czech, pediatra z Gniezna, którego dary cukru można już liczyć w setkach kilogramów, nie licząc obuwia, środków czystości, słodczy. Natomiast Emilia Nitecka z Gdyni ustanowiła swoisty rekord chyba w skali krajowej – jako artystka wyhaftowała i podarowała różnym parafiom prawie trzydzieści pięknych ornatów, kilkadziesiąt stuł i obrusów.

Warto też wspomnieć, że każdego roku, oprócz grupowych wyjazdów do Bukaczowiec i na dalsze Kresy, urządzamy spotkania rodaków. Pierwszych kilka urządzili wrocławianie, następnie było Gniezno, Poznań (dwukrotnie), Warszawa, Kraków (też dwukrotnie), Legnica i Paczków. Na takie spotkania, które trwają trzy dni, przybywa z reguły 60–80 osób, wiele przybywa z zagranicy, a organizatorzy takich spotkań zapewniają atrakcyjne spędzenie czasu. Troską naszą jest przyciągnięcie młodego pokolenia Bukaczowczan do kontynuowania naszej tradycji, gdyż jego rodowitych mieszkańców w szybkim tempie ubywa. Cieszy nas natomiast aktywność drugiego pokolenia, co daje nadzieję, że pamięć o Ziemi Utraconej szybko nie zaginie.

Tadeusz Tomkiewicz

Apelujemy do licznych wschodniomałopolskich środowisk – ekspatriantów i ich potomnych w RP, za kordonem i za granicą – związanych z licznymi miejscowościami i okolicami, dla których dotąd nie podjęto wspólnego działania i wydawania najskromniejszych bodaj biuletynów – bierzcie przykład z niewielkich wszak Bukaczowiec!

Przy okazji: gdzie można nabyć „Zeszyty Łukowieckie”, o których przeczytaliśmy w BB 1/06 (s. 4)?

\* Czy nie byłoby właściwie *bukaczowian*, *bukaczowski*? Co na to językoznawcy?

## Wertując wydawnictwa

➔ O *Kwartalniku dla środowisk polskich i polonijnych na świecie „Nasza Rota”* już kiedyś pisaliśmy, ale ostatnio wpadł nam w ręce nr 1/04, w którym największą część materiałów dotyczy Lwowa i Małopolski Wschodniej. Warto więc wynotować:

- *Lwów w eseistyce Wittlina i Vincenza* (Bolesław Hadaczek – pisaliśmy o jego twórczości w CL)
- *Pomnik Adama Mickiewicza we Lwowie* (Michał Domański)
- *Warto było tej chwili doczekać* (o wystawieniu *Straszego Dworu* we Lwowie)
- *Matka Boża Sokalska i jej malarz Jakub Wężyk* (M. Domański)
- *Ocalić od zapomnienia* (o cmentarzu w Złoczowie, Alina Bidna).

Ponadto o Wilnie i Wileńszczyźnie, o S. Moniuszce i J. Iwaszkiewiczu, o głodzie na Ukrainie w latach 1932–33, o Ukrainie w literaturze polskiej, o oświacie i nauce polskiej na Ukrainie, o Bugu i sporo innych materiałów.

Bardzo dobre i pożyteczne pismo. Wydaje je Fundacja Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie.

➔ *Pismo „Radość Wiary”* zaczęło się ukazywać w Drohobyczu w 1993 r., z czasem jednak awansowało do rangi organu archidiecezji lwowskiej obrz. łac. (pisaliśmy o tym w CL niejednokrotnie) i obecnie jego redakcja mieści się we Lwowie, a redaktorem nacz. jest ks. Marian Skowrya.

Kolejne numery zawierają mnóstwo ciekawego materiału historycznego i aktualności. Mamy w rękach nr 3/2006, w którym znajdujemy dwa artykuły o 350. rocznicy Ślubów Jana Kazimierza, relację o przywróceniu do życia pałacu arcybiskupiego we Lwowie i o ciągnącej się sprawie zwrotu zawłaszczonego kościoła św. Marii Magdaleny; o kulcie bł. Jakuba Strzemię, o świętych i błogosławionych archidiecezji lwowskiej w jej 630-letniej historii oraz o świątobliwej postaci naszych czasów, ks. Henryku Mosingu; o lwowskim kościele i klasztorze ss. Brygidek oraz o kościele w Bohorodczanach.

Oczywiście sporo tematyki religijnej i artykułów o aktualnych wydarzeniach w Kościele lwowskim.

➔ Wielką satysfakcję i przyjemność sprawiają nam czasopisma – w szczególności specjalistyczne z różnych dziedzin – które choć z samej swej istoty nie mają żadnych szczególnych powiązań z Ziemią Wschodnimi (jak dwa wyżej przytoczone), poświęcają tym ziemiom sporo miejsca i życzliwych materiałów. Oto mamy przed sobą **pismo Adwokatury Polskiej „Palestra”** (wydaje Naczelna Rada Adwokacka, Warszawa), którego numer z IX–X 2006 zawiera całą serię interesujących nas artykułów.

W dziale *Lwowskie rocznice* znajdujemy trzy artykuły:

- prof. Kazimierz Karolczak (AP Kraków), *Polska pamięć o Lwowie*
- dr Adam Redzik (Warszawa), *Z dziejów adwokatury lwowskiej*
- doc. Marian Mudryj (Lwów) i A. Redzik, *Historie Lwowa, czyli miasto w cieniu granic*.

W dziale *Sympozja, Konferencje* A. Redzik omawia VIII Międzynarodową Konferencję Naukową *Lwów: miasto-społeczeństwo-kultura* (Lwów, maj 2006), zaś w dziale *Miejsce w historii* Marek Sołtysik (Kraków) pisze o wybitnym krytyku lwowskim: *Niewygodny Ostap Ortwin*. W dziale *Po lekturze* mec. Andrzej Bąkowski relacjonuje: *Armia Konna Budionnego w Polsce w 1920 r. w „Dzienniku” Izaaka Babla*.

Warto zwrócić uwagę, że wszystkie pozostałe artykuły w omawianym numerze „Palestry” (oczywiście większość) dotyczą wyłącznie problematyki fachowej – prawnej,

zawodowej, organizacyjnej itp. Lwów to jedyny temat, który poza to wychodzi. Dziękujemy!

➔ W sierpniowym dodatku „Turystyka” do GW (2006) znalazły się obok siebie dwa – poniekąd uzupełniające się – artykuły. W pierwszym, *Od Adasia do pani Stefy*, P. Janczarek **opisuje sympatycznie swoje poznanie Lwowa** – polskiego Lwowa. Trafia się parę niezbyt groźnych błędów\*, ważne jednak to, że autor solidnie zapoznał się z literaturą przedmiotu, chyba szerszą niż same przewodniki, a zebrane informacje – nie tylko o czołowych zabytkach – prezentuje czytelnikowi. Choćby to, że tramwaj elektryczny zaczął jeździć we Lwowie w 1894 r., gdy w większej Warszawie w 11 lat później (1905)\*\*.

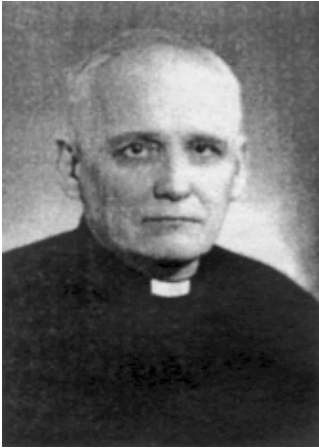
Drugi artykuł – to K. Surmiak-Domańskiej *Ukraiński spleen*, który obnaża bezliźnie sytuację, z jaką spotyka się turysta na tamtym terenie: stan dróg i obsługa w lokalach. Mimo tego nie ukrywa zachwyty nad Żółkwią, Lwowem czy Starym Siołem...

\* Np. kamienica nie *Speichera*, lecz *Sprechera*.

\*\* Dla uzupełnienia: nie należy bynajmniej przypisywać tej zasługi Austrii. Wprowadzenie tramwaju elektrycznego we Lwowie było związane z Wystawą Krajową we Lwowie w roku 1894, która prezentowała osiągnięcia polskiego, autonomicznego (od lat 1860.) kraju Galicji-Małopolski, zarządzanej na wszystkich szczeblach przez Polaków (o lwowskiej Wystawie – patrz CL 2/95).

➔ W „Gazecie Lwowskiej” 15/06 znajdujemy wspomnienie Stanisławy Nowosad **o profesorze-lekarzu i zarazem księdzu in pectore Henryku Mosingu** (1910–99), postaci w powojennym Lwowie, która domaga się pośmiertnego wyróżnienia. Omawia Jego pracę i osiągnięcia zawodowe oraz niezwykłą – podczas licznych podróży po całym obszarze imperium ZSRR – działalność wśród Polaków-katolików. Wspomina lata we Lwowie:

[...] *Było kilka zaufanych domów, gdzie gromadzono się przy zasłoniętych oknach, w najgłębszym sekrecie. Prowadził tajny Instytut Wikariatu pod wezwaniem św. Wawrzyńca, gdzie wychowywał, kształcił młodych ludzi – kandydatów do stanu kapłańskiego.*



Były to szczególnie komplety, biorąc pod uwagę Jego wielką erudycję, bogatą osobowość, głęboką religijność i zrozumienie stanu duchownego. Będąc człowiekiem stałą, głęboką, wewnętrzną modlitwą, w sposób szczególny wszczerzył to swoim wychowankom. Wielu doprowadził do kapłaństwa, zbierając bogate

żniwo jeszcze za życia. Jego wychowankowie okazali się kapłanami nadzwyczaj godnymi. Wśród nich – jeden otrzymał sakrę biskupią, inny, z pieczętowitością i troską najczulszej matki, służył Mu w Jego chorobie do końca. Męczeństwo, o którym mówił często (chyba o nim marzył), spełniło się na Nim [...]

## UCRAINICA

➔ W „Dzienniku Polskim” 92/06 T. Kułakowski w artykule *Słowianofil z Zaporozża* przedstawia postać młodego lektora języka polskiego, krakowianina i absolwenta UJ, Wojciecha Zwolińskiego, który osiedlił się... w Zaporozżu i tam oddaje się swoim pasjom słowianofilskim. Z długiego i ciekawego artykułu – w którym **nie brak odniesień do Lwowa** – przepisujemy trzy charakterystyczne fragmenty (podkreślenia dokonane przez Redakcję CL).

*Lwów i Zaporozże tylko formalnie należą do jednego państwa. Przedwojenny Lwów był miastem wielokulturowym, leżącym w tym samym kręgu cywilizacyjnym co Kraków – z niemieckim średniowieczem, włoskim renesansem. Zaporozże powstało jako rosyjska osada obronna, przekształcona z czasem w miasto hut stali. Lwów kołaczę do wrót Europy, w Zaporozżu tętni przemysłowe życie. [...]*

*Ukrainy położonej po lewej stronie Dniepru nie można umieścić w kręgu kulturowym, w którym znajduje się prawobrzeżna część kraju. Rusyfikacja, później sowietyzacja Ukrainy przesuwająca się przez 300 lat stop-*

*niowo w kierunku Europy. We Lwowie częściej usłyszymy język rosyjski niż w Zaporozżu ukraiński, którym nikt nie posługiwał się od czasu Kozaków. [...] Dlatego pomarańczowa rewolucja odniosła sukces, ponieważ wygrała zakorzeniona w Europie Ukraina zachodnia. Lecz rewolucja jest już historią. [...]*

*Znowu nasuwa się porównanie Lwowa i Zaporozża. We Lwowie Polak czuje się jak w Krakowie, choć wyraźnie wyczuwa wschodniosłowiański klimat. Świadczy o nim bałagan, wszechobecni handlarze, rozklekotane marszrutki. [...] W Zaporozżu klimat jest ten sam, lecz dominuje beton, szare bloki, dziury w jezdniach oraz dymiące kominy hut stali.*

## ANTYPODY

➔ W kwietniu ubiegłego roku minęła 765. rocznica bitwy pod Legnicą (1241), kiedy to rycerstwo polskie pod wodzą księcia piastowskiego Henryka Pobożnego rozbiło Tatarów, którzy przeszedłszy całą Polskę, tu dopiero zostali zatrzymani. Bitwa ta miała historyczne znaczenie, bowiem Tatarzy-Mongołowie po opanowaniu i podporządkowaniu sobie na kilkadziesiąt lat Rusi Kijowskiej oraz nieustających najazdach na ziemie polskie – szczególnie wschodnie, najbliższe Rusi, zaanektowane w 981 r. przez księcia kijowskiego Włodzimierza – rozpoczęli dalsze wyprawy, zagrażające Europie.

Henryk Pobożny, książę wrocławski, krakowski i wielkopolski (syn Henryka Brodatego) w zasadzie poniósł klęskę w bitwie z Tatarami i zginął, jednak pochód Tatarów ku Europie tu się zakończył. Znaczenie tej bitwy można porównywać z bitwą pod Wiedniem w 1683 r., kiedy wojska pod wodzą Jana Sobieskiego powstrzymały pochód Turków na Europę. Te dwa przede wszystkim (ale i liczne inne) zyskały Polsce miano przedmurza chrześcijaństwa, dziś wykiwane nawet przez określone środowiska w Polsce (nie tylko z kręgów komunistycznych). Jest bowiem oczywiste, iż chrześcijaństwo należało utożsamiać z kulturą i dorobkiem cywilizacyjnym Europy (ściślej jej części o korzeniach łacińskich, do których Polska się zalicza).

Z okazji wspomnianej rocznicy przybyli z RFN do Legnicy przedstawiciele sześciu zniemczonych z czasem rodów śląskich, a więc legitymujących się zapewne korze-

niami polskimi. Świadczy o tym brzmienie nazwisk pięciu z nich: Nostitz, Pritwitz, Seidlitz, Strachwitz i Zedlitz (każdrazowo von), sugerujących – mimo zniekształcenia – pochodzenie z miejscowości o końcówkach -ice. Innym wyjaśnieniem może być forma *odjocowska*, typu *Bolkowic* lub tp.

Całkiem podobne zjawisko – choć z innych przyczyn – istniało w Małopolsce

Wschodniej: polska szlachta zagrodowa, która przez brak dbałości ze strony ziemiaństwa i kleru – żyjąc wśród Rusinów i korzystając wobec braku kościołów z cerkwi – uległa *rutenizacji*. W latach międzywojennych podejmowano próby jej repolonizacji, było to jednak dzieło zakrojone na wiele dziesięcioleci. Nie starczyło czasu...

I tak u nas ze wszystkim.

## Listy do redakcji



W CL 3/06 (s. 66) pisaliśmy o dwujęzycznym tomiku poezji Beaty Obertyńskiej, wydanym we Lwowie.

Wyraziliśmy podejrzenie, że zacytowany przez nas wiersz „Śmierć domu” został skrócony o jakąś początkową zwrotkę. W związku z tym napisała do nas p. Barbara Czartoryska:

[...] Z zainteresowaniem przeczytałam informację o ukraińskim wydaniu wierszy Beaty Obertyńskiej. W Polsce wyszły jeszcze „Liryki najpiękniejsze” w serii poetyckiej Algo (Toruń 1999). Cytowany wiersz znalazłam w zbiorze „Miód i piolun” (wyd. przez Veritas w Londynie w roku 1972) – wiersz zaczyna się i kończy tak jak opublikowany w CL, a więc nie ma innej pierwszej zwrotki. W zbiorze tym wiersze nie są datowane i nie są uzupełnione komentarzem nt. powstania.

W 2005 r. „Czytelnik” wydał jej wspomnienia z pobytu „na białych niedźwiedziach” – od wywózki ze Lwowa przez Brygidki, łagier, kolchoz – do Pahlevi. Zawiera kilka wierszy „syberyjskich”. Jest to wstrząsająca i przepiękna poetycka relacja, inna od wszystkich. Niestety względy bezpieczeństwa (podstawą wydania jest pierwsze, które ukazało się w 1946 r. we Włoszech, autorka nie chciała dekonspirować przyjaciół) zmusiły autorkę do „zaszyfrowania” występujących osób, szczególnie we Lwowie 1939/40, więc tylko przyjaciele mogą rozszyfrować kto jest kto.

Gratuluje zawsze ciekawego pisma. [...]

Bardzo dziękujemy za to wyjaśnienie. Pozostaje przekonanie, że Obertyńska zdała się na domyślność odbiorców jej wiersza,

co do sprawców grabieży i dewastacji pałacu w Tarnogórze.

Pisze p. Krzysztof Szolginia z Warszawy:

W kwartalniku „Cracovia-Leopolis” nr 2/2006 ukazał się zapis rozmowy Janusza M. Palucha z prof. Andrzejem Żakim, w której został wspomniany mój Ojciec. Cytuję:

(...) Był rok 1951, kiedy w miejscowości Wietrzno-Bóbrka w Karpatach, gdzie prowadziłem wykopaliska, zrodziła się tzw. Karpacka Ekspedycja Archeologiczna. Uczestniczyli w niej znakomici później badacze [...]. Był wśród nich także późniejszy profesor Politechniki Warszawskiej Witold Szolginia!

Ale przecież Szolginia nie był archeologiem!

On był wtedy studentem architektury i pracował jako robotnik fizyczny, opowiadając jakże barwnie o swych wojennych przygodach. (...)

W przytoczonym fragmencie wywiadu znalazło się trochę nieścisłości:

1. Ojciec nie uczestniczył w tych wykopaliskach.
2. W 1951 roku nie był już studentem (dyplom magistra inżyniera architekta otrzymał na Politechnice Krakowskiej w 1950 roku), mieszkał już i pracował w Warszawie.
3. Ojciec ani nie był profesorem, ani nie pracował na Politechnice Warszawskiej (doktoryzował się i habilitował na Politechnice Krakowskiej; po studiach pracował w Instytucie Techniki Budowlanej w Warszawie, a potem w latach 1952–1990 w Instytucie Urbanistyki i Architektury w Warszawie, który potem dwukrotnie zmienił nazwę [...]).

Najprawdopodobniej chodzi tu o młodszego brata Ojca – Lesława, wówczas studenta ASP w Krakowie, późniejszego magistra konserwacji zabytków, znanego z „barwnych opowieści”.

Bardzo dziękujemy za te sprostowania i zarazem przepraszamy za opóźnione ich

*zamieszczenie. Trudno dać sobie radę z nawałem pracy, a ostatni okres był szczególnie trudny. Proszę więc nie mieć nam za złe. Serdecznie pozdrawiamy.*

*Pan Antoni Godwod z nadesłał bardzo ciekawy list, który prostuje i uzupełnia informacje zawarte w artykule pt. „Z Estonii w lwowskie Roztocze”, zaprezentowany w CL 2/04.*

Z zainteresowaniem przeczytałem Pana tekst opisujący losy moich przodków i krewnych. Mam jednakże kilka uwag merytorycznych i uzupełnień.

1. Rodzina Krusensternów ma korzenie niemieckie, owszem. Średniowieczna proveniencja to jednak zbyt dużo powiedziane. Najdawniejsze dane dotyczą XVI w. Nobilitacja miała miejsce w 1650 r. w Szwecji. Pierwotne brzmienie nazwiska to Krause. Podczas nobilitacji zmieniono je na Kruus, ponieważ jednak jakaś rodzina zgłosiła pretensje, doszło do zmiany na Krusenstjerna. Dopiero admirał i jego potomkowie, a także niektórzy potomkowie braci admirała (do których należy ciotka Maria Miedzianowska) używali i używają wersji Krusenstern.

2. Spotkania rodzinne odbywają się w różnych miejscach, także w Kalmarze, na zmianę w Niemczech i Szwecji.

3. Żaglowiec Krusenstern nie został zakupiony na Zachodzie, lecz przeszedł na rzecz ZSSR w 1946 r. w ramach reparacji wojennych. Z „Padua” został przemianowany na „Krusenstern”.

4. *Krusensternowie bynajmniej się nie zrusyfikowali, skłaniali się raczej ku Polsce.* Warto tu wspomnieć, iż istniała i istnieje rosyjska linia Krusensternów, potomków Admirała. Część Krusensternów przeszła na prawosławie (należy do nich senator Aleksander Krusenstern, budowniczy pałacu w Dojlidach, którego córka Zofia hr. Rydygier sprzedała wszystkie dobra w Polsce na wieść o odzyskaniu przez Polskę niepodległości i zamieszkała w Berlinie). Mój pradziad Paweł Krusenstern, ojciec wuja Jerzego Krusensterna (brata mojej babki), mieszkającego obecnie w Krakowie, mimo że urodzony w Warszawie i z matki Polki, Zofii Rozmarynowskiej, również z Polską związany się nie czuł, o czym świadczą decyzje w czasie II wojny. Można by jeszcze wiele na ten temat napisać. Generalnie podsumowałbym tę kwestię w taki sposób, iż polonizacja następowała, jednak dopiero pod koniec XIX w., w innych przypadkach dopiero w XX w., stąd porównanie z Platerami i Tyzenhauzami jest nietrafne. Na marginesie można dodać, iż nazwiska Krusenstern

nie znajdziemy w polskich herbarzach; [a w] rosyjskich, estońskich, szwedzkich – owszem.

5. Na temat rodziny O'Brien de Lacy, a w zasadzie de Lacy można dodać, iż zawędrowała w nasze strony dzięki carycy Katarzynie. W podziękę za zasługi cesarzowa podarowała gen. Maurycemu de Lacy majątek Augustówek koło Grodna. Pałac znajdujący się w majątku to dawny pałacyk myśliwski króla Stanisława Augusta. Po rozbiorach przeszedł na rzecz cesarstwa. Rodzina O'Brien de Lacy to potomkowie siostry generała – Lady Mary de Lacy i niejakiego Terence'a O'Briena. Ich syn, Patryk O'Brien de Lacy (urodzony i wychowany w Irlandii), przejął majątek po swoim wuju. Również w tym wypadku polonizację możemy datować na drugą poł. XIX w.

6. W świetle powyższego można stwierdzić, iż podsumowanie tekstu *Krusensternowie – jak inni potomkowie spolonizowanych rodów bałtyckich – Platerowie, Tyzenhauzowie czy O'Brien de Lacy – weszli do naszej historii jako wybitni obywatela i żołnierze*, jest prawdziwe, ale tylko w niektórych wypadkach.

7. Uwaga, iż jedynymi potomkami polskich Krusensternów (jak rozumiem po mieczu) są mój wuj Jerzy oraz jego synowie, jest nieściła, gdyż oprócz dwóch synów wuj ma trzy córki. Myślę, że należałoby w tekście dodać „po mieczu”, gdyż w genealogii potomek to tyle co zstępny w języku prawnym, a ten – jak wiadomo – może odnosić się zarówno do kobiety, jak i mężczyzny.

Z zainteresowaniem będę oczekiwał na Pana artykuły o podobnej tematyce.

*Okazuje się więc, że niektóre zawarte w artykule informacje były nieścisłe, jednak – na nasze usprawiedliwienie – opieraliśmy się na udzielonych przez Rodzinę materiałach. Panu Antoniemu serdecznie podziękowanie.*

*Bardzo istotne uzupełnienia do artykułu o jednostkach wojskowych we Lwowie, zawartego w CL 4/06, nadesłał p. Andrzej Pawłowski.*

Przeczytawszy niezwykle ciekawe *Wspomnienia patriotyczne* p. Adama Trojanowskiego, chcę to wspomnienie uzupełnić i troszkę skorygować. Autor wyliczając jednostki Wojska Polskiego stacjonujące we Lwowie przyznaje, że nie pamięta, gdzie stacjonowała artyleria. Otóż we Lwowie stał 5 lwowski Pułk Artylerii Lekkiej (5 pal) i 6 Pułk Artylerii Ciężkiej (6 pac). Miejscem postoju dowództwa 5 pal, I i II dywizjonu, były koszary im. gen. Bema (do listopada 1918 r. ko-



szary Ferdynanda). Usytuowane były pomiędzy ulicami Bema, Janowską i Gródecką. III dywizjon stacjonował w koszarach przy ul. Arciszewskiego na pobliskim Kleparowie, a nie, jak przypuszcza p. Trojanowski, na Kulparkowie. 5 pal posiadał na uzbrojeniu armaty 75 mm i haubice 100 mm. Święto pułkowe to 7 listopada, na pamiątkę wystrzelenia w dniu 7 XI 1918 r. przez I lwowską baterię – protoplast 5 pal – pierwszych pocisków na pozycje ukraińskie na Cytadeli w czasie Obrony Lwowa. Warto wspomnieć też, że na lawecie armatniej 5 pal zostały przewiezione zwłoki Nieznanego Żołnierza, wylosowane z pobojowiska lwowskiego, z Cmentarza do Katedry i z Katedry na dworzec główny w dniach 30 i 31 października 1925 r. Jak wiadomo, grób Nieznanego Żołnierza w Warszawie na placu Marszałka Józefa Piłsudskiego kryje zwłoki żołnierza poległego w walkach o Lwów.

6 pac kwaterował w koszarach Czerwony Klasztor przy ul. Teatyńskiej 6, gdzie mieściło się dowództwo pułku i I dywizjon. II dywizjon miał swoje koszary na Filipówce przy ul. Torosiewiczza. Kadra baterii zapasowej i magazyny pułku mieściły się przy ul. Kopcowej. Święto Pułku obchodzono 21 kwietnia. 30 XI 1938 r. Ministerstwo Spraw Wojskowych nadało pułkowi nazwę Pułk Artylerii Ciężkiej Obrońców Lwowa. Uzbrojenie stanowiły 4 baterie armat 105 mm i 2 baterie haubic 155 mm.

Tak więc na defiladach można było oglądać tylko działa o kalibrze 75, 100, 105 i 155 mm. Pan Trojanowski myli się, podając że zaprzęgi końskie ciągnęły działa o kalibrze 350 mm. Przy okazji informuję, że na wyposażeniu armii polskiej w okresie międzywojennym działami o największym kalibrze były moździerze 220 mm. Co do defilad – doskonale to pamiętam – defiladę otwierał trębacz orkiestry ułańskiej na białym koniu. Pierwsza defilowała kawaleria (14 Pułk Ułanów Jazłowieckich), następnie piechota, artyleria, broń pancerna (tankietki). Oczywiście każdy oddział wojska poprzedzał poczet sztandarowy. Sztandarom oddawano cześć. Osoby w mundurach salutowały, mężczyźni cywile zdejmowali nakrycia głowy. Dzisiaj nawet wojskowi czy policjanci tego nie czynią – niestety. Kadeci nieśli swój sztandar – chorągiew oddziału powstańczego z roku 1863, na którym widoczne były przestrzeliny od kul moskiewskich. We wszystkich defiladach, które oglądałem – stojąc zawsze na placu Mariackim przed kamienicą nr 7, w której znajdował się sklep galanteryjny mego dziadka i ojca – brali również udział weterani Powstania Styczniowego. Ci maszerujący starszankowie – niektórzy podpierający się laskami – byli pozdrawiani spontanicznie, hucznymi oklaskami.

Lwów był również siedzibą broni pancernej. Jeszcze w latach dwudziestych ub. wieku stacjonował w Lwim Grodzie 4 Szwadron Samochodów Pancernych. Po kolejnych reorganizacjach i zmianach nazw – od 1935 r. jednostka uzyskała nazwę 6 batalionu pancernego. Batalion był jednostką szkolną i zarazem bazą materiałów technicznych i uzupełniającą dla mobilizowanych bojowych oddziałów pancernych. Batalion stacjonował w trzech obiektach: po dwóch stronach ulicy B. Pierackiego (dawna ul. Na Błonie) i po obu stronach ul. Janowskiej, gdzie mieścił się m.in. sztab batalionu. Trzeci usytuowany był w okolicach pl. Bema, przy skrzyżowaniu ulic Bema i Kordeckiego. Batalion liczył 90 wozów bojowych, w tym 73 czołgi rozpoznawcze TKS i 17 samochodów pancernych wz 34-II. W maju 1938 r. batalion otrzymał sztandar z rąk ówczesnego ministra Spraw Wojskowych, gen. Tadeusza Kasprzyckiego. Po wojennych peregrynacjach sztandar ten znalazł się w Wielkiej Brytanii. Obecnie jest przechowywany w Instytucie Historycznym i Muzeum im. gen. Władysława Sikorskiego w Londynie.

Dane o pułkach artyleryjskich zaczerpnąłem z nast. pozycji:

1. Piotr Zarzycki, *5 Lwowski Pułk Artylerii Lekkiej*. Oficyna Wydawnicza „Ajax”, Pruszków 1996
2. Piotr Zarzycki, *6 Pułk Artylerii Ciężkiej Obrońców Lwowa*. Oficyna Wdawnicza „Ajax”, Pruszków 1997
3. Eugeniusz Kozłowski, *Wojsko Polskie 1936–1939*. Wydawnictwo MON, Warszawa 1964
4. Antoni Nawrocki, *Pancerni ze Lwowa*. „Semper Fidelis” 5/2001.

*Bardzo dziękujemy za te cenne informacje.*

*Pani Magdalena Kubiak, doktorantka z Uniwersytetu Gdańskiego, pisze pracę na temat polskiej dramaturgii emigracyjnej, a część tej pracy dotyczy pisarzy pochodzących ze Lwowa i emocjonalnie bardzo związanych z tym miastem – m.in. Mariana Hemara i Wiktora Budyńskiego. Pani Magdalena pisze:*

[...] O twórczości Mariana Hemara pisałam zresztą już wcześniej w swojej pracy magisterskiej. Z przyczyn niezależnych od poprzedniego wydawcy moja praca magisterska nie została wydana w całości. W związku z tym szukam wydawcy, który zechciałby wydać w formie książkowej pracę pt. *Droga bez powrotu. Krajowe*

i emigracyjne komedie Mariana Hemara. Byłabym także wdzięczna, gdyby zgodzili się Państwo wydać chociażby jeden rozdział tej pracy – to znaczy jej część biograficzną lub też interpretacyjną o wybranej komedii Hemara w formie osobnego artykułu. Mam też do zaoferowania tekst o twórczości dramatycznej Wiktora Budzyńskiego, innego słynnego lwowiaka, twórcy „Wesołej Lwowskiej Fali”. Będzie to nb. rozdział przygotowywanej właśnie przeze mnie pracy doktorskiej. [...]

*Droga Pani, najbardziej interesowałby nas tekst o twórczości Budzyńskiego, ponieważ o nim najmniej pisaliśmy (w przeciwieństwie do Hemara). Tekst nie może być zbyt długi – jeśli zna Pani nasz kwartalnik, to jest Pani zapewne zorientowana, co jesteśmy w stanie wydrukować. I jeszcze jedno: musimy uczciwie zastrzec, że publikowane teksty nie są u nas honorowane, podobnie jak wszystkie czynności redakcyjne.*

*Bardzo dziękujemy za propozycję i pozdrawiamy.*

## NOWY ALBUM O MONASTERZYSKACH

Pan Zbigniew Żyromski informuje ekspatriantów z Monasterzysk i okolic oraz Miłośników Ziemi Wschodnich, że ukazał się nowy album pt.

### *Monasterzyska po latach*

zawierający na 32 stronach A5 z kartonową okładką – ok. 70 kolorowych zdjęć miasta i sąsiednich miejscowości, wykonanych w latach 2000–2006. Każda ilustracja opatrzona jest historycznym komentarzem.

Koszt albumu wynosi 20 zł, zaś przy wysyłce pocztowej + 2 zł. Album można zamawiać pod adresem: Zbigniew Żyromski, 51-661 Wrocław, ul. Sempolowskiej 69/7

## LWÓW I BUKOWINA

*dokończenie ze s. 50*

prawo do zwolnienia od ciężkiej pracy przy wyrębie lasu. Nikt z mężczyzn na to się nie zdecydował. Nie z powodu strachu przed karą, ale nawet w tych przerażających warunkach życia potrafili zachować ludzkie uczucia. Nikt nie wziął grzechu na swą duszę, więc zdesperowany wykonał to sam. Jak mu się to udało, nikt nie widział (chodzący słuchy, że pomogła mu w tym zaprzyjaźniona kobieta, ale głośno o tym nikt nie mówił, nie chciano jej narażać na karę), lecz to wydarzenie stało się faktem. Jedni współczuli mu, drudzy podziwiali męstwo, bo nie każdego stać było na taki czyn. Lecz on czuł się szczęśliwy, bo mógł do wiosny pobyc w ciepłym lazarecie z nieco lepszym wiktem, a później liczyć na lżejszą pracę. Żeby nie zginąć z głodu, ludzie zjadali wszystko co można było znaleźć w lesie, nawet korę z drzew. Jednej zimy zjedzono

nawet zamrożoną koninę, wygrzebaną spod śniegu, pamiętając miejsce zakopania zdechłego konia miejscowego chłopca. Będąc w znowiu z felczerem z lazaretu, otrzymywali od niego wnętrzości ludzkie po sekcji, gotowali je i zjadali.

Tak było na Sybirze (przyczytałam tylko niektóre fragmenty z opowiadań ojca. O całej gehennie ludzkiej na Sybirze może napisać całą prawdę tylko świadek naoczny), a w domu co dnia modlono się o zdrowy powrót ojca.

*Dokończenie  
w następnym numerze*

\* Tak napisano w zachowanym nekrologu.

\*\* Dowodem nekrolog w językach niemieckim i rumuńskim.

\*\*\* Emil Biedrzycki, *Historia Polaków na Bukowinie*, s. 184.

\*\*\*\* Pozwalano na 8-kilogramową paczkę dwa razy na miesiąc. Wysyłano salami, słoninę, smalec, cebulę, czosnek, tran, makarony, topione masło, cukier, ryż, mąkę, mleko w proszku, kakao, czekoladę, mielone orzechy z cukrem, masłem i mlekiem, miód, oczyszczone orzechy, suszone śliwki.

Osobnym tematem są czasopisma kresowe, z „Rocznikiem Lwowskim” J. Wasylkowskiego na czele. Nie można pominąć edycji i wznowień starszych pamiętników oraz albumów fotograficznych.

**3.** Ktoś więc zapyta: Skoro tak szerokie grono naukowców zespołowo i indywidualnie prowadzi tematy kresowe, jaki miałby być cel powoływania całego instytutu? A wymieniliśmy wszak głównie te, które interesują się Małopolską Wschodnią, gdy równocześnie istnieją dalsze, których obszarami zainteresowania są inne jeszcze ziemie związane z Polską międzywojenną (z Wileńszczyzną na czele) oraz Rzeczpospolitą przedzoborową.

Odpowiedzi jest kilka. Pierwsza: to, co wymieniliśmy, to *kropla w morzu* problematyki historyczno-kulturowej, realizowanej dla innych części dawnej Polski. Mimo wysiłków wiele tematów pozostaje nietkniętych (albo traktowanych wycinkowo), i to właśnie – te b i a ł e p l a m y – dają okazję do przemilczeń bądź zafałszowań (nie wyłączając zwykłej ignorancji). Wystarczy wziąć do rąk przewodniki turystyczne produkowane poza naszym krajem (także po polsku). I niech nikt nie mówi, że także nasze opracowania mogą być nie w pełni prawdziwe – tylko w odwrotną stronę. Otóż nie ma niczego takiego – przeciwnie, możemy mieć nawet pretensję do niektórych krajowych autorów i wydawnictw, że zbyt daleko posuwają się w „poprawności politycznej”, nie dysponując ani odpowiednią wiedzą, ani wyczuciem (wcale nie posądzając o złe intencje). Skąd jednak mają mieć pełną wiedzę i wycucie, skoro kresowa literatura jest ciągle skromna, a ta, która powstała, dotyczy raczej problemów wycinkowych. Czy można znaleźć coś – poza przyczynkami w czasopiśmie – na temat prapolskich Łędzian, o napływie ludności ruskiej i permanentnej rutenizacji ludności polskiej\*\* i wołoskiej, o demografii i życiu społeczno-narodowym polskiego ludu w czasach przedzoborowych, nawet o polskim folklorze? O ujęciach całosciowych prezentujących p r a w d ę na razie nie ma mowy.

Od strony podaży literatury naukowej o Kresach na użytek ludzi zainteresowanych nie tylko profesjonalnie: popatrzmy na półki w księgarniach typu naukowego (przykładem Księgarnia im. B. Prusa na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie). Jaki procent tytułów dotyczy Kresów? Ile monografii historycznych miast\*\*\*\*? Czy w ogóle można znaleźć bibliografię literatury wydanej i inwentaryzację niewydanej, obecnej w archiwach? Dla czasów współczesnych: czy podjęto studia nad działalnością organizacji kresowych po obu stronach granic? To tylko przykłady.

Odpowiedź druga: zainteresowanie Kresami stanowi w dzisiejszej sytuacji całkowicie osobisty problem odnośnych naukowców, a powodów może być kilka – od „korzeni” kresowych poczynając. Jednak czas biegnie, ich uczniowie i następcy nie muszą się już czuć związani *na zawsze* z problematyką kresową. Ich wiedza – a jeszcze bardziej w y c z u c i e – w tym zakresie będą miały tendencję zniżkową, a nie wyżkową, inaczej być nie może. Bezinteresownych entuzjastów będzie coraz mniej, to nieuchronne.

Odpowiedź trzecia: z wymienionych względów naukowcy uprawiający problematykę kresową nie stanowią środowiska profesjonalnego, są o s o b n i. Nie istnieje żadna platforma, na której mogłoby dochodzić do profesjonalnych kontaktów (poza całkiem prywatnymi), dyskusji, współpracy, skoordynowanych działań, nie tylko badawczych. W efekcie osiągnięcia badawcze jakby zawisają w próżni, bo nie wykorzystując rezultatów równoległych badań, nie posuwają ani o krok c a ł o k s z t a ł t u dzisiejszej wiedzy o Kresach\*\*\*\*, nie umożliwiają wprowadzenia w obieg tych rezultatów do kanonu literatury naukowej, podręczników szkolnych itd. Dokonać tego może tylko instytucja o uznanej pozycji i autorytecie.

**4.** Rozwiązywanie wymienionych problemów może ułatwić, albo wręcz umożliwić, odpowiedni instytut, tak jak to się dzieje w licznych dziedzinach życia naukowego. Instytut buduje własny potencjał i doświadczenie, a poza własnym zespołem naukowym nawiązuje kontakty z ludźmi i środowiskami o podobnych zainteresowaniach. Organizuje kontakty i współpracę, dorabia się autorytetu, ten zaś pozwala na zabieranie głosu i działania na wielu polach.

Wedle inicjatywy *krakowskiej*, popartej przez licznych przedstawicieli polskiej kultury, byłby to Instytut Polskiego Dziedzictwa Historii i Kultury Kresów Wschodnich, obejmujący całokształt problematyki kresowej tak w sensie merytorycznym, jak i geograficznym. Przygotowano obszerny program, określający zadania Instytutu, jego strukturę, przykładową tematykę badawczą, uwzględniającą wagę, rozległość i różnorodność problematyki. Inicjatorzy doszli do przekonania, że najkorzystniejsze byłoby oparcie Instytutu o potencjał Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu, zyskując wstępną zgodę jego Dyrektora. Oczekuje się jednak na zakończenie budowy obiektu, w którym znajdzie pomieszczenie kilka instytucji ossolińskich, w tym omawiany Instytut.

\* \* \*

W poprzednim numerze (CL 4/06, *Słowo od Redakcji*) poinformowaliśmy – a tu tylko przypominamy – że ostatnio zaczęła w Warszawie działać (?) instytucja pod nazwą *Instytut Kresowy*. Donosiły o tym parokrotnie z końcem ub. roku tylko warszawskie dodatki do „Rzeczypospolitej” i „Gazety Wyborczej”, co oznaczałoby, że chodzi o inicjatywę lokalną, a nie ogólnopolską. W pierwszym przeczytaliśmy:

[...] *Instytut ma gromadzić dokumenty, badać historię i kulturę Kresów Wschodnich oraz upowszechniać wiedzę o polskich repatriantach*. I dalej: *Planuje zbiorckę pamiątek kresowych i wydanie biuletynu*. [...] *W dalszej perspektywie – utworzenie multimedialnego muzeum – na wzór Muzeum Powstania Warszawskiego*. [...]

*Inicjatywie przyklaskują organizacje kresowe. – Ten instytut ma służyć zachowaniu pamięci o wielkim dziedzictwie kultury kresowej* [Tomir Sołtan, szef Federacji Organizacji Kresowych]. *Kto ma polskie serce, poprze ten projekt* [Czesław Cywiński, szef Światowego Związku Żołnierzy AK].

A więc piękne słowa, choć enigmatyczne, na razie mało treści. Była i taka wypowiedź: *Chciałbym, żeby nie skończyło się tylko na pracy naukowej. Instytut powinien żyć! Widać nauka w życiu przeszkadza, więc autora tych słów nie wymieniamy (...wstydu oszczędź!)*.

Na merytorycznych twórców IK powołano Roberta Wyszyńskiego, socjologa z UW (który dotąd zajmował się podobno deportowanymi), i Urszulę Majewską, doktorantkę w zakresie prawosławia (!). Jaki jest więc ich bagaż wiedzy o Kresach, o wielowiekowych dziejach tej ziemi? Ciągłe brak mocnego fundamentu, przynależnego samej idei instytutu. Trzeba zaczynać od zera... A może to niepotrzebny bagaż, skoro wśród tematyki wymienia się problemy popularne czy popularnonaukowe, więc – jak na instytut – raczej marginalne? A może pod słowem *instytut* rozumie się coś całkiem innego? To słowo – jak wiele innych – też bywa nadużywane...

Dodajmy że w GW zauważono, iż *pomysł jest szczytny, ale należy się skupić na budowie mostów i dróg, bo to zaniedbała rządząca miastem przez ostatnie cztery lata ekipa PiS...*

\* \* \*

Reasumując, nie jesteśmy pewni, czy proponowana w Warszawie instytucja (koniecznie instytut?) odpowiada oczekiwaniom. Nie znamy jeszcze programu i nie wiemy, kto go będzie układał. Kto dokona określenia preferencji wśród wielu możliwych dróg działalności, kto je będzie realizował? Jaki będzie potencjał profesjonalny i intelektualny przyszłych pracowników naukowych? Uczulamy na kwestię postawy przyszłej kadry – tego tematu nie będziemy rozwijać w tym miejscu. *Sapienti sat*.

Nam jednak bliżej do Wrocławia.

---

\* Omawiana parokrotnie na łamach CL idea powołania Instytutu Polskiego Dziedzictwa Historii i Kultury Kresów Wschodnich, ostatnio – *Słowo od Redakcji* w CL 4/06.

\*\* Ani słowa o tym w nowo wydanym tomie *Dzieje Kresów* (Kraków 2006?). O stosunku ilościowym napisano jedynie w odniesieniu do początku XIX w.: Rusinów 60%, Polaków mniej niż 30%. To jest informacja niepełna, nieuwzględniająca rutenizacji, wynika głównie z braku kościołów rzymskokatolickich.

\*\*\* Np. dla Małopolski Wschodniej 5–6, wobec zapotrzebowania dla miast historycznych i pewnej liczby wsi – około stu.

\*\*\*\* Przykładem wymieniona wyżej książka.

# LUDZIE W „CRACOVIA-LEOPOLIS” (9) R O C Z N I K 2 0 0 6

Poprzednie listy znalazły się w numerach: 4/98, 1/2000, 4/2000, 4/01, 1/03, 1/04, 4/04, 4/05.

Lista zawiera nazwiska osób, których dane biograficzne znalazły się w artykułach i notkach. Tłustym drukiem wyróżniono nazwiska osób, o których napisano całe artykuły (w tym *Sylwetki* i wywiady), a drukiem zwykłym notki biograficzne i okazjonalne wzmianki (także w przypisach do artykułów – o ile zawierają dane biograficzne).

<b>Antoniewicz-Bołoz Karol, ks.</b>	<b>3/06</b>	Kostuch Bożena	1/06
<b>Berg Irena</b>	<b>2/06</b>	<b>Krajewski Józef</b>	<b>3/06</b>
Breit Henryk	3/08	<b>Kratochwil Maria Antonina, s.</b>	<b>1/06</b>
<b>Bruchnalski Wilhelm</b>	<b>3/06</b>	Krzemień Romana	3/06
<b>Brydziński Wojciech</b>	<b>3/06</b>	Madeyski Jerzy	1/06
<b>Bryła Stefan</b>	<b>1/06</b>	Majchrzycka Wanda	3/06
<b>Buczowski Leopold</b>	<b>3/06</b>	Mazanowska Wanda	4/06
Czarnik Oskar Stanisław	1/06	Mazanowski Józef Marian	4/06
Czartoryska Helena	3/06	Michałowska Alicja	4/06
<b>Domaszewicz Aleksander</b>	<b>2/06</b>	<b>Nikodemowicz Eugeniusz</b>	<b>4/06</b>
<b>Dublewicz Józef Ignacy</b>	<b>1/06</b>	<b>Olszewski Andrzej</b>	<b>1/06</b>
<b>Fastnacht Janina</b>	<b>1/06</b>	<b>Pawlikowska Aniela</b>	<b>1/06</b>
<b>Fedorowicz Ewa</b>	<b>4/06</b>	Piwowska Anna	2/06
<b>Habela Jerzy</b>	<b>2/06</b>	<b>Romanówna Janina</b>	<b>3/06</b>
<b>Hawling Lesław</b>	<b>2/06</b>	<b>Riedl, rodzina</b>	<b>1/06</b>
<b>Gluziński Tomasz</b>	<b>4/06</b>	<b>Stojałowski Stanisław, ks.</b>	<b>2/06</b>
<b>Górski Kazimierz</b>	<b>3/06</b>	<b>Teisseyre Roman</b>	<b>2/06</b>
Graniczka Mariusz	3/06	<b>Teisseyre, rodzina</b>	<b>2/06</b>
Grodziska Karolina	4/06	Ujejski Kornel	4/06
Jabłonowski Ludwik	4/06	<b>Węgier-Maksymowicz Kryst.</b>	<b>1/06</b>
Jasicka Irena	3/06	<b>Węgrzynowski Lesław</b>	<b>2/06</b>
<b>Jopek Stanisław</b>	<b>4/06</b>	<b>Winowska Janina</b>	<b>4/06</b>
Kilar Wojciech	4/06	<b>Żolnierzowa Helena</b>	<b>2/06</b>
Klimczak Władysław	1/06		

Niniejszy numer CRACOVIA-LEOPOLIS został wydany przy pomocy finansowej Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa. Redakcja składa serdeczne podziękowanie w imieniu Czytelników, Autorów i własnym

Czasopismo Oddziału Krakowskiego  
Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Redaguje zespół: Andrzej Chlipalski (redaktor naczelny), Barbara Kościk, Janusz M. Paluch  
Rada Redakcyjna: Andrzej Chlipalski, Barbara Czalczyńska, Ireneusz Kasprzysiak, Barbara Kościk, Romana Machowska, Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska, Barbara Szumska, Maria Taszycka, Danuta Trylska-Siekańska, Marta Walczewska

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich  
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: info@cracovia-leopolis.pl

Informacje o prenumeracie: Romana Machowska, tel. (12) 637 13 21

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, 294 15 28, e-mail: fall@fall.pl

Druk: Drukarnia Pijarów, 31-465 Kraków, ul. Dzińskiego 1, tel. (12) 413 76 51

Nakład 800 egz.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania srodtytulow. Artykulow niezamowionych redakcja nie zwraca.

Copyright by Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Słowo od Redakcji <b>JEDNAK WROCŁAW</b>	II	Proza Franciszek Jaworski <b>POHULANKA</b>	35
Felieton Barbara Czałczyńska <b>FELIETON PEŁEN SMUTKU</b>	1	Joanna Karpacka-Nasiek <b>BRODZIANIE NA OJCZYSTYM SZLAKU</b>	38
<b>MODLITWA NA 88. ROCZNICĘ W SPRAWIE JĘZYKA POLSKIEGO...</b>	2 3	Wspomnienie Ewa Nadachowska <b>DOM NA GÓRZE JACKA</b>	40
Adolf Wisłowski <b>KRÓTKA HISTORIA NISZCZENIA...</b>	4	Jadwiga Kuczabińska <b>LWÓW I BUKOWINA</b>	46
Łukasz Tomasz Sroka <b>CZEMŻE SIĘ POCHWALIĆ ZDOŁASZ...</b>	6	<b>Słownik geograficzno- -historyczny BEŁŻ ♦ BRUCHNAL ♦ JACKÓWKA ♦ LWÓW ♦ TABLICE PAMIĄTKOWE</b>	45
<b>ZADANIE DLA LWOWIAN...</b>	8	<b>Z żałobnej karty Romana Żukowa JUREK</b>	51
Tadeusz Krzyżewski <b>NASZE MIASTA W XVII wieku</b>	8	Leszek Wajda <b>ANNA MŚCIWUJEWSKA-WAJDA</b>	53
Jerzy Duda <b>TWIERDZE KRESOWE...</b>	10	<b>Z tamtej strony, PROBLEMY SPOŁECZNOŚCI POLSKIEJ...</b>	56
Piotr Marek Stański <b>KURTINY SIEMIRADZKIEGO...</b>	12	<b>W Krakowie i dalej ROZNIKA OBRONY LWOWA... NOWA SZKOŁA ORLĄT LWOWSKICH PIERWSZA ROCZNICA KANONIZACJI JUBILEUSZ NASZEGO PRZYJACIELA NOTATKI</b>	57 58 59 60 61
Joanna Mikosz <b>Z DZIEJÓW LWOWSKIEJ PRASY...</b>	14	<b>Sylwetki Barbara Szumska ANDRZEJ RYBICKI</b>	62
Naszym zdaniem <b>ZA DALEKO</b>	16	<b>Kultura ♦ Nauka ARCHIWUM ZBIGNIEWA HERBERTA... CO ZE SPUŚCIZNĄ PO PUCHALSKIM? KRONIKA</b>	63 63 64
Walentyna Węgrzyn-Klisowska <b>AUTOGRAFY S. NIEWIADOMSKIEGO</b>	18	<b>Książki ♦ Czasopisma NOWE KSIĄŻKI PRZYKŁAD: BUKACZOWCE WERTUJĄC WYDAWNICTWA</b>	64 70 72
Alfred Senze <b>Z TAMTYCH LAT, Z TAMTYCH DNI</b>	20	Tadeusz Tomkiewicz <b>BUKACZOWCZANIE</b>	71
Naszym zdaniem <b>MEDAL MA DWIE STRONY</b>	22	<b>LISTY</b>	75
Rozmowy Janusz M. Paluch <b>ROZMOWA Z EWĄ PIOTROWSKĄ</b>	26	<b>ŁUDZIE W CRACOVIA-LEOPOLIS 2006</b>	III
<b>Wiersze</b> Jerzy Kobłowski <b>JESTEM POLAKIEM</b> Zofia Bar <b>KOCHANI!</b> Adam Hollanek <b>WIECZNY FILM</b>	34		